

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

Nr 12 (241) • ROK XX • GRUDZIEŃ 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Szczęść Boże!

o śląskim
sacrum



Na okładce: Maria Korusiewicz, Wędrowanie, akwatinta/rysunek/gwasz



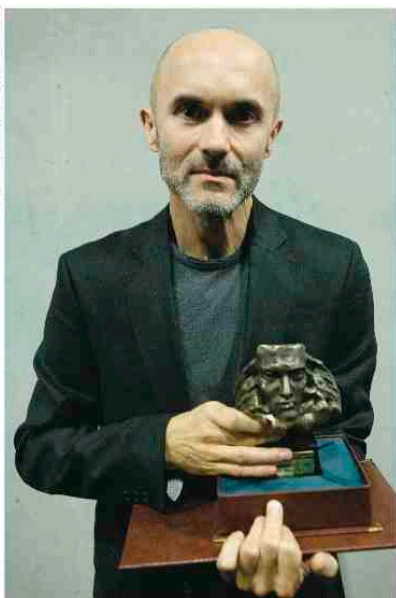
9 771425 391509



Fot. Magda Łuka

Spotkanie z okazji jubileuszu 20-lecia istnienia miesięcznika „Śląsk” odbyło się 25 listopada 2015 roku w Sali Parnassos w Bibliotece Śląskiej. Powstało wówczas spontanicznie pamiątkowe zdjęcie. Niestety, nie było możliwe zgromadzenie wszystkich osób związanych z piśmem w ciągu minionych dwóch dekad, a nawet – jak się okazało – z obecnego składu redakcji. Zatem na fotografii znajdują się (od lewej): Mirosław Korbel – szef STP Korgraf, Grzegorz Grzegorek – zajmował się dystrybucją i marketingiem, dr Tadeusz Sierny – prezes Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, prof. dr hab. Marian Kisiel – członek pierwszego składu redakcji „Śląska”, szefował działowi krytyki i eseju, Halina Sienkiel – kierowała sekretariatem i dbała o sprawy administracyjne, Barbara Gruszka-Zych – kierowała działem recenzji, Maria Sztuka – obecna sekretarz redakcji i szefowa działu kultury, Tadeusz Kijonka – twórca GTL, któremu przesował do końca 2013 roku i miesięcznika „Śląsk” – przez 17 lat był jego redaktorem naczelnym, od 2013 roku Honorowy Prezes GTL, Wojtek Łuka – artysta grafik, obecny w redakcji od pierwszego numeru, Krystian Gałuszka – redaktor naczelny w 2013 roku, Witold Turant – redaktor naczelny w latach 2013–2014, Wiesława Konopelska – redaktor naczelna od czerwca 2015 roku, Zbigniew Sawicz – artysta fotograf, współpracuje ze „Śląskiem” od początku, rzadko widywany na zdjęciach redakcyjnych oraz gospodarz jubileuszowego wieczoru prof. dr hab. Jan Malicki – dyrektor Biblioteki Śląskiej, która jest współwydawcą „Śląska”.
(O jubileuszu „Śląska” piszemy na str. 66 i 67)

Fot. Arkadiusz Ławrywianiec



15 listopada zakończył się w Katowicach XVII Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje”. Wyniki ogłoszono podczas uroczystego finału w Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Laur Konrada jury przyznało Mai Kleczewskiej za spektakl „Dybuk” wyreżyserowany w Teatrze Żydowskim w Warszawie. *Najlepszym Aktorem* XVII Festiwalu (Nagroda Specjalna Dziennika Teatralnego) został Jerzy Trela („Kto wyciągnie kartę wisielca, kto błązna?” w reż. P. Miśkiewicza w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie). *Mały Pierścień Konrada* otrzymał spektakl „Soup City. Ostatnia sprawa Charliego Brokuła” grupy Klica Production a dziennikarze nagrodzili Ewelinę Marciniak za „Portret damy” (Teatr Wybrzeże w Gdańsku).

Na zdjęciu aktor Teatru Żydowskiego Jerzy Walczak, który w zastępstwie za Maję Kleczewską odebrał Laur Konrada.

*Niech Gwiazda Betlejemska w wigilijny wieczór
przyswieca wszystkim, co dobre i szczęśliwe,
a Święta Bożego Narodzenia
przyniosą nadzieję i miłość*

życzy

*Zespół redakcji „Śląska”
i zarząd Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego
w Katowicach*



Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY

prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materialów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonía 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. „ROZMOWA NA 20. LECIE”
Rozmowa z abp. Wiktołem Skworcem POJEDNANIE PRZEZ PRZEBACZENIE
8. *Wojciech Świątkiewicz MIĘDZY TRADYCIĄ A WSPÓŁCZESNOŚCIĄ.*
O tożsamości religijnej w kulturze Górnego Śląska
12. *Julian Gembalski ŚLĄSCY ORGANIŚCI – OGNIWO TRADYCJI RELIGIJNEJ I KULTUROWEJ*
20. *Magdalena Dziadek POWRÓT DO ŹRÓDEŁ*
24. *PAMIĘCI WOJCIECHA KILARA*
26. *Jacek Kurek VIATOR. Z rozmów z Józefem Skrzekiem*
28. *Jadwiga Badura EWANGELICKIE KANCJONAŁY I MODLITEWNIKI*
30. *Natalia Ruman DO SACRUM PRZEZ MODLITEWNIKI*
33. *Aleksander Spyra ARCYDZIEŁA SZTUKI DRUKARSKIEJ*
34. *Rozmowa z Markiem Toporowskim KLAWESYNOWE DZIEDZICTWO EUROPY*
37. *Krystyna Heska-Kwaśniewicz PAMIĘCI TYCH, CO ZOSTALI W GÓRACH*
38. *Dagmara Drzazga WIERSZ JEST DROGĄ. Rozmowa z Maciejem Meleckim i Krzysztofem Siwczkiem*
42. *Jacek Kurek DUCHY ŚWIATŁA I MROKU*
46. *Beata Tomanek PRYZYSTANEK: PAMIĘĆ*
56. *XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO*
Krzysztof Kosiński Z NAJLEPSZYMI ...
62. *Ewa Olejarsz TRZY WIECZORY, JEDNO POŁUDNIE*

FELIETONY

41. *NOTATNIK SPÓZNIENEGO PRZYBYSCZA*
Marek S. Szczepański CENTRUM I ŚRODEK MIASTA: MIEJSCA ŚWIĘTE I PRZEKŁĘTE
57. *PORADNIA JĘZYKOWA*
Katarzyna Wyrwas KTO MOŻE WITAĆ?
61. *Henryk Bzdok ANEGDOTY*
63. *MIĘDZY NUTAMI*
Magdalena Dziadek W CZĘSTOCHOWIE O MUZYCE SŁOWIAŃSKIEJ; ŚLĄSCY MUZYCY W GDAŃSKU
66. *ŚWIĘTOWALIŚMY NASZE 20-LECIE*
69. *ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNĄ*
Jan Miodek DANIELA KADŁUBCA ŚLĄSZCZYŻNA CIESZYŃSKA
84. *Z ZAPISKÓW EMERYTA*
Jarosław Starzyk STRASZLIWE SKUTKI GRZYBOBRANIA

PLASTYKA

48. *Łukasz Karkoszka PIĘKNO UKRYTE W SACRUM*
49. *SZTUKA SAKRALNA POWIATU TARNOGÓRSKIEGO*
50. *EWA ZAWADZKA Malarstwo 2003 – 2015*
51. *Maria Sztuka OSWAJANIE ŚWIATA*
84. *KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: ANTONI KOWALSKI*

OPERA

64. *Marek Brzeźniak ZBRODNIA MACOCHY*

TEATR

65. *Witold Kociński POLSKIE SPRAWY*

KSIAŻKI

70. *Ryszard Bednarczyk WRÓBLE NIE CZYTAJĄ FILOZOFÓW*
71. *Wiesława Konopelska PORTRET WOJCIECHA KILARA*
72. *Ryszard Bednarczyk DETEKTYW PO PRZEJŚCIACH*
73. *Katarzyna Nieszporek DOŚWIADCZAJĄC BLISKOŚCI*
74. *Ryszard Jasnorzewski LAKIEROWANIE KOSZULKI*

POEZJA I PROZA

3. *WIERSZ NA OTWARCIE*
Tadeusz Kijonka ŁZA
16. *Tadeusz Kijonka OBJAWIENIE. LULAJŻE, JEZUNIU (opowieść wigilijna).*
NIM STANIE SIĘ CIEMNOŚĆ
52. *Alojzy Lyско OPOWIEŚĆ GÓRNOŚLĄSKA*

EKOLOGIA

58. *Jolanta Karmańska LASY NAD LASAMI*

STAŁE RUBRYKI

60. *Z ŻYCIA BIBLIOTEK*
Aleksandra Zawalska-Haweł WOŁONTARIAT EUROPEJSKI (EVS) W BIBLIOTECE
67. *ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWIC*
ŚWIĘTOWALIŚMY NASZE 20-LECIE
68. *OPOLE. NAGRODA KLIO DLA „KRESOWEJ ATLANTYDY”*
76. *NOTATNIKI KULTURALNE. Redagują: Wiesława Konopelska, Jan Picheta, Joanna Kotkowska, Janusz Wójcik, Maria Sztuka, Jacek Sikora.*
83. *ŚLĄSKI MIESIĄC*

NA OKŁADCE: Maria Korusiewicz *Wędrowanie*, akwatinta/rysunek/gwasz





Maria Korusiewicz, Madonna rafałowska, grafika

TADEUSZ KIJONKA

ŁZA

Co roku Bóg się rodzi a im bliżej dnia
Do gwiazdy przeczuwanej – stula dziecko ręce
W czuły żłobek nim stoczy się policzkiem łza,
Truchlejąca na sianie w wyięblej stajence.

Pierwsza gwiazda – pamiętasz: ta spod powiek – znak,
Że znów gdzieś Bóg się rodzi, tam skąd krzyk w połogu:
Jezu, Jezu – a w ustach łez bezsennych smak.
Małe, biedne, bezsilne,
Jeszcze równe Bogu.

Błyska łza narodzenia. Unieś głowę, patrz:
Ręka matki jak luna gwiazdy betlejemskiej –
Jej głos, smak mleka błogi, pierwszy ludzki płacz,
I boska trwoga dziecka
Przed wszystkim co ziemskie.

TADEUSZ KIJONKA – ur. w 1936 r. w Radlinie. Literat, publicysta, krytyk, wydawca, autor utworów scenicznych i działacz społeczny na wielu polach śląskiego życia, ale przede wszystkim poeta.

Jeszcze w okresie studiów jako student IV roku polonistyki UJ wydał pierwszy zbiór wierszy pt. „Witraże”. Za następny – „Rzeźba w czarnym drzewie” uzyskał po raz pierwszy przyznaną nagrodę im. Andrzeja Bursy. Kolejny – „Kamień i dzwony”, został wyróżniony dwoma prestiżowymi nagrodami: nagrodą im. Stanisława Piętaka i miesięcznika „Poezja”. W dorobku poetyckim Tadeusza Kijonki znajdują się tomy wierszy i poematy. Ostatnio wydał obszerny wybór wierszy „Czas, miejsca i słowa” oraz „44 sonety brynnowskie”, nominowane do Poetyckiej Nagrody Orfeusza. W druku – nowy tom wierszy „Słowo w słowo”.

Inicjator wielu działań kulturalnych na Śląsku, w 1992 r. doprowadził do powstania Górnośląskiego Towarzystwa Kulturalnego w Katowicach oraz powołał miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk”, którego był redaktorem naczelnym w latach 1995-2012. W roku 2014 otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego w uznaniu „nieocenionych zasług dla kultury polskiej”.

Z metropolitą katowickim,
arcybiskupem WIKTOREM SKWORCEM
rozmawia MARIA SZTUKA

Fot. Roman Koszowski



Pojednanie przez przebaczenie

– Zmienił się gabinet Księdza Arcybiskupa, przybyły nowe portrety.

– Ten rok był szczególnie dla naszej archidiecezji. Dziewięćdziesiąt lat temu, 28 października na mocy bulli Piusa XI *Vixdum Poloniae unitas* powołana została diecezja katowicka. Przez cały rok świętowaliśmy tę ważną dla Kościoła na Górnym Śląsku rocznicę. Tu, w tym pomieszczeniu znalazły się portrety zmarłych rządców diecezji: pierwszego biskupa katowickiego Augusta Hlonda, który kierował diecezją do roku 1926, kiedy to papież powołał go na arcybiskupstwo poznańskie i gnieźnieńskie, przez co stał się prymasem Polski, biskupa Arkadiusza Lisieckiego,

biskupa Stanisława Adamskiego oraz biskupa Herberta Bednorza, szczególnie mi bliskiego, ponieważ to właśnie z jego rąk 19 kwietnia 1973 roku otrzymałem w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach święcenia kapłańskie. Pojawił się także nowy portret św. Jana Pawła II, który udzielił mi święceń biskupich w Bazylice św. Piotra w Watykanie 6 stycznia 1998 roku.

– To niezwykle i przejmujący portret. Jan Paweł II ma niebywale skupioną i zatroskaną twarz...

– Takim był; a ten obraz to dzieło rektora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, prof. Antoniego Cygana, rzeczywiście portret jest wyjątkowy.

– Kilka dni temu uczestniczył Ksiądz Arcybiskup w otwarciu wystawy we wrocławskim Ratuszu „Pojednanie/ Versöhnung in progres... Kościół katolicki i relacje polsko-niemieckie po 1945 r.” upamiętniającej 50. rocznicę wymiany listów między polskimi i niemieckimi biskupami.

– 18 listopada 1965 r. to ważna data i trzeba o niej pamiętać, ponieważ jesteśmy spadkobiercami zapoczątkowanego wówczas procesu pojednania, a naszą powinnością jest jego kontynuowanie. Z okazji 50. rocznicy tego wydarzenia należy sięgnąć do źródeł, do oryginalnych tekstów, które zostały napisane w 1965 r. Dlatego w Katowicach przygotowaliśmy jubileuszowe, dwujęzyczne opracowanie zatytułowane „Pamięć i przebaczenie”, zawiera ono teksty oświadczeń, homilie wygłoszone w kolejne rocznice tego wydarzenia i nie tylko.

– Czego możemy się z tej lekcji historii nauczyć?

– Powtórzę to, co powiedziałem podsumowując w wywiadzie telewizyjnym uroczystości związane z 50. leciem wymiany listów. Może z tego gestu pojednania między biskupami polskimi i niemieckimi moglibyśmy w naszym kraju, który ma tak oczywiste korzenie kulturowe, uczyć się pojednania polsko-polskiego, nauczyć się mówić: *proszę czy prosimy o wybaczenie, wybaczam, wybaczam*.

– Religijność na Górnym Śląsku jest postrzegana jako swoisty fenomen, czy powodów możemy doszukiwać się wyłącznie w historycznym aspekcie? W walce o tożsamość, przechowywaniu i obronie wiary ojców?

– Historia rzeczywiście odgrywa w tym dziele rolę szczególną. To region, którego mieszkańcy byli w przeszłości niezwykle doświadczani – zmieniająca się przynależność państwowa, prześladowania w okresie Kulturkampfu, a jednak wiara pozostawała tu czymś stałym, stabilizującym. Przekazywana z pokolenia na pokolenie była trwałą ostoją, która pozwalała przetrwać nawet w najtrudniejszych momentach, ponieważ Kościół stwarzał przestrzeń wolności. W Kościele każdy był sobą, każdy zachowywał swoją tożsamość. Na zewnątrz rozbrzmiewały różne języki: niemiecki, czeski, polski: w liturgii panowała neutralna łacina, język, który nikogo nie antagonizował. A w modlitwie Ślązacy zawsze czuli się wolni, zachowywali wierność rodzinnej tradycji, nikt nie mógł przecież narzucić im języka porozumiewania się z Panem Bogiem.

– Jednym z przejawów tego przywiązania są zawsze tłumne pielgrzymki do sanktuariów w Piekarach Śląskich, czy na Górę św. Anny, gdzie Ślązacy (i nie tylko) zanoszą swoje codzienne sprawy...

– Pielgrzymowanie stanowe to kolejne świadectwo pewnej odmienności, a zarazem wyraz fenomenu religijności na Górnym Śląsku. Od czasów industria-

lizacji najczęściej wykonywane tu zawody związane były z górnictwem, hutnictwem, koleją, przemysłem ciężkim, a więc profesje, w które wpisane było stałe niebezpieczeństwo, poczucie zależności, ocieranie się o śmierć. Religijność więc była tu związana z kultem świętych, którym nie tylko zawierzano życie, rodzinę i pracę, ale i godzinę śmierci. Ponadto święci przypominali swoim życiem, męczeństwem o tym, że żyjemy dla Pana, jak nauczał św. Paweł.

– **Mało kto kojarzy dzisiaj św. Barbarę z marynarzami, rybakami, żołnierzami, kamieniarzami, więźniami i wielu innymi niebezpiecznymi zawodami, których jest patronką. Górnicy niemal zawłaszczyli sobie tę świętą dla siebie.**

– Niekoniecznie; św. Barbara nie jest świętą ekskluzywną. Każdy poza Śląskiem, kto czuje taką potrzebę może przyzywać św. Barbarę... To przecież m.in. patronka dobrej śmierci, o czym świadczy chociażby to, że – jak mówi przekaz-przyniosła wiatyk św. Stanisławowi Koście. Górnictwo, które kiedyś było na Śląsku potęgą sprawiło, że kult świętej z nim związany mógł być postrzegany, jako wyłącznie śląski fenomen.

– **Po 1989 r. w kopalniach na dole, na różnych poziomach pojawiły się ołtarze patronki, jej wizerunek zdołał także sztandary związkowców, póki więc węgiel będzie wydobywany, póty kult ten na pewno nie zniknie.**

– To prawda, choć wiele z tych spontanicznie wznoszonych wówczas ołtarzy zniknęło wraz z zamykanymi kopalniami, których stale ubywa. Ale w moim przekonaniu kultowi św. Barbary na Śląsku nic nie zagraża. Jest to bowiem patronka, która towarzyszy ludziom w różnych sytuacjach, nie tylko pod ziemią, w momentach ekstremalnie trudnych. Polecam wydaną 13 lat temu, ale wciąż aktualną książkę Beaty Piechy „Barbara. Barbórka. Święta. Kult Świętej Barbary na Górnym Śląsku”, która nie tylko porządkuje, ale i wyjaśnia wiele w tym temacie.

– **Nie zniknęło górnicze pozdrowienie Szczęść Boże!**

– Od wieków towarzyszy ono górnikom, bez względu na osobiste relacje do Boga. W pamiętnym roku 1983, gdy św. Jan Paweł II odwiedził Katowice, dokonał swoistej promocji tego pozdrowienia. Poświęcił mu fragment swojej homilii: „Kiedy przy pracy pozdrawiamy się wzajemnie zwrotem: „Szczęść Boże!”, wyrażamy w ten sposób naszą życzliwość wobec bliźniego, który pracuje – a równocześnie odnosi my jego pracę do Boga-Stwórcy, do Boga-Odkupiciela” – mówił. Także dzisiaj dla wielu nie są to tylko słowa, to jest życzenie: aby w życiu osoby, do której jest kierowane, był obecny Bóg, żeby błogosławił, bo szczęście oznacza Boże błogosławieństwo, szczególnie w pracy – trudnej, niebezpiecznej, ale także rodzinie. Oby to pozdrowienie stało się powszechne, abysmy wszyscy pozdra-

wiali się tymi słowami; może, gdyby stały się powszechnie i ze zrozumieniem treści wypowiedianym życzeniem, zmieniłyby się relacje między ludźmi...

– **To przykre, ale coraz częściej mamy problemy z porozumieniem i to właśnie na wszystkich poziomach, ludzie wierzący niejednokrotnie słyszą, że ich katolicyzm zastępnął w odległych wiekach...**

– To krzywdzące słowa. Na zmieniający się wokół kontekst rzeczywistości, który jest dla Kościoła „znakiem czasu” odpowiadamy nowymi formami aktywności i religijności. Najlepszym przykładem jest Sobór Watykański II i jego postanowienia, a właśnie dzisiaj, 8 grudnia, świętujemy 50. rocznicę zakończenia jego obrad. Decyzje Soboru dotyczące na przykład zmiany kształtu liturgii czy wprowadzenia języków narodowych w zasadniczy sposób zainicjowały nowe, bardziej świadome uczestniczenie wiernych we mszy świętej, pozwalając na głębsze zrozumienie treści Eucharystii. Równie znamienne było dostrzeżenie roli świeckich w życiu Kościoła. W Polsce, a wśród mieszkańców Górnego Śląska w sposób szczególny, za sprawą księdza Franciszka Blachnickiego ożywiły się lokalne wspólnoty Kościoła. Jego dzieło Ruch Światło-Życie było niczym innym, jak przełożeniem dokumentów Soboru na praktykę duszpasterską, co było – jakże cennym jego owocem. Dziś patrzmy na Sługę Bożego, kandydata na ołtarze, jako na prekursora nowej ewangelizacji!

Podobne przesłanie przyswiecało I Synodowi Diecezji Katowickiej, który zakończył się w 1975 r. Jego obrady i dokumenty były wprowadzeniem postanowień Soboru w praktykę diecezjalną. Religijność na Górnym Śląsku została ukształtowana w duchu soborowym, który zainicjował budowanie w Kościele i przez Kościół wspólnoty nie tylko w liturgii, ale także poza nią. Kościół, jako wspólnota ochrzczonych, to także rzeczywistość społeczna, którą wspólnie tworzymy. Ideałem jest, aby była wspólnotą wspólnot, ożywaną przez ruchy, stowarzyszenia i grupy modlitewne działające w parafiach.

– **Lata osiemdziesiąte były trudne w życiu Kościoła w Polsce, ale to właśnie wtedy nawet niewielkie parafie stawały się miejscami szczególnymi.**

– Taka jest rola parafii, powinny być wspólnotą wspólnot; miejscem doświadczania relacji z Bogiem i bliźnimi; miejscem doświadczania solidarności i to nie tylko werbalnej. Pomoc winna być zawsze konkretna na miarę potrzeb i możliwości. I w tych trudnych latach, o których mówimy, dzięki działalności Zespołów Charytatywnych w parafiach i Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, Kościół w Polsce i na Górnym Śląsku zdał egzamin. Nie zostawił też bez moralnego wsparcia i konkretnej pomocy ofiary stanu wojennego i ich rodziny.

– **Minęło czterdzieści lat, jaka dzisiaj jest rola Ruchu Światło-Życie?**

– Patrząc na poszczególne gałęzie Ruchu, trzeba przyznać, że dynamicznie rozwija się Domowy Kościół, jednoczący rodziny. Równocześnie należy pamiętać, że w okresie, kiedy ksiądz Blachnicki zaczął działalność, najpierw abstenencką, nie było dla Ruchu alternatywy. Dzisiaj dzieci i młodzież mają znacznie więcej możliwości i form działania, powstało wiele nowych stowarzyszeń i wspólnot, które jednoczą się wokół różnych wyzwań. Wiele ruchów dociera do nas z zagranicy. Oferta jest przebogata. Dzisiaj młodych ludzi na przykład żywo interesuje i inspiruje życie Piera Giorgia Frassati'ego. Szczególnie upodobał go sobie ci, którzy borykają się z różnymi problemami. To między innymi patron studentów, ludzi gór, trudnej młodzieży. Beatyfikował go święty papież Jan Paweł II, który znakomicie odczytywał potrzeby młodych poszukujących. Ciekawa jest oferta Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży.

Tak więc Ruch Światło-Życie, używając języka ekonomii, ma dziś ogromną konkurencję. Wspólnot, stowarzyszeń, wszelkiego rodzaju ruchów jest sporo; wnoszą w Kościół nową dynamikę, wiele radości, a tego Kościół potrzebuje adresując np. do młodych zaproszenie do udziału w przygotowaniu Świątynnych Dni Młodzieży.

– **Najwyższy wskaźnik ateizacji notuje się wśród 18-25-latków, a jednak kiedy rozeszła się wieść o wykładzie ks. prof. Michała Hellera na Uniwersytecie Śląskim zrobiło się niebywale ciasno. Ten tłum młodych ludzi wielu zaskoczył. Głoszony przez księdza profesora pogląd, że nauka i wiara nie tylko się nie wykluczają, ale wzajemnie się uzupełniają, zyskały ogromną aprobatę młodych, którzy chcą na ten temat dyskutować.**

– Ten przykład pokazuje jak wiele zależy od człowieka i autentyczności jego świadectwa. Ostatnio przeprowadziliśmy w archidiecezji katowickiej, na wewnętrzny użytek, badania dotyczące udziału dzieci i młodzieży w lekcjach nauki religii w szkole. Chodziło o stwierdzenie, jaki procent uczestniczy w tych zajęciach. Wynik, który oscylował w granicach 90 procent może satysfakcjonować, ale nie powinien usypiać, wszak wiadomo, że lekcje religii w szkole domagają się uzupełnienia, dopowiedzenia poprzez katechezę parafialną, poprzez zaangażowanie dzieci i młodzieży w rówieśnicze grupy parafialne, i w różne formy wolontariatu. A przy okazji wspomnianych badań umocniło się przekonanie o tym, jak wiele zależy od nauczyciela religii i katechety, którego umiejętność nawiązania dobrych relacji z uczniami i świadectwo przyciągają. Dlatego wprowadziliśmy w niektórych szkołach funkcję stałego katechety, czyli duszpasterza, który silnie związany ze szkołą, może po kilku latach stać się „instytucją”, autorytetem dla młodych ludzi i być duszpasterzem nauczycieli.

– **Udział we wszelkiego typu wspólnotach dla wielu młodych ludzi kończy się po maturze, dla innych po studiach. Zaczyna się bowiem poszukiwanie pracy, a to częstokroć wiąże się ze zmianą miejsca zamieszkania...**

– Zjawisko mobilności... migracja, to będzie nam towarzyszyło. W tym punkcie dochodzi do zderzenia rzeczywistości tradycyjnej, stabilnej, terytorialnej parafii z nową społeczną sytuacją, jaką jest mobilność jej mieszkańców, wiernych. Widać to choćby na przykładzie wyjazdów weekendowych. Pojawiały się kolejne znaki czasu; na przykład niemal powszechny stał się w miastach i nie tylko *churching*, czyli wędrówka od kościoła do kościoła w poszukiwaniu bardziej atrakcyjnej, duszpasterskiej oferty. Pomijając fakt, że na absencji traci wspólnota parafialna, do której ktoś przynależy, to najważniejsza jest obecność na niedzielnej Eucharystii, niezależnie czy będzie to bazylika w Panewnikach, czy parafia, gdzie posługują dominikanie, czy katowicka katedra. Nie powinno się jednak zapominać o powinnościach wobec własnej parafii, o obowiązku współtworzenia lokalnej wspólnoty parafialnej.

Wobec tych zjawisk powinna nastąpić zmiana myślenia w parafiach, u duszpasterzy. Nowa ewangelizacja – to właściwa odpowiedź. Trzeba, aby duchowni, wspólnie z wiernymi świeckimi, szli do ludzi. Dobrym przykładem szerzenia nowych form duszpasterskiej posługi i religijności jest działalność stowarzyszenia św. Filipa Nereusza w Rudzie Śląskiej. To tam zainicjowano działania nazywane – „Światło w familoku”. Księża i świećcy docierają do ludzi, którzy z różnych powodów utracili kontakt z Kościołem, do ludzi ubogich, samotnych, a bywa także, żyjących na marginesie społecznym. Trafiają nie tylko do mieszkańców familoków. Takie powinno być dzisiaj duszpasterstwo prowadzone w duchu nowej ewangelizacji, które treść Ewangelii w nowy sposób, zanosi do ludzi oddalonych od Boga i Kościoła.

– **Zwłaszcza, że niedziela uległa pewnemu zeświecczeniu, kościoły na Górnym Śląsku wprawdzie pełne są w tym dniu wiernych, jednak wielu przedkłada wszelkiego typu rozrywki, czy zaległe zajęcia codzienne nad udział w mszy świętej, kontakt Kościoła z nauką nie jest już taki, jak przed laty.**

– Zagrożenie materializmem praktycznym jest realne. Świat rzeczy bardzo nas dzisiaj absorbuje i pociąga. Wielu daje się wciągnąć w nabierający tempa kierat: praca – zarabianie – zakupy. Te zajęcia zaczynają wypełniać im tydzień po brzegi, brakuje czasu na pierwiastek duchowy. Trzeba ubolewać nad tym, co stało się w Polsce z niedzielą. W porównaniu społecznym z 1980 r., zawartym w Jastrzębiu, górnicy wywalczyli m.in. wolność od pracy w sobotę i niedzielę, po to, by świętować i odpoczywać. W roku 1989 zapomnieliśmy

o tym, aby niedzielę, jako wartość nie tylko religijną, ale i kulturową, ochronić stosownymi zapisami we właściwych ustawach, zapomnieliśmy o tym, że niedziela trzeba chronić. Desakralizacja niestety narasta. To problem głębszy, związany z brakiem poczucia *sacrum*; lekceważeniem przykazań Bożych i kościelnych. Dziś świątynie materii skutecznie konkurują ze świątyniami ducha, a dla wielu odwiedzanie tych pierwszych i kupowanie, stało się stylem spędzania niedzieli. To smutne zjawisko, ponieważ niedziela, jako wartość, nie tylko religijna, została zawłaszczona przez konsumpcjonizm. Warto wiedzieć, że nasi zachodni sąsiedzi, ochronę niedzieli zapisali w swojej konstytucji, a uzasadnieniem tego zapisu – co ciekawe – nie były racje religijne, które Niemcy pozostawiają w sferze prywatności, ale szeroki kontekst kulturowy. Niedzielę traktują, jako dzień jednoczesnego, wspólnotowego odpoczynku, który buduje jedność narodową. I wzmacnia rodzinę.

– **Czy jednak styl życia można regulować prawem?**

– Nie można sądzić, że regulacja prawna wprost i natychmiast wpłynie na zmianę stylu życia. Odzyskanie niedzieli przez społeczeństwo, jako dnia odnowy nie tylko fizycznej, ale także, a może przede wszystkim, duchowej wymaga zmiany mentalności, powrotu do wartości i przeżywania wolności w duchu Jana Pawła II, który pouczał, że wolność jest ku dobru...

– **Po latach peerelowskiej szarości i biedy trochę zachłyśmy się wolnościami, ten spontaniczny konsumpcjonizm może się wkrótce znudzić.**

– I pewnie się znudzi. Pomocą jest powrót do źródła, do rodziny, do przywrócenia jej wartości. Rodzina uczy wszystkiego: miłości, szacunku, tolerancji, podziału obowiązków, uczy także radości, odwzajemniania uczuć, pietyzmu dla tradycji, poszanowania dla wiary przodków – przygotowuje do godnego życia. Uczy też świętowania, daje doświadczenie wspólnoty. Zmianę mentalności trzeba więc zacząć od odnowy rodziny.

– **Liczba katolików w Polsce oscyluje między 80 a 90 proc., wielu jednak z nich określa siebie jako: wierzący niepraktykujący, co oznacza ta deklaracja?**

– To jakby – odwracając perspektywę – powiedzieć: wierzę, że palenie powoduje raka, ale palę. W żadnym razie nie jest to tylko polska specyfika, podobne deklaracje składają ochrzczeni w innych krajach. W tym stwierdzeniu kryje się niedopowiedziane zdanie, które może brzmieć tak: *ja swoje sprawy z Panem Bogiem załatwiam osobiście, nie potrzebuję pośrednictwa Kościoła, nie potrzebuję sakramentów, nie potrzebuję całej obrzędowej oprawy*. Wiele takich i tym podobnych deklaracji może wynikać z osobistych, negatywnych doświadczeń z Kościołem. To rozmowa to okazja, aby powiedzieć, że Kościół

jest święty świętością Chrystusa; to my członkowie Kościoła obciążamy go naszymi słabościami, grzechami, niewiernościami.. Trzeba też dodać, że deklaracja wierzący-niepraktykujący – może być formą zadufanego egoizmu, pewnością siebie, pomijaniem tego, co było i co jest Bożym planem. Chrystus gromadząc wokół siebie uczniów położył fundamenty pod społeczność, którą jest Kościół, funkcjonujący od ponad dwóch tysięcy lat. To wycofanie z Kościoła w indywidualizm relacji z Panem Bogiem może mieć wiele przyczyn i skutków: np. najbliższa społeczność parafialna komuś nie odpowiada, może go zraniła, a skutkiem jest egzystencjalna, społeczna i etyczna samotność, straszliwie trudna do przezwyciężenia....

Jednak każdy, kto deklaruje, że jest osobą wierzącą, jest praktykujący poprzez wyznawanie wiary, świadectwo, stosowanie się do dziesięciorga przykazań... Wiary nie możemy sprowadzać do teorii, wiara przekłada się na praktykę życia; na świadectwo, że Ewangelia to program możliwy do realizacji.

– **Z jednej strony odnotowujemy rosnącą z roku na rok liczbę rozwodów, co nie napawa optymizmem, z drugiej zaś widzimy tłumy podczas Metropolitalnego Święta Rodziny. Gremialny w nim udział mieszkańców regionu zdaje się zaprzeczać diagnozie o upadku instytucji małżeństwa.**

– To święto okazało się genialnym pomysłem, wyzwoliło mnóstwo inicjatyw i udowodniło, jak silna na Górnym Śląsku jest instytucja rodziny. Kiedy w badaniach socjologicznych, sondażach, prosi się młodych ludzi, aby odpowiedzieli na pytanie o hierarchię ważności, to odpowiadając na pierwszym miejscu stawiają rodzinę, szczęśliwą rodzinę. To jest spełnienie ich marzenia, aby w tym świecie, niespokojnym, podzielonym, ich rodzina stała się oazą spokoju, odpoczynku, akceptacji, przebaczenia, bliskości. Jeżeli na Górnym Śląsku będą takie rodziny, a są, to Śląsk będzie Śląskiem, kiedy ich zabraknie to kultura tożsamość Górnego Śląska będzie bardzo osłabiona.

– **Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, to czas szczególnie kojarzący się z rodziną...**

– Rozbłyśły już świąteczne dekoracje, tysiące lampek... wydaje się, że żyjemy dzisiaj w kulturze światełek. Chciałbym życzyć, aby w Boże Narodzenie dla każdego zaświeciło to jedno, najważniejsze światło z Betlejem, światło Chrystusa, aby przebiło się przez milion sztucznych blasków.

Proszę, aby każdy odpowiedział sobie w ciszy własnego sumienia, dla kogo i po co są te święta. Jeśli odpowiedzią będzie: dla mnie i moich bliskich oraz dlatego, że Bóg nas kocha i wzywa do wiary i jej praktykowania – to będzie odpowiedź, która nas połączy w świętowaniu. I doświadczy wspólnoty!



Matka Boska z Dzieciątkiem i dwunastoma apostołami, ok. 1420 r., dawniej w kościele pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Szalszy, obecnie w galerii Pocysterskiego Zespołu Klasztorno-Pałacowego w Rudach Raciborskich

O tożsamości religijnej w kulturze Górnego Śląska

W literaturze dotyczącej historii i kultury Górnego Śląska powszechnie przyjmowany jest pogląd, że chrześcijaństwo jest głęboko wpisane w tradycję kulturową Górnego Śląska jako zasada konstytutywna kultury rodzimej, stanowiąca o jej tożsamości i regionalnej odrębności zarazem. Jeden z wybitnych działaczy społecznych i uczonych sprzed II wojny światowej, ks. Emil Szramek, przedstawiając zagadnienie wrastania religii w życie społeczne w swojej rozprawie charakteryzującej socjologiczne problemy Śląska, przywoływał wiele tekstów, które może nawet nazbyt apologetycznie wskazywały na organiczne powiązania religii ze śląskością, a nawet z polskością. „Górnoślązak niezepsuty – pisał Szramek – jest typowym *homo religiosus*, tzn. człowiekiem rdzennie religijnym”. Nie musimy bezkrytycznie przyjmować tej tezy jednak nie sposób nie zauważyć, że ten typ myślenia i opisu świata śląskiej kultury utrwalony w świadomości społecznej w formie stereotypów wywarł duży wpływ na przebieg i kształt procesów społeczno-kulturowych na Górnym Śląsku.

Między tradycją i współczesnością

WOJCIECH ŚWIĄTKIEWICZ

Dokonywana się na Górnym Śląsku od drugiej połowy XIX wieku gwałtowna urbanizacja i industrializacja zasadniczo nie naruszyły koncentrycznego uporządkowania struktur społecznych właściwego społeczeństwu przedindustrialnym. Wręcz przeciwnie, zwłaszcza w tzw. przemysłowej części Górnego Śląska, koncentryczny ład społeczny został nawet umocniony, do czego w istotny sposób przyczynił się właśnie Kościół poprzez rozbudowującą się strukturę parafialną oraz religia stanowiąca źródło wartości i norm legitymizujących ład społeczny. Nieco odmiennie procesy te przebiegały na Śląsku Cieszyńskim ale również i tu religijność w jej katolickiej i protestanckiej odmianie zdecydowanie współtworzyły specyfikę śląskiej kultury. Można by powiedzieć, że te historycznie ukształtowane procesy wzajemnego przenikania i zespolenia się śląskości i religijności są znakomitą ilustracją wielokrotnie przywoływanego przez Jana Pawła II przesłania odnoszącego się do relacji między kulturą i wiarą: „Synteza kultury i wiary jest wymaganiem nie tylko kultury, lecz także wiary. Wiara, która nie staje się kulturą, jest

wiarą nie w pełni przyjętą, nie w całości przemysłaną, nie przeżyta wiernie”.

Analiza historyczno-socjologiczna zagadnienia roli tożsamości religijnej w kulturze Górnego Śląska pozwala wyodrębnić zasady, które wpływały (i wpływają) na kształtowanie się kulturowych wzorów religijności śląskiej.

Zasada bliskiej obecności

Przejawiała się w tworzeniu nowych jednostek administracji kościelnej dostosowanych do tempa zmian społeczno-gospodarczych i wzrostu zaludnienia, co spowodowało umacnianie się powstających miejskich społeczności lokalnych. Zasada ta wyraża się w regule: „Kościół jest tam gdzie są ludzie”. Z dzisiejszej perspektywy okazuje się, że decyzja biskupa wrocławskiego kardynała Melchiora von Diepenbrocka zezwalająca najpierw w roku 1851 jezuitom w czasie misji ludowych, a w rok później proboszczowi bytomskiemu ks. Józefowi Szafrankowi na odprawianie nabożeństw poza budynkiem kościoła, a więc na polanie w lesie,

w stolarni huty, w cechowni kopalni, itp. stworzyła z czasem tradycję duszpasterską, która dobrze sprawdziła się nawet sto lat później, w drugiej połowie XX wieku, w całkiem odmiennych warunkach politycznych, gdy z przyczyn ideologicznych władze PRL-u limitowały rozwój budownictwa kościelnego. Odmiennie niż w innych europejskich regionach podlegających również gwałtownym procesom industrializacji i urbanizacji, na Górnym Śląsku okres szybkiego tworzenia się osad przemysłowych rozpoczął od drugiej połowy XIX wieku był równocześnie czasem wrastania religii i jej struktur organizacyjnych w nowe struktury życia społecznego. Z socjologicznego punktu widzenia trzeba odnotować, że praktyki religijne organizowane przez parafie i spełniane w jej obrębie obok wymiaru ściśle religijnego posiadają również wymiar społeczny. Przyczyniają się mianowicie do integracji społeczności, zwłaszcza gdy granice nowo powstających osad przemysłowych, w zasadzie homogenicznych pod względem ich składu społecznego, zawodowego, etnicznego, wyznaniowego, powiązań pokrewieństwa





nakładały się na granice nowo tworzących się parafii, jak miało to miejsce na Górnym Śląsku. Parafia była depozytariuszem religijnego uniwersum symbolicznego rozciągającego się na wszelkie formy aktywności życiowych człowieka. W ówczesnym modelu religijności stanowiła całkowicie wystarczającą strukturę organizacyjną, zabezpieczającą wszelkie, szeroko rozumiane potrzeby religijne jej mieszkańców i w tym sensie była nakierowana „do wewnątrz” społeczności lokalnej, wzmacniając jej spójność i utwierdzając zasady odrębności. Wypracowaną w tym czasie cechą społeczno-kulturową przemysłowego Śląska była jego policentryczność, w której istotną funkcję pełniła również parafia. Podobnie jak i parafia tworzące się wówczas społeczności lokalne zmierzały na różny sposób do swoistej samowystarczalności społecznej, gospodarczej, kulturalnej, oświatowej, rozrywkowej. Stabilność miejsca pracy, zamieszkania, w konsekwencji powiązań rodzinnych, przyczyniała się do stabilizacji struktury społecznej i jej reprodukcji. W ujęciu modelowym życie jednostki od narodzin i chrztu w miejscowym kościele, po śmierć

i pogrzeb na miejscowym cmentarzu we wszystkich swoich etapach było w jakimś sensie przewidywalne. Parafia sakralizowała uniwersum symboliczne tworzącej się górniczej czy hutniczej miejskiej społeczności lokalnej, a poprzez swoich duszpasterzy legitymizowała porządek społeczny przesłankami wiary religijnej i społecznego nauczania Kościoła.

ekscentryczną) kontynuacją zasady bliskiej obecności jest erygowanie przez abp. Damiana Zimonia w roku 2005 kaplicy św. Barbary w wielkim centrum handlowym w Katowicach, noszącym nazwę Silesia City Center, odwiedzanym rocznie przez ponad 15 mln. osób. Kaplica, dawna maszynownia, stoi w sąsiedztwie innych budynków pokopalnianych oraz szybu Je-

W ujęciu modelowym życie jednostki od narodzin i chrztu w miejscowym kościele, po śmierć i pogrzeb na miejscowym cmentarzu we wszystkich swoich etapach było w jakimś sensie przewidywalne.

W formułę realizującą zasadę bliskiej obecności wpisał się inicjowany przez kolejnych biskupów diecezjalnych społeczny ruch budowy nowych kościołów, czyli także powstawania nowych parafii, w okresie socjalizmu, kiedy ówczesne władze partyjno-państwowe stawiały znaczące utrudnienia w budownictwie sakralnym, a w płaszczyźnie doktrynalnej zakładały marginalizację, a w dalszej perspektywie eliminację religii z życia publicznego. Efektowną i raczej wyjątkową (czy nawet

Do kaplicy trafiły obraz i figurka świętej Barbary ze zlikwidowanej kopalni Gottwald (pierwotnie Eminenz, na cześć kard. Geoga Koppa biskupa wrocławskiego). Kaplica w założeniu ma służyć nie tylko odwiedzającym i kupującym w Silesia City Center, ale również mieszkańcom osiedla w City – „Dębowe Tarasy”. Prowadzone jest w niej stałe duszpasterstwo, a także organizowane są koncerty muzyki religijnej, festiwale kolęd, etc. Kaplica w katowickim centrum handlowym

znakomicie wpisuje się w górnośląskie tradycje kulturowo-religijne, zakorzenione w XIX wiecznych przeobrażeniach industrializacyjnych i urbanizacyjnych, jakie miały miejsce w tym regionie. Współcześnie zmieniają się rola i zadania parafii, modny staje się „churching”, oznaczający między innymi radykalne rozluźnienie więzi z parafią, ale zasada bliskiej obecności wcale nie straciła na społecznym znaczeniu.

Zasada bezpośredniego uczestnictwa

Polegała na praktyce duszpasterskiej zobowiązującej duchownych do zakładania stowarzyszeń, bractw i organizacji religijnych, tak by każdy parafianin uczestniczył przynajmniej w jednej takiej strukturze. Oznaczało to upodmiotowienie społeczności parafialnej – oczywiście na miarę ówczesnych „przedsoborowych” wyobrażeń – oraz kształtowało poczucie czynnego i odpowiedzialnego uczestnictwa w życiu parafialnym. Zazwyczaj pozwalało również na podtrzymywanie tradycyjnych (ludowych i polskich) wzorów pobożności, czasem nawet wbrew zaleceniom jej instytucjonalnych organizatorów. Przykłady takich sytuacji można znaleźć między innymi w historii ruchu muzycznego; czyli chórów i orkiestr jakie zaczęły powstawać w omawianym okresie

Współcześnie zmieniają się rola i zadania parafii, modny staje się „churching”, oznaczający między innymi radykalne rozluźnienie więzi z parafią, ale zasada bliskiej obecności wcale nie straciła na społecznym znaczeniu.

i w dużej mierze wykonywały repertuar polski. Inną konsekwencją tej zasady wydaje się być dowartościowanie roli świeckich w Kościele. Jako przykład może posłużyć wydana z inicjatywy ks. Jana Alojzego Ficka, proboszcza z Piekara, w roku 1850, książka pt. „Matka świętych Polska”. Apelując o zapomogę na jej wydanie ks. Ficek przedstawia ją jako: „Spisy żywotów mężów i niewiast świętobliwych, którzy od roku 1764 szczególną cnotą w kraju naszym, w różnych się odznaczyli zawodach i wszelkiej życia kondycji”. Jej pojawienie się wskazuje na dużą umiejętność, mówiąc współczesnym językiem, odczytywania „znaków czasu”. Idea, która pojęcie „świętości” umieszcza w kręgu życia codziennego, czyni go „dotykalnym” dla współczesnych, może stanowić przykład antycypacji występującej u ducha Soboru Watykańskiego II (przeszło 100 lat później) zasady „consecratio mundi” (uświęcania świata).

Z zasady bezpośredniego uczestnictwa wynikały również społeczno-integracyjne funkcje praktyk religijnych, a także pewne specyficzne dla liturgii formy jej sprawowania. Myślę tu o tzw. procesjach ofiarnych w trakcie offertorium, które obok celów religijnych pełniły także funkcje społeczne. Procesja ofiarna to spektakularny teatr odgrywanych ról i pozycji społecznych zajmowanych w miejscowej społeczności. Zwykle rozpoczynali ją mężczyźni, ale kolejność podążania

w procesji była związana bezpośrednio z intencją sprawowanej mszy świętej. Czoło tych procesji tworzyli ci, który bezpośrednio byli powiązani z intencją liturgii, potem włączała się dalsza rodzina, sąsiedzi, znajomi. Zasada więzi kreowała też subtelne, ale także społecznie czytelne kryterium dystansu. Uczestnicy procesji należą do tych, których różnorodne więzi społeczne łączą różniąc jednocześnie na swoich i nieznanym. Gdy intencja mszalna była ogólna, na przykład za parafian, czoło procesji tworzyli najbardziej zasłużeni i cenieni parafianie. W takiej procesji uczestniczyli (mogli brać udział) wszyscy uczestnicy nabożeństwa. Struktura procesji ofiarnej odtwarzała strukturę pozycji i ról społecznych, więzi społecznych, bliskości bądź społecznych dystansów. Każdy znał swoje miejsce i pilnował porządku, a jego naruszenie spotykało się ze zdziwieniem lub dezaprobatą. Uczestnictwo w procesji ofiarnej obłożone było zasadą wzajemności, co podtrzymywało trwałość więzi społecznych. Zasada wzajemności przejawiała się także w społecznym oczekiwaniu bezpośredniego uczestnictwa w nabożeństwie sprawowanym w zalecanej intencji. Stanowiło ono swoiste rodzaje zobowiązanie, które było sumiennie respektowane, co w zasadzie nadal jest praktykowane. Opisane wyżej praktyki zachowywane są nadal w wielu śląskich parafiach, a obra-

dujący obecnie II Synod Archidiecezji Katowickiej zaleca w swoich uchwałach podtrzymywanie tej tradycji.

Zasada zaangażowania społecznego

Trzecia wymieniona przeze mnie zasada kulturowa śląskiej religijności odnosi się do zaangażowania społecznego. Wyrażało się ono poprzez czynny udział duchownych oraz świeckich, w życiu politycznym i kulturalnym, a także gospodarczym oraz w trosce o poprawę sytuacji społecznej i materialnej dynamicznie powiększających się środowisk robotniczych. Jej rezultatem było między innymi powstawanie i rozwój stowarzyszeń robotniczych nawiązujących do idei katolicyzmu społecznego. Inicjowana przez duchownych i świeckich działalność odbywała się w ścisłej współpracy z szerokimi kręgami społecznymi. Na przestrzeni kilku dziesięcioleci wypracowany został jednolity układ głównych założeń ideowych takiej aktywności, który skupiał się na ugruntowaniu i twórczym rozwijaniu świadomości o wysokiej wartości rodzimej kultury zakorzenionej w chrześcijaństwie. Także działalność ściśle gospodarcza i polityczna podporządkowana była niejednokrotnie wartościom narodowym, pozostającym w organicznym związku z wartościami religijnymi. W opisie dziejów polsko-katolickiej działalności społecznej na Górnym

Śląsku można wymienić pięć nurtów, w których to zaangażowanie społeczne znajdowało ujście: religijno-moralny, charytatywny, oświatowo-kulturalny, polityczny i samopomocowo-gospodarczy. Każdy z wymienionych nurtów reprezentowany był przez liczne stowarzyszenia i organizacje, których zasięg oddziaływania bądź odnosił się do społeczności lokalnej, bądź obejmował szerszy region. Taki model zaangażowania w sprawy społeczne przetrwał w zasadzie do II wojny światowej. Okres „Polski Ludowej” także w tym obszarze działalności przyniósł drastyczne ograniczenia. Problem reaktywowania wzorów podmiotowego uczestnictwa w życiu społecznym ma zresztą szerszy zakres i swymi konsekwencjami społecznymi sięga poza ramy ściśle religijnej aktywności. Współcześnie najszybciej, jak się wydaje, odradza się zaangażowanie charytatywne, stowarzyszeniowe czy na polu aktywności obejmowanych ogólnie pojęciem nowej ewangelizacji. Tworzą się również rozmaite inicjatywy w społecznościach lokalnych i w wymiarze regionalnym, stawiające sobie za cel pobudzenie i rozwój wartości kultury rodzimej, a tym samym i kultury religijnej. Procesy te ilustrują dane zamieszczone w opublikowanym w roku 2015 raporcie ISKK, pt. „Religijność i aktywność kobiet w Kościele katolickim w Polsce”.

Trzy wymienione i pokrótce omówione zasady kulturowe śląskiej religijności tworzą tkankę dziedzictwa tożsamości religijnej górnośląskiej kultury. Ich współczesne trwanie postrzegane jest przede wszystkim jako pewien wzorzec tradycji godnej naśladowania. Przerwane zostały jednak wzory międzypokoleniowego przekazu kulturowego, stąd i nawrót do tradycji nie jest prostym jej przypomnieniem, a powinien być raczej twórczym przekształceniem jej najbardziej wartościowych osiągnięć.

Kultura współczesna – wyzwanie dla religii i Kościoła

Jakkolwiek by charakteryzować kulturę współczesną i określać jej cechy specyficzne, to z pewnością stanowi ona radykalne wyzwanie dla religii i Kościoła. W tym nowym „paradygmacie kultury” tracą one swoje uprzywilejowane miejsce w życiu społecznym, a ich legitymizujące odniesienie do świata zostaje poddane w wątpliwość lub nawet odrzucone. Pozostaje oczywiście pytanie, jak dalece procesy te są obecne w kulturze współczesnej Polski i w jej regionalnej odmianie, jaką jest kultura Górnego Śląska. Polska budująca podstawy demokratycznego ładu społecznego staje się coraz bardziej otwarta na wpływy kultury globalnej. Może jest też bardziej bezbronna wobec agresywności niektórych propozycji ideologicznych napływających wraz z zagranicznym kapitałem. Zafascynowanie „lepszym światem” usypia czujność wobec wątków destrukcyjnych i rodzi bezkrytyczne zachłystnięcie się „nieskrępowaną niczym wolnością”. Brak też powszechnie podzielanych doświadczeń w obronie własnej

kulturowej tożsamości. Pozycja Kościoła polskiego, który był postrzegany w świadomości społecznej jako depozytariusz nie tylko wiary, ale i tradycji narodowej jest systematycznie deprecjonowana, także w wyniku starć politycznych. Z drugiej strony w Kościele tym brak też wypracowanych – na szeroką skalę – adekwatnych i skutecznych metod dialogu z natarczywie napierającą rzeczywistością. Jest to odrębne zagadnienie, ale można sformułować wniosek, że kierunek przemian społecznych jest uzależniony nie tylko od naturalnych, normalnych i koniecznych procesów dyfuzji kulturowej, ale także od sposobów, w jakie napływające „obce elementy”, będą asymilowane bądź eliminowane z kanonu kultury narodowej. W tym względzie rola religijności i Kościoła, jako instytucji stojącej na straży ładu społecznego może być kreatywna, umiejętnie interpretująca sezonowo atrakcyjne wartości w perspektywie swojego uniwersalistycznego przesłania. Kościół stwarzał warunki organizacyjne i był depozytariuszem zachowania dziedzictwa kulturowego, łączącego wartości religijne z narodowymi i regionalnymi. Tożsamość eklezjalna i kulturowo-religijna wyrażała się zarówno poprzez formy tożsamości zbiorowej opatrywanej niekiedy pojęciem fenomenu śląskiej religijności, jak i tożsamości indywidualnej Ślązaka jako człowieka religijnego.

W przypadku tradycji kultury religijnej na Górnym Śląsku doświadczenia przeszłych pokoleń pokazują kierunki takich rozwiązań. Z tradycji wynikają szanse. Terazniejszość niesie z sobą liczne zagrożenia. Przyszłość zależy od stosunku do przeszłości. W literaturze socjologicznej podejmującej problem powrotu sacrum do kultury współczesnej stawia się tezę, że w odróżnieniu od romantyzmu – nie będzie to powrót do natury, w odróżnieniu od moderny – nie będzie to eksploracja skomplikowanej wewnętrznej jaźni: będzie to natomiast odrodzenie Pamięci. Od współczesnych zależy czy pamięć

o godnych naśladowania wartościach, o zasadach sterujących życiem społecznym będzie twórczym nadchodzącej rzeczywistości.

Kultura, której celem jest dobro człowieka musi kierować się zasadą integralnie pojmowanej wolności i prawdy. Jest w niej miejsce również na religię i kościelną religijność. Granice wiary i niewiary przebiegają także przez Kościół. Jej też

nia wartościach i zasadach sterujących życiem społecznym, będzie nośnikiem nadziei, czy też – jak przestrzegał w swojej „narodowej modlitwie” ks. Jan Alojzy Ficsek – „rozpłynie się w niedostatku mądrości, roztropności i pracy”. Zagrożeniem dla śląskiej religijności i jej obecności w strukturach społecznego świata jest dzisiaj przede wszystkim indyferentyzm i etyczny relatywizm pojmowany jako global-

W literaturze socjologicznej podejmującej problem powrotu sacrum do kultury współczesnej stawia się tezę, że w odróżnieniu od romantyzmu – nie będzie to powrót do natury, w odróżnieniu od moderny – nie będzie to eksploracja skomplikowanej wewnętrznej jaźni: będzie to natomiast odrodzenie Pamięci.

niejszość jak i przyszłość rozgrywają się w obszarze kultury. Z tradycji zakorzenienia religii w kulturze i kultury w religii wynikają szanse. Przyszłości z pewnością nie należy sobie wyobrażać jako prostej kontynuacji nawet najdosłowniejzych wzorców tradycji, ale utrzymywana pamięć o nich modeluje nasze wyobrażenia o przyszłości. Jest warunkiem trwania w tożsamości kulturowej, która u progu XXI wieku nabierać zaczyna coraz większego znaczenia jako wartość autoteliczna. Świadczą o tym między innymi procesy odradzania się świadomości – nie tylko na Śląsku i w Polsce ale w całej Europie – przynależności lokalnej, regionalnej, narodowej.

Socjologiczna rzeczywistość wiary religijnej wymaga jej obecności w kulturze, w moralności życia codziennego, pracowniczego i rodzinnego, w tworzeniu sprawiedliwego ładu społecznego, budowaniu więzi międzyludzkich, wspomaganiu demokracji życia publicznego, wspieraniu inicjatyw kulturalnych i oświatowych w modelowaniu stylu życia, w popieraniu działań na rzecz przeobrażeń gospodarczych, które obejmuje się dziś ogólnym i często mało czytelnym pojęciem: *restrukturyzacja czy transformacja*.

Od współczesnych zależy, czy pamięć o przeszłości, o jej godnych naśladowa-

na postawa życiowa szukająca legitymizacji w postmodernizmie ubranym w neomarksistowski kostium. Sprzyja jej też zabieganie o troski życia codziennego a także to, że wraz z laicyzmem i pragmatyzmem stają się one stopniowo dominującą ideologią. Rozdzielenie Kościoła od państwa w sferze politycznej rozszerza się na rozdzielenie religii od społeczeństwa.

Tożsamość kulturowa jest wyrazem zachowania ciągłości wartości podstawowych, ich hierarchii, a także podstawowych źródeł i treści systemów legitymizujących całość rzeczywistości społecznego świata. Nie musi ona oznaczać identyczności kulturowej rozciągającej się w pionowych i poziomych wymiarach struktur społecznych i przejawiającej się w identyczności osobowości społecznej. Jeśli tożsamość jest wartością i jeśli tożsamość skupiona jest wokół wartości, wyraża się poprzez wartości, to w trosce o tożsamość należy dać pierwszeństwo wartościom wobec ich kulturowych i historycznych instytucjonalizacji, kulturowych kostiumów, czy konfesyjnych zawłaszczeń i odczytywać na nowo ich uniwersalne przesłanie wpisując je w rytm życia współczesnej cywilizacji.



Zdjęcia: Arkadiusz Gola

Śląscy organiści – ogniwo tradycji religijnej i kulturowej

JULIAN GEMBALSKI



Rozwój cywilizacji europejskiej związany jest ściśle z rozwojem Kościoła i wartościami kulturowymi, jakie przynosił on ewangelizowanym ludom. Wraz z szerzeniem Ewangelii Kościół wprowadzał nie tylko nowe normy moralne i obyczajowe, ale odkrywał przed wiernymi obszary piękna, związane ze sprawowaniem Sakramentów i wykonywanym kultem.

Nie sposób ogarnąć wspaniałego rozwoju architektury sakralnej, która w nowej wizji organizacji przestrzeni publicznej była – obok fortyfikacji i siedzib władców – jednym z jej najważniejszych obiektów. Kolejnym ważnym elementem cywilizacyjnego rozwoju była sztuka – zarówno plastyczna jak i muzyczna. Malarstwo, rzeźba i muzyka sakralna – to połączone ze sobą ogniwa rzeczywistości, która od wieków tworzyła chrześcijańską Europę i kształtowała kanony jej identyfikacji. Twórcami tej rzeczywistości były zwykle jednostki obdarzone ponadprzeciętnymi zdolnościami, talentami, a także poczuciem misji i wrażliwością, które to cechy wyróżniały je spośród ogółu i wyznaczały im specjalne miejsce w dawnych społecznościach. Obok wykształconego duchowieństwa należeli tu ludzie obdarzeni umiejętnościami muzycznymi, w tym organiści, którzy pojawili się wraz z wprowadzeniem do Kościoła króla instrumentów – organów.

Pierwsze organy i *magister capellae*

Dokładne określenie czasu, w którym w życiu śląskiego Kościoła pojawili się organiści nie jest możliwe. Wiadomo, że wszelkie wzmianki o organach, wprowadzanych stopniowo w okresie późnego średniowiecza, informują pośrednio o istnieniu ludzi, którzy na tych

organach potrafili grać. Choć rola organów początkowo sprowadzała się do podtrzymywania tonu przy śpiewach gregoriańskich a także wykonywania prostych, jednogłosowych melodii między wersami chorału, w ówczesnych wspólnotach zakonnych musieli znajdować się muzycy, którzy opanowali grę na różnych odmianach organów. Z wczesnych przekazów ikonograficznych wynika, że posługiwano się wówczas głównie małymi odmianami tych instrumentów, zwanymi portatywami i pozytywami. Najwcześniejsza wzmianka o organach zbudowanych w świątyni górnośląskiej dotyczy kościoła klasztornego w Czarnowasach. W 1390 roku w tamtejszej wspólnotcie cysterskiej musiał więc być organista. Na Dolnym Śląsku organy pojawiły się dużo wcześniej. Już w 1218 w Opactwie Cystersek w Trzebnicy opracowano instrukcję do gry na organach, co dowodzi obecności wśród zakonnic siostry organistki. W kolejnych wiekach to właśnie wzmianki o budowanych organach potwierdzają istnienie związanej z tym instrumentem funkcji, a właściwie zawodu organisty. Jego rola wzrastała w miarę rozwoju muzyki kościelnej i rozkwitu budownictwa organowego. Równocześnie rozwijał się system kształcenia organistów, gdyż gra na tym instrumencie wymagała dużych umiejętności. Organista stał się z czasem muzykiem o najwyższych kwalifikacjach, łączącym umiejętności instrumentalne, kompozytorskie i pedagogiczne.

O istnieniu coraz większej rzeszy organistów na Śląsku dowiadujemy się z bardzo wielu źródeł. Obok imion organistów, zapisanych w dokumentach parafialnych, odnajdujemy wzmianki o nich w rachunkach kościelnych i miejskich, w metrykach, wykazach powinności lub przywilejów, a także w spisach muzyków kościelnych i dworskich. Od XVI wieku organista jest już muzykiem stojącym najwyżej w hierarchii zawodów związanych z praktyką muzyczną, zrównując się znaczeniem z *magister capellae* czyli dyrygentem zespołu śpiewaczego, a z czasem z kantorem, który od wczesnego baroku decydował o kształcie muzyki kościelnej. Funkcja ta, obejmująca grę na organach, naukę śpiewu i prowadzenie zespołu śpiewaczego nabrała szczególnego znaczenia w okresie Reformacji, kiedy dość znacznie zmieniły się formy muzyki liturgicznej. Dowartościowanie ludowej pieśni religijnej idzie w parze ze wzrostem znaczenia solowej muzyki organowej, która – obok form wokalnoinstrumentalnych, staje się stałym elementem nabożeństwa, zarówno w Kościele protestanckim jak i katolickim. Na reformę katolickiej muzyki kościelnej duży wpływ miały dokumenty Soboru Trydenckiego, którego ustalenia wpłynęły także na rozkwit budownictwa organowego.

W dokumentach rozbudowanej już znacznie w czasach średniowiecza sie-



Prof. Karol Hoppe

ci parafialnej na Dolnym Śląsku zachowały się nazwiska organistów i kantorów, którzy swoją działalnością znacznie wykraczali poza własne środowisko. Wpisywali się oni – również poprzez działalność kompozytorską, w dorobek kulturowy całego Śląska a także utrzymywali kontakty z innymi, nieraz bardzo odległymi ośrodkami. Ośmiu wybitnych organistów śląskich, działających w XVII i XVIII wieku znalazło się w sławnym leksykonie opracowanym i wydanym w Hamburgu w 1740 roku przez Johanna Matthesona. W jego dziele pt. *Grundlage einer Ehren-Pforte* znaleźli się oni wśród 150 wybitnych muzyków europejskich, a jeden z nich – Johan Gottfried Mente (ur. w 1698 roku w Czerwieńsku, zmarły w 1760 r. w Legnicy) zaliczony został do grona 20 najbardziej znanych organistów na świecie. Obok niego znaleźli się w leksykonie organisci: Ambrosius Profe (1589-1661), działający we Wrocławiu, Michael Kirsten (1682-1742), pochodzący z Brzegu, Heinrich Krause (1682-1742), rówieśnik Bacha – wrocławianin Georg Gebel (1685-1750), Johann Balthasar Reimann (1702-1749) i Johann Georg Hoffmann (1700-1780). Organisci ci działali zarówno we Wrocławiu jak i w Jeleniej Górze i Legnicy.

Organistów i kantorów zatrudniały także liczne parafie górnośląskie. O ile w najstarszych dokumentach wnioskujemy o ich działalność na podstawie wzmianek o istnieniu organów, o tyle już od XVII wieku coraz częściej pojawiają się w dokumentach archiwalnych imiona i nazwiska organistów, opisywane są ich uposażenia, czasami sprawowane inne funkcje w parafii (pisarza, nauczyciela) a również opinie o ich życiu czy umiejętnościach zawodowych. Cennym źródłem są protokoły wizytacyjne, w których obok wzmianki o organach pojawiają się informacje o organistach. Ze źródeł tych, a także z innych dokumentów kościelnych wynika, że już w XVII wieku zaczęto łączyć funkcje or-

ganisty z funkcją nauczyciela. Połączenie obu zawodów dokonano się formalnie na Śląsku w XIX wieku, jednak powierzenie organistom zadań w zakresie edukacji szkolnej wynikało już wcześniej z ich praktyki, którą dziś nazwalibyśmy pedagogiczną. Dawni organisci musieli posiadać wykształcenie przynajmniej w zakresie podstawowym, a więc umiejętność czytania i pisania, znajomość nut, zasad muzyki, śpiewu i – co oczywiste – gry na organach, a nieraz także i na innych instrumentach. Ponadto już od czasów średniowiecza (np. we wspólnotach zakonnych) nauczanie gry organowej odbywało się w relacji mistrz-uczeń, czyli poprzez przekazywanie umiejętności młodszemu muzykowi przez starszego, doświadczonego i biegłego nie tylko w muzyce, ale i w ogólnej wiedzy humanistycznej (ze znajomością łaciny włącznie). W okresie baroku organista był już najczęściej człowiekiem wszechstronnie wykształconym, toteż cieszył się prestiżem i wysoką pozycją społeczną. Istniały oczywiście konflikty, zwłaszcza między zarządcami kościoła a organistą i kantorem, co znane jest choćby z życiorysu wielkiego Johanna Sebastiana Bacha. Różnie też wyglądała pozycja organisty w mieście i na wsi. Z pewnością najbardziej prestiżowe było stanowisko organisty miejskiego a także praca w charakterze organisty i muzyka dworskiego, co zwykle wiązało się ze stałymi dochodami. W środowiskach wiejskich organista nie był może osobą zbyt majątną, zawsze jednak w swej społeczności szanowaną i zaliczaną do osób stojących wyżej od innych, a nierazdo wręcz do lokalnej elity. Organista był często proszony o pełnienie funkcji ojca chrzestnego czy świadka ślubu, najczęściej też pełnił funkcję pisarza parafialnego (dziś nazwalibyśmy go kancelistą), pełnił też wiele funkcji pomocniczych w parafii. Był np. wytwórcą komunikantów a czasami pełnił funkcję grabarza i zarządcy cmentarza. Zwykle był wynagradzany konkretnymi kwotami pieniężnymi i korzystał z serwitutów, gratyfikacji w naturze, wolnego mieszkania czy zagrody.

Jednym z najwcześniej odnotowanych organistów górnośląskich jest Walenty Montana (Montanus) z Kopienic koło Pyskowic. W 1607 spisał on metrykę kościoła kopińskiego, opracowaną i podyktowaną przez właściciela Kopienic – Czesława Gyrzyka. W rozbudowanym ówczesnym zwyczajem tytuł tego dzieła, Montana nazwany jest „służebnikiem i organistą tegoż kościoła”, zaś zapisana przez niego staropolskim językiem historia stanowi dowód jego solidnego wykształcenia.

W protokole wizytacji parafii w Gierałtowicach, przeprowadzonej w 1679 roku, znalazło się wiele informacji na temat tamtejszego organisty i nauczyciela – Wacława Skowronka. Był on organistą kościoła filialnego w Knurowie i tam zapewne mieszkał. Jak czytamy w protokole „otrzymuje od gospodarzy

po 2 grosze, od zagrodników po 1 groszu i również od każdego gospodarza po bochenku chleba i furze drzewa. Poza tym uprawia rolę, 8 składni na 6 staj, i zamieszkuje własny dom”. Skowronek był żonaty z Anną, z którą miał syna Jakuba, ochrzczonego 28 kwietnia 1682 roku. Jego następcą został Baltazar Płonka, o którym informacje zawarte w protokole wizytacyjnym i późniejszych dokumentach parafialnych starczyłyby do napisania ciekawej biografii. Warto odnotować, że w 1688 roku ożenił się z dawną „kluczną” zamku knurowskiego, niejaką Zuzanną. Płonkowie wymieniani są następnie wielokrotnie jako „knotowic” (chrzestni), co świadczy, że byli przez ludzi lubiani i poważani.

Wysoki status społeczny organisty

Przytoczone opisy, coraz liczniejsze i bogatsze w XVIII i XIX wieku pozwalają na stworzenie dość czytelnego obrazu sytuacji muzyki w Kościele, której współtwórcami byli organiści. Z jednej strony ukazują powszechność występowania tego zawodu (co było z pewnością wprost proporcjonalne do ilości kościołów a także budowanych w nich organów), z drugiej wskazują na coraz większą profesjonalizację funkcji organisty. Nie ulega wątpliwości, że już wcześniej w dużych kościołach miejskich, katedrach czy kościołach klasztornych organistami zostawali ludzie dość dobrze wykształceni, nie tylko zresztą muzycznie. Niektórzy z nich posiadali wykształcenie uniwersyteckie, co pozwalało im na aktywność szerszą niż tylko praktyka organistowska. Takie wykształcenie posiadał m.in. organista kościołów w Bielszowicach i Mokrem – Tomasz Wesołek (urodzony w 1692 r. w Mysłowicach), który od dwudziestego roku życia studiował w Opawie nauki humanistyczne, by

potem przez 47 lat pełnić funkcję organisty. Z pewnością zajmował się także nauczaniem, zaś po jego śmierci (a dożył 96 lat!) funkcje te przejął jego syn Wawrzyniec. Organistów określano w dokumentach jako *Organarius* lub *Organista* (to pierwsze oznaczać może także organmistrza, czyli budowniczego organów), z dodaniem miejsca jego aktywności (np. *Organarius Tychiensis* lub *Organ [arius] Beron [nensis]*). Tak określono np. Stanisława Piegińskiego, występującego w metrykach tyskich od 1743 do 1755 a potem w metrykach Bierunia. Wysoki status społeczny organisty przechodził na jego rodzinę, zwłaszcza na żonę, która w dokumentach określana jest jako *Organiscina de Tychy* (żona Jana Zmarzlińskiego, od 1708 roku organisty w Tychach) lub jako *Organatrix* (żona Jana Kolińskiego, również organisty tyskiego, odnotowanego w 1741 roku).

Pod koniec XVIII wieku organista coraz częściej spełniał funkcję nauczyciela i kierownika (rector) miejscowej szkoły. Takie połączenie obydwu zawodów było wynikiem postępującej reformy edukacji, w tym muzycznej (uchwalonej w Prusach w 1809 roku), która z systemu terminowania u mistrza przeniosła się z czasem do specjalnie powoływanych w tym celu instytucji. Na Śląsku kształceniem nauczycieli i organistów zajęły się seminaria nauczycielskie. Powstawały one zarówno jako struktury kształcenia nauczycieli dla szkół katolickich jak i ewangelickich. W programie katolickich seminariów nauczycielskich wprowadzono obowiązkowe nauczanie muzyki już w 1800 roku, natomiast w seminariach ewangelickich w 1812. r. Seminaria nauczycielskie stały się w ten sposób swoistymi szkołami muzycznymi, przygotowującymi organistów i kantorów na różnym poziomie kształcenia. Dobrze przygotowani absolwenci tych instytucji obejmowali następnie posady nauczycieli i organi-

stów w miastach i w parafiach wiejskich, wpływając pozytywnie na poziom samej muzyki w kościele, jak i kulturę muzyczną wiernych. Uczyli pieśni kościelnych, akompaniowali do mszy św. i nabożeństw, wreszcie uczyli zasad muzyki. Jako urzędnicy państwowi mieli zapewnione wynagrodzenie i mieszkanie, najczęściej w szkole, w której uczyli (na wsiach szkołę z reguły prowadził jeden nauczyciel) bądź w organistówce. W latach trzydziestych XIX wieku istniały już cztery seminaria nauczycielskie, kształcące muzyków kościelnych; dwa katolickie – we Wrocławiu i w Głogówku, oraz dwa ewangelickie – we Wrocławiu i w Bolesławcu. W dalszych latach powstało wiele tego typu seminariów także na Górnym Śląsku, m.in. w Oleśnie i Pyskowicach.

Duże zasługi w tworzeniu profesjonalnego kształcenia muzyków kościelnych położył Christian Benjamin Klein (1754-1825), organista w Jaworze i Świdnicy. Dzięki jego staraniom, popartym autorytetem wielu znanych muzyków tego okresu (m.in. Carla Friedricha Zeltera) powstał, na mocy zarządzenia władz w Berlinie, Instytut Muzyki Kościelnej przy Uniwersytecie Wrocławskim. Od tej pory kształcenie organistów śląskich, zwłaszcza tych, którzy w przyszłości mieli objąć posady w prestiżowych parafiach miejskich, obejmowało szeroki zakres programowy, a umiejętności zdobyte w tego typu placówce czyniły z nich profesjonalnych muzyków. Potrafili oni nie tylko biegle grać na organach, ale także prowadzić chór i komponować. Wpłynęło to na ożywienie twórczości muzycznej, potrzebnej w praktyce liturgicznej. Szczególne zasługi położyli tu dwaj wybitni kompozytorzy – Johann Ignatz Schnabel (1767-1831) i Friedrich Wilhelm Berner (1780-1827), wyznaczający kierunki kształcenia muzycznego dla obu Kościołów działających na Śląsku. Do odnowy katolickiej muzyki kościelnej przyczynił się Bernhard Kothe (1821-1897), wychowanek seminarium nauczycielskiego w Głogówku. Wykształcenie i znajomość tradycji muzycznej Kościoła szły w parze z zaangażowaniem organistów w życie parafii i miejscowości, w których działali. Przez lokalne społeczności organista postrzegany był zawsze jako osoba o ustalonym autorytecie, popartym dodatkowo wpływem na wychowanie i edukację dzieci. Pomimo deprecjonowania roli organistów podczas Kulturkampf i ograniczeniu roli muzyki w wychowaniu i nauczaniu, organista na Śląsku nigdy nie stracił wysokiej pozycji społecznej i nie został zepchnięty do roli parafialnego „dławidudy”, co niestety zdarzało się w innych regionach należących niegdyś do Polski.

Wśród wybitnych

Absolwenci seminariów nauczycielskich, instytutów we Wrocławiu i Berlinie, a potem także konserwatoriów

Zdjęcie: z arch. autora



Józef Jakac przy organach kościoła św. Piotra i Pawła w Katowicach

(w tym konserwatorium w Lipsku) działali na Śląsku aż do końca międzywojnia. W wielu górnośląskich parafiach jeszcze w dwudziestolecie międzywojennym spotykało się organistów wykształconych we Wrocławiu i Regensburgu. W katowickim kościele Mariackim od 1912 do 1945 roku grał absolwent konserwatorium lipskiego, Alfred Janitzek (urodzony w 1886 r. w Mysłowicach), który gry organowej uczył się u samego Karla Straubego. Wcześniej, w 1908 roku, przebywał przez pół roku w Szkole Muzyki Kościelnej w Regensburgu, gdzie uczył się pod kierunkiem Josepha Rennera i Franza Xavera Habera. Równie wybitnym i zasłużonym dla Kościoła górnośląskiego był Karol Hoppe, urodzony w 1883 roku w Roździeńcu, pełniący przez 37 lat posługę organistowską w kościele św. Szczepana w Bogucicach. Był absolwentem seminarium nauczycielskiego w Oleśnie i Pilchowicach, gdzie uczyli go inni zasłużeni dla muzyki kościelnej na Śląsku organiści – Victor Kotalla i Josef Stein. Hoppe bez reszty oddał się grze organowej i liturgicznej, kompozycji a także prowadzeniu chórów. Jego największym dziełem jest *Chorał* czyli zbiór akompaniamentów do modlitewnika „Droga do Nieba” księdza Ludwika Skowronka. Doczekał się on wielu wydań i przez dziesiątki lat był podstawową – obok chorału Ryszarda Gillara, pomocą dla śląskich organistów. Karol Hoppe, zmarły w 1946 roku, należał do generacji wielkich organistów, którzy do swej pracy przygotowywali się w seminariach nauczycielskich i szkołach „wkomponowanych” swym profilem kształcenia do pracy w Kościele. Podobny profil przyszli organiści odnaleźć mogli w międzywojennych instytucjach muzycznych, przede wszystkim w Śląskim Konserwatorium Muzycznym w Katowicach i Szkole Muzyki Kościelnej św. Grzegorza. W katowickim konserwatorium studiował przed wojną późniejszy wieloletni organista katedry Chrystusa Króla w Katowicach, Stanisław Kopernok (1922-2004). Aż do wybuchu wojny był uczniem Bolesława Szabelskiego. W 1939 roku, kiedy Niemcy zlikwidowali konserwatorium i przekształcili je w niemiecką szkołę muzyczną (Landesmusikschule Oberschlesien), Kopernok, wraz z paru innymi uczniami postanowił nie przerywać nauki i wstąpił do tej szkoły. Trafił do wybitnych pedagogów – Fritza Lubricha (ucznia Maxa Regera), u którego studiował grę organową i Paula Kozlika, wybitnego wówczas nauczyciela fortepianu. Po wojnie podjął pracę jako organista katedralny, będąc wzorem muzyka, oddanego służbie Bożej i wspaniałego wirtuoza, który perfekcyjnie wykonywał akompaniament liturgiczny jak i najtrudniejsze dzieła Bacha i Regera.

Do największych śląskich organistów zaliczyć można także innego katowickiego muzyka kościelnego – Józefa Jakaca (1911-1995). Już przed wojną

uchodził za jednego z najlepszych organistów na Śląsku. Od 1934 roku aż do śmierci pełnił posługę organisty w kościele św. Piotra i Pawła, prowadził chóry, komponował i uczył młode pokolenie. Wraz z Romanem Dwornikiem opracował pierwszy powojenny Chorał Śląski, współorganizował Diecezjalne Studium Organistowskie, wreszcie zaszczepiał miłość do muzyki kościelnej uczniom i swej własnej rodzinie. Zarówno córka jak i wnuczka zostały zawodowymi organistkami. Elżbieta Laksa, wnuczka Józefa Jakaca, objęła po dziadku posadę organistki „u Piotra i Pawła”, kontynuując rodziną i parafialną tradycję. Wielu wybitnych organistów posiadał na Górnym Śląsku także Kościół ewangelicki. Obok wspomnianego już Fritza Lubricha, pełniącego w latach międzywojennych funkcję organisty kościoła ewangelickiego Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach, wymienić można zmarłego w 1965 roku Jana Gawlasa, byłego rektora katowickiej Wyższej Szkoły Muzycznej, zarazem świetnego kompozytora oraz ks. Adama Hławiczkę, którego dorobek kompozytorski wzbogacił śląską twórczość organową i choralną.

Twórcy oblicza kultury muzycznej regionu

Śląsk, zarówno Dolny jak i Górny, poszczycić się może ogromną liczbą wybitnych organistów, którzy tworzyli oblicze kultury muzycznej tego regionu. Wielu z nich przeszło do historii jako wybitni kompozytorzy muzyki organowej, wokalno-instrumentalnej i liturgicznej. Począwszy od XIX-wiecznej szkoły wrocławskiej, z Adolfem Hesse i Moritzem Brosigiem, poprzez seminaria nauczycielskie i szkoły muzyczne różnych typów aż po międzywojenne szkolnictwo na polskim i niemieckim Śląsku, gra organowa kojarzona była zawsze z Kościołem. Muzycy podejmowali naukę z myślą o podjęciu pracy w kościele, przy dobrych organach, we wspólnocie, której oblicze muzyczne mieli tworzyć swą posługą. O dobrego organistę starały się też parafie, wiedząc, że skuteczne duszpasterstwo i budowanie wspólnoty parafialnej to także dobry śpiew i liturgia na wysokim poziomie. Jeszcze w pierwszych latach powojennych organiści zatrudniani byli w wielu kościołach na etatach, pracowali równocześnie w szkołach czy instytucjach kultury. W miarę wprowadzania „realnego socjalizmu” i wzmoczonej walki z Kościołem, zaczęto rugować na Śląsku nauczanie gry organowej. Organiści, będący równocześnie nauczycielami, stawiani byli przez koniecznością wyboru między szkołą a kościołem. Nie ominęło to nawet uznanych organistów-pedagogów, takich jak profesor Feliks Rączkowski w Warszawie (wieloletni organista kościoła św. Krzyża) czy prof. Henryk Klaja z Wyższej Szkoły Muzycz-

nej w Katowicach, równocześnie organista kościoła św. Antoniego w Rybniku. W latach sześćdziesiątych w aglomeracji katowickiej zlikwidowano wszystkie klasy organów w szkołach średnich, zostawiając jedynie klasę w PSM w Zabrze. Spektakularny wymiar miało zniszczenie organów w szkole muzycznej w Chorzowie, które po prostu porąbano i spalono w szkolnej kotłowni. Muzyk kościelny uznany został za wroga klasowego, a jego kształcenie nie było w interesie socjalistycznej szkoły. Doprowadziło to do sporej zapaści w kształceniu kadr organistowskich dla Kościoła i spadku poziomu gry organowej w liturgii. Kościół musiał zorganizować własną bazę edukacyjną w postaci Studium Organistowskiego, które nie zawsze było w stanie sprostać wymogom profesjonalnego kształcenia. Wypełniło jednak bardzo dobrze lukę w nauczaniu muzyki kościelnej, a z czasem rozwinęło się na tyle, że mogły powstać struktury zapewniające wysoki poziom kształcenia i nowoczesne metody pedagogiczne. Taką placówką jest np. Diecezjalne Studium i Diecezjalna Szkoła Organistowska II stopnia w Gliwicach. Ta druga placówka, posiadająca uprawnienia szkoły publicznej, odznacza się wysokim poziomem merytorycznym i znakomitą kadrą, która kształci młodych organistów na poziomie profesjonalnym. Po upadku komunizmu wznowiono działalność klas organów w szkołach państwowych, m.in. w Opolu, Katowicach, Bielsku-Białej, Rybniku i Wodzisławiu, wzbogacono ofertę kształcenia w klasach organów katowickiej Akademii Muzycznej, w której ponadto w 2011 roku otwarto kierunek „Muzyka kościelna”. Na szczęście w wielu kręgach opiniotwórczych, w tym również w instytucjach odpowiedzialnych za edukację i kulturę dostrzeżono rolę muzyki w życiu wspólnot religijnych, które poprzez swoją misję również kształtują poziom kultury społeczeństwa. Wagę muzyki w liturgii od lat dostrzega Kościół, wspierając kształcenie organistów, organizując sympozja naukowe i kongresy na temat muzyki w liturgii, wspierając także budownictwo organowe i formację muzyczną księży. Problemom organistów poświęcony był m.in. II Kongres Muzyki Liturgicznej Archidiecezji Katowickiej, który odbył się w dniach 13-15 listopada 2015 roku w Katowicach. Zarówno uroczyste celebacje liturgiczne jak i wykłady i koncerty niosły ważne przesłanie do współczesnego społeczeństwa. Ukazały bogactwo muzyki w liturgii i szansę duchowego rozwoju dla jej uczestników. Ukazały także piękno śpiewu i muzyki organowej; pokazały wreszcie, że zawód organisty, wzbogacony przez funkcję animatora muzycznego wspólnoty parafialnej, jest ważnym ogniwem tradycji kulturowej Kościoła i wkładem w chrześcijańską tożsamość Górnego Śląska..

OBJAWIENIE

W niebie rozwidnionym – głębia za głębiną
W łuskach gwiazdnych karpie wigilijne płyną.

A jakby sunęły w zagwiach majestatu,
By objawić wieczną tajemnicę świata.

Bo pyszczki rozwarte odwracają ku nam,
Gdy z niebios bezkresnych dmie astralna luna.

Tak skrzą się i tętnią pyłem gwiazdnym skrzela,
Że śląski zwęglony śnieg naocznie zbieleł.

Hen gdzieś dziecię szłocha, lecz gdzie – ciszej, ciszej,
Skoro nie dowidzieć, to chociaż dosłyszeć.

Ciszej – niech zamilknie wszystko w takiej chwili,
By choć raz nad sobą człowiek się pochylił.

Ciszej, ciszej – nawet niech serca przystaną,
By każdy dosłyszał co mu zwiastowano.

Jeszcze ciszej – zanim głos z głębin objawi
Za gwiazdą z Betlejem, kto przyjdzie by zbawić.

Skrzą się gwiazdne kolie – to bliżej, to dalej,
Krażą ryb ławice w bezdennym chorale.

Ciszej!... Jezu Chryste, a tu lufa dymi:
Kto padł, by już nigdy nie podnieść się z ziemi.

Kto nóż komu w plecy wbił nim uniósł głowę
By dojrzeć, czy ciałem jest – co było słowem.

Kto komu skuł ręce, nim strącił do dołu.
Kto drzwi nie uchylił bezdomnym aniołom.

Kto kogo ograbił, kto zerwał z rodziną,
Do brata gdy tonął nawet nie podpłynął?

Kto uwiódł, zaprzedał, na śmierć wydał wrogom,
Kto nigdy w potrzebie nie wspomógł nikogo.

Kto hostii okruczem a się nie podzielił
W godzinie ostatniej już w więziennej celi.

Ciszej – gdzieś tam kwili dzieciątko, czy szczenię
Na miejskim śmietniku nakryte kamieniem.

Ciszej, ciszej zanim świat przestanie wierzyć
W ten śpiew spod Betlejem bezdomnych pasterzy.

Jak w śnie – zanim niebo w rybich łuskach zgaśnie,
Gdy znów zaniewidzieć przyjdzie wszystkim na śmierć.

By zrywać się ze snu w trwodze jak skazaniec:
Co potem –
Po życiu, z każdym z nas się stanie?

LULAJŹE, JEZUNIU opowieść wigilijna

Piętnastoletnia Majka (bez adresu),
notowana w policji jako ćpunka z bazaru
(włóczęgostwo, kradzieże, bójki itd.),
znana z ucieczek z domu i rejsów po kraju
(matka gdzieś tam w Irlandii, ojciec – wziął i przepadł,
a cóż babcia błądząca w zaspach Alzheimera?).
Majka nie zliczy melin i ćpunów z dyskotek –
po tabletkach extasy mało co się pamięta,
więc nawet nie spostrzegła, że brzuch coś nabrzmiewa –
czyżby bachor? Za późno by pozbyć się płodu
a zresztą sama nie wie kto mógłby być ojcem,
nawet który to miesiąc – i tak nastął grudzień.

Raz zapytała Kata – Rychu, jestem pewna,
no policz sam, wychodzi, to jednak twój dzieciak?
Co?!... i skopał jak szmatę, a celował w brzuch,
zwałił, zrzucił ze schodów: uduszę, zatłukę...
Kat był dealerem prochów, twardym szefem gangu,
miał takie powiązanie, że lepiej zejść z drogi,
mówiono... Majka nawet boi się powtórzyć,
a już teraz – i znów się objęła za brzuch.

Szła na oślep w łopocie pstrych iluminacji
opustoszałym miastem, gdy w oknach choinki
rozbłysły jak lichtarze. Niósł się pogłos kolęd
i śnieg migotał drobny. Nie podniosła oczu
choć już pierwsze gwiazdy spraszały do stołu.
... Nie, nie, tylko nie teraz. Boże, co ja pocznę?
(skurcze trwogi i bólu, że łbem walić w mur,
gryźć palce i rwać włosy), Matko przenajświętsza,
ulituj się nad Majką i weź ją do siebie.

Nie wie jak się znalazła pomiędzy kubłami
na podwórzu rudery, rozkraczona pod ścianą,
omdlewająca w męce, i co ciekło z niej
po obnażonych nogach. Nie, tylko nie teraz
w takim miejscu tej nocy, gdy wokół nikogo.
Czy to już się zaczyna, samo chce wyjść ze mnie...
Ten ból co brzuch rozrywa – ratunku, pomocy!
Daremnie, nikt nie słyszy szlochu i wołania
co teraz – gdy nikogo na ziemi i w niebie,

A ono już tak blisko, że czuć pod palcami
główkę co się wynurza... W tej chwili spostrzegła
na wprost w sieniej poświacie piwnicznego okna
dwa słońce w jej stronę połyskliwie szczury:
Nie, nie, wszystko lecz nie to – obronię, utulę!
To wtedy się rozległo: Lulajże, Jezuniu...
gdzieś z daleka gdy w żłóbku ujrzała dzieciątko
wyciągające rączki – lecz skąd i do kogo –
gdzie i kiedy to było? Poznają, pamiętam.
W błogim bólu śpij, nie płacz – Lulajże Jezuniu.



W przypowieści pojawi się i stary Józef,
wdowiec z drewnianą nogą po wypadku w hucie,
od wielu lat stróż nocny (dorabia do renty).
Człowiek zawsze uczynny, od lat bez rodziny,
tylko pies mu pozostał i kąt w oficynie
przyległy do piekarni, gdzie znalazł schronienie.
Jak dobrze się przytulić do rozgrzanej ściany
gdy nalewka rozgrzewa a piesek przybłąda
ułoży się na stopach i chrapie szczęśliwy.
No i tak Józefowi mija dzień za dniem.
I oby jak najdłużej było tak jak jest,
bo swoje w życiu przeszedł a oplakał wielu.

Kto sprawił, że szedł tędy tak by jego droga
przecięła się z jej drogą akurat w tym czasie
tu w zaułku bezdomnych, gdy wokół nikogo
pod najjaśniejszą gwiazdą wigilijnej nocy –
Syriuszem, co ponad dachami przystanął
i oświetlił kąt grozy mrocznego podwórza
tej rudery skazanej od lat na rozbiórkę,
gdzie lepiej nie zabłądzić nawet i za dnia.

Co to?... To tam z podwórza ktoś woła o pomoc.
Stary Józef przystanął i ruszył w tę stronę.
Czyj to głos, co się stało – to jakaś dziewczyna,
ale skąd tu się wzięła, sama o tej porze
i to w noc wigilijną gdy ludzie przy stołach
już dzielą się opłatkiem? Ależ ona rodzi –
Jezu Chryste, pomocy! Czy nikt mnie nie słyszy?...
Ciemne okna dokoła i cisza, nikogo
tylko blask Syriusza błądzi po podwórzu.

Podszedł do zapłakanej i jęczącej z bólu
– Skąd ja cię znam, dziewczyno? To ja, stary Józef.
Jestem przy tobie, słyszysz? Nie bój się, pomogę.
Lecz już nie płacz, daj rękę. Ja cię nie opuszczę.
Będę z tobą do końca. Słyszysz te kolędy?
To wielka łaska dziecko w taką noc urodzić
i szczęście. Ach, jak płacze – masz syna, masz syna!
Objął zziębniętą Majkę tulącą dzieciątko.
– Pomogę, nie opuszczę. Chodźmy stąd – wiem dokąd.

* * *

Stukot drewnianej stopy i płacz niemowlęcia
niósł się pod okno życia, tam je zostawili.
Święte dziecię tej nocy.

Lulajże, Jezuniu.

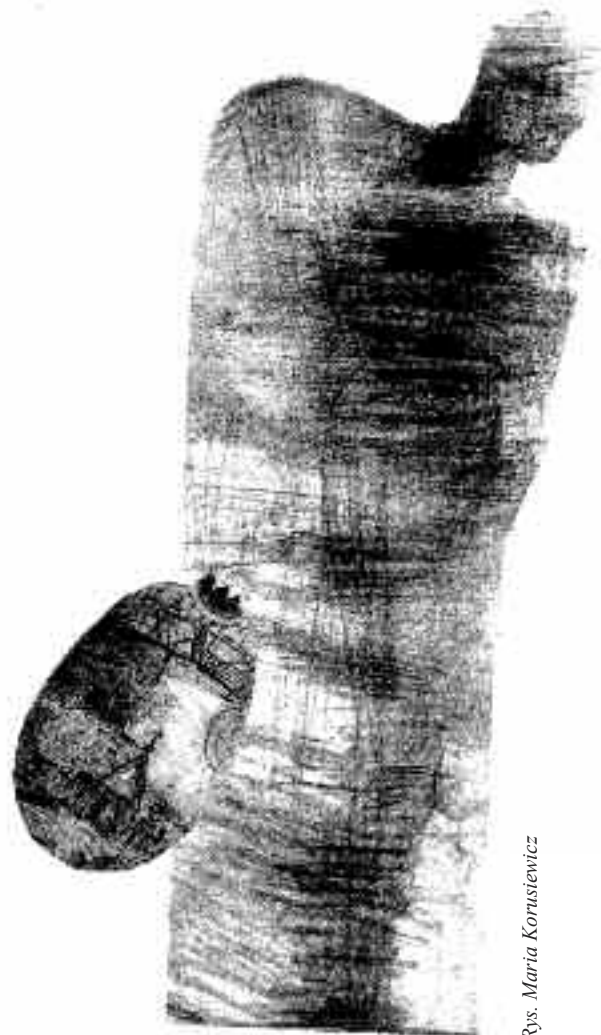
NIM STANIE SIĘ CIEMNOŚĆ

Ostała mi się tylko ta ostatnia gałka
Z choinek lat dziecięcych, co jeszcze pamięta
Moje pierwsze olśnienie pod świerczka lichtarzem.
Ja już siwy – i ona poszarzała, smętna,
Jak zasłuchana w sobie rzewna pastoralka
Co łza, gdy rok po roku żłobi rysy w twarzy.

Ileż spotkań i rozstań, falujących kołęd
I westchnień co opłatek pamięci skruszałej.
Kto jest, a kto nie siądzie przy domowym stole,
By słowa jak w dzieciństwie znów stały się ciałem.

Las choinek poza mną, a ile przede mną?
Może to już ostatnia –
Nim stanie się ciemność.

*Wiersze z przygotowanego do druku tomu
wierszy i poematów pt. WIGILIE*



Rys. Maria Korusiewicz

Powrót do źródeł

MAGDALENA DZIADEK



Fot. Irena Kontny

Witraż z w kościele pw. Wszystkich Świętych w Sierotach, przedstawiający św. Cecylię, patronkę muzyki organowej, chórzystów, zespołów wokalnno-muzycznych.

„Wszelkie utwory muzyczne, które władza ustawodawcza danego wyznania religijnego uznaje za odpowiednie i potrzebne, by doprowadzić do skutku czynności liturgiczne lub nabożeństwa” to, według definicji Hieronima Feichta (*Mała encyklopedia muzyki* PWN) muzyka liturgiczna. Religijna to ta, która „według zamierzenia kompozytora, jak i założeń oraz celu samego dzieła muzycznego stara się wyrazić uczucia religijne, nie będąc przeznaczoną dla celów kultu” (tamże). Obecnie rozróżnienia te nie są już ściśle honorowane ze względu na to, że muzyka nazywana dawniej religijną jest coraz szerzej dopuszczana w czynnościach liturgicznych, zaś sposoby wyrażania przez współczesnych kompozytorów uczuć religijnych stały się tak różnorodne, że przedmiot wymknął się spod kontroli. Sprzyja temu – jakże by inaczej – globalizacja kultury i wszelkie pluralizmy. Są kompozytorzy, którym bli-

skie są wszystkie religie na raz, co wydaje się sprzeczne z istotą tradycyjnego uczucia religijnego jako wlotu do konkretnego bóstwa. Inni są religijni w sposób ukryty albo „uogólniony”. Jeszcze inni (lub ich słuchacze) wskazują na istnienie treści religijnych – lub wprost *sacrum* – w dziełach, które nieświadomionemu odbiorcy wydają się nie mieć z religią nic wspólnego (głównie chodzi tu o utwory awangardowe, obywające się bez czytelnych figur retorycznych ewokujących nastroj sakralności: figur wzniosłości, powagi, czy też muzycznych symboli „kosmicznych”). Jak zatem ograniczyć nasz przedmiot?

Proponuję nazwać muzyką religijną – w ogromnym oczywiście uproszczeniu – tę, która powstaje na użytek wspólnoty wyznaniowej i z reguły jest tworzona przez członka tejże wspólnoty (małej lub wielkiej tj. narodu), w taki sposób, że jej intencją bycia religijną jest wyrażona czytelnie dla odbiorców

za pomocą tytułu, treści towarzyszących muzyce słów, albo zawartych w muzycznej materii odniesień symbolicznych bądź cytatów. W tym praktycznym znaczeniu uprawianie muzyki religijnej byłoby zatem zawodem lub społeczną misją, a najczęściej bywa jednym i drugim na raz.

Śląska tradycja muzyki religijnej

mieści się w owym obszarze wyjątkowo dobrze, jako że przez kilka stuleci jej tworzenie odbywało się głównie w kręgu zawodowych muzyków kościelnych – katolickich, protestanckich i żydowskich, związanych z konkretnymi świątyniami, instytucjami edukacyjnymi oraz amatorskimi towarzystwami ufundowanymi w celu pielęgnowania muzyki danego wyznania. Spośród tych tradycji najlepiej przebadana jest muzyka kręgów wyznaniowych katolickiego

i protestanckiego. Początki tradycji katolickiej na Śląsku sięgają średniowiecza (od XV wieku zauważalna jest działalność muzyczna katedry wrocławskiej, związana ze sprawowaną przez nią funkcją centrum duszpasterstwa liturgicznego dla Śląska), a dzieje nowożytnej muzyki śląskich katolików i protestantów zaczynają się z końcem XVII wieku, w epoce, kiedy ustala się zawód „dyrektora muzyki” – osoby sprawującej pieczę nad wykonywaniem muzyki w kościele (tj. grającej na organach, prowadzącej chór bądź kapelę i tworzącej repertuar liturgiczny) oraz szkolną edukacją muzyczną w danym ośrodku miejskim. XVIII-wieczny teoretyk i historyk muzyki Johann Mattheson wymienił w swoim biograficznym kompendium *Grundlage einer Ehren-Pforte* z 1740 roku ośmiu takich dyrektorów, których nazywał „śląskimi”. Był wśród nich jeden kantor oraz siedmiu organistów, związanych z Wrocławiem i pobliskimi miastami dzisiejszego Dolnego Śląska (Trzebnica, Legnica, Jelenia Góra). Nie wszyscy byli wykształceni we Wrocławiu – niektórzy uczyli się w miastach niemieckich. Ogromne zapotrzebowanie na muzykę i muzyków kościelnych, jak również rosnący prestiż „dyrektorów muzyki” zdecydował o tym, że już na początku XIX wieku (po reformie edukacji z 1809 roku) z inicjatywy władz pruskich powstał w Berlinie rządowy Instytut Muzyki Kościelnej i Szkolnej, kształcący przygotowanych muzycznie pedagogów, a następnie podobny Instytut przy Uniwersytecie Wrocławskim (1815), kształcący kadry dla obu wyznań: katolickiego i ewangelickiego. Te właśnie szkoły wykształciły pierwsze pokolenie XIX-wiecznych muzyków pracujących dla kościołów Śląska Górnego. Analogiczną rolę spełniły dla Śląska Austriackiego szkoły prowadzone przez jezuitów, mieszczące się na Morawach. Nie należy zapominać także o roli śląskich państwowych seminariów nauczycielskich (pierwsze otwarto we Wrocławiu już w 1812 roku), z których wyszło wielu absolwentów łączących zawód nauczyciela i organisty (jako że obowiązkowo uczono w nich muzyki), i oczywiście o synagogach, gdzie kształcono kantorów i tworzone nowoczesny repertuar religijny, łączący synagogalną tradycję z wpływami nowoczesnej muzyki europejskiej. Wśród najbardziej zasłużonych muzyków, którzy zapoczątkowali edukację kadr dla śląskich kościołów chrześcijańskich byli Joseph Ignaz Schnabel (wrocławski kapelmistrz katedralny), Friedrich Wilhelm Berner (organista ewangelickiego kościoła św. Elżbiety tamże) i Franz Hoffmann (założyciel Collegium Musicum przy Uniwersytecie Wrocławskim), a jeśli chodzi o kantorów żydowskich – Moritz Deutsch

(nadkantor wrocławskiej synagogi od 1844, wychowawca całej grupy kantorów działających w Zachodniej Europie, a wywodzących się w dużej mierze z Czech, Węgier, Polski i Rosji).

w kantatach i oratoriach Bacha, wykonywanych przez czołowy wrocławski zespół chórny – Singakademie Johanna Theodora Moseviusa. Pomędzy poszczególnymi kręgami istniał również

Muzyka organowa (jak i śpiew ludu) odgrywały w Kościele protestanckim o wiele większą rolę niż w katolickim, a w związku z tym wcześniej powstała tam kadra organistów wirtuozów z prawdziwego zdarzenia, świetnie wykształconych również w zakresie sztuki improwizacji i kompozycji.

Co ważne dla śląskiej tradycji muzyki religijnej, jej poszczególne gałęzie wyznaniowe nigdy nie były od siebie całkowicie odizolowane.

Prowadzono wymianę personalną

między instytucjami chrześcijańskimi i żydowskimi – na przykład wspomniany Moritz Deutsch podczas pobytu we Wrocławiu śpiewał partie tenorowe

stały przepływ – jeśli nie konkretnego repertuaru, to każdym razie idei kompozytorskich. Pokazuje to na przykład „wędrówka” pieśni religijnych w obrębie kultury katolickiej i protestanckiej (spektakularnym przykładem jest wspólne *Te Deum* zwane „śląskim *Te Deum*”, czy też śpiewana w obu Kościołach pieśń wielkanocna *Christ ist erstanden* (*Chrystus zmartwychwstan jest*), jak również wiele XIX-wiecznych opracowań śpiewów synagogalnych, których twórcy



Johann Mattheson, *Grundlage einer Ehren-Pforte*, 1740

Fot. internet



Henryk Mikołaj Górecki

chcieli nadążać za przemianami, jakie zachodziły na gruncie religijnej muzyki chrześcijańskiej – adaptowali formę oratorium oraz pisali opracowania chóralne wykorzystujące technikę polifoniczną oraz nowoczesną europejską harmonikę.

Przykładów z gruntu śląskiego dostarcza choćby twórczość związanego w latach 60. XIX w. z synagogą w Bytomiu Josepha Singera, a także działalność jego syna Simona, kantora w Katowicach,

Środkowej Europie, muzykolodzy eufemistycznie oceniają jako stojący na „całkiem przyzwoitym poziomie rzemieślniczym”) oraz konstruowania zbiorów pieśni mszalnych i powszechnych dla ludu. Mamy na to doskonałe przykłady z terenu Śląska. Najbliższy czytelnikom naszego miesięcznika będzie tu przykład Karola Hoppego, który w 1909 roku założył w swojej parafii w Bogucicach chór, dla którego komponował liczne msze i inne utwory liturgiczne, nadto był autorem użytkowych utworów organowych, wydawcą zbiorów pieśni oraz nauczycielem muzyki kościelnej w szkołach katowickich (polskich, a w czasie II wojny niemieckich). Na przykładzie utworów organowych Hoppego można wiarygodnie omawiać stan muzyki organowej na Śląsku u progu XX wieku. Był on analogiczny jak w większości ówczesnych ośrodków Środkowej Europie, tj. jeśli już próbowano ją realizować w oparciu o tradycyjne gatunki: przygrywki, fantazje, fugi, to czyniono to na poziomie amatorskim. Nie tworzono zresztą owej użytkowej muzyki zbyt wiele, korzystano bowiem głównie z popularnych XIX-wiecznych wydawnictw niemieckich.

Postęp w dziedzinie przeżywającej silny kryzys muzyki kościelnej, związany także z wkradaniem się do kościoła muzyki świeckiej, wiązał się z recepcją tzw. reformy cecylińskiej, która przypadła na początek XX wieku. Jej krzewiciele upowszechnili świadomość od-

katolickim św. Marii Magdaleny. Również i Kisza opracowywał pieśni dla prowadzonego przez siebie chóru kościelnego, zasłużył się ponadto jako nauczyciel muzyki w cieszyńskich szkołach średnich i zbieracz miejscowego folkloru. Można też wymienić kilka osób związanych z kręgiem śląskiej muzyki kościelnej, którzy zrobili w XX-leciu międzywojennym i po II wojnie światowej prawdziwe kariery jako kompozytorzy i profesorowie uczelni muzycznych bądź muzykolodzy: z polskiego kręgu byłiby to m.in. ksiądz Wendelin Swierczek, wywodzący się z ziemi rybnickiej, zawodowo związany m.in. z Krakowem, gdzie prowadził badania nad dawnymi źródłami polskiej muzyki kościelnej, Jan Gawlas, wybitny kompozytor i teoretyk muzyki, który w latach 60. XX wieku sprawował funkcję rektora katowickiej PWSM, czy Bolesław Szabelski – profesor organów w przedwojennym katowickim konserwatorium, w którego obfitym dorobku kompozytorskim sprzed wojny znajduje się *II Symfonia* zawierająca cytat z Gorkich Żalów oraz *Magnificat*, a z kręgu niemieckiego – np. Günter Bialas, wychowanek Fritza Lubricha, pedagog Wyższego Instytutu Muzyki Kościelnej i Szkolnej przy Uniwersytecie Wrocławskim, od 1939 roku działający w Niemczech z wielkim powodzeniem jako chórmistrz i kompozytor.

Podtrzymany w okresie II Rzeczypospolitej obowiązek nauki muzyki w państwowych seminariach nauczycielskich sprawił, że i w polskiej części Śląska obowiązywała w międzywojniu zasada zajmowania przez nauczycieli muzyki funkcji organistów. Byli oni czynni po próg lat 80. 19. stulecia, sprawiając, że muzyka w tutejszych kościołach, nawet wiejskich, prezentowała się solidniej niż w innych częściach kraju i dłużej opierano się tu inwazji muzycznej tandety w postaci kiepsko rymowanych twórców, przemycających nieraz – dla zgodności częstochowskiego rymu – czystą herezję, nie mówiąc już o kaleczeniu polszczyzny (mój „ulubiony” przykład to „wnieśmy ręce wzwyż” ...).

Podtrzymany w okresie II Rzeczypospolitej obowiązek nauki muzyki w państwowych seminariach nauczycielskich sprawił, że i w polskiej części Śląska obowiązywała w międzywojniu zasada zajmowania przez nauczycieli muzyki funkcji organistów.

dzięki któremu w 1906 roku zabrzmiało tu oratorium Hermanna Ziviego „Ueber Babylon nach Rom”. Singer starszy miał też udział w powstaniu ogólnoniemieckiego Związku Kantorów, który regulował we współpracy z podobną organizacją działającą w Austro-Węgrzech międzynarodowe kontakty muzyków żydowskich. Dzięki temu sprawnie odławiano talenty rodzące się w tak – wydawałoby się – nieprawdopodobnych miejscach, jak Suwałki, Zduńska, Wola czy Brody, a muzyka synagogalna – popierana przez rządy pruski i austrowęgierski – nabrała u progu XX wieku charakteru światowego, czego nie można powiedzieć o muzyce kręgu chrześcijańskiego, zwłaszcza katolickiego. Ta ostatnia ograniczyła się w ciągu XVIII i XIX stulecia do kulturowania konserwatywnego nurtu muzyki wokально-instrumentalnej tworzonej dla utrzymywanych przy klasztorach i większych kościołach kapel (repertuar ten, dziś ochoczo odkrywany w całej

rębności stylu muzyki kościelnej, łącząco – na nowo – z polifonią oraz z tradycją chorału gregoriańskiego. Równie poważnym impulsem postępu była dla organistów katolickich rywalizacja z muzykami ewangelickimi. Muzyka organowa (jak i śpiew ludu) odgrywały w Kościele protestanckim o wiele większą rolę niż w katolickim, a w związku z tym wcześniej powstała tam kadra organistów wirtuozów z prawdziwego zdarzenia, świetnie wykształconych również w zakresie sztuki improwizacji i kompozycji. Kolejne dobre przykłady z naszego terenu to działalność wybitnego muzyka związanego z Bielskiem i Katowicami Fritza Lubricha (wychowanek samego Maxa Regera), czy też Andrzeja i Karola Hławiczaków w kościele Jezusowym w Cieszynie, dla którego Karol Hławiczka wystarał się w latach 20. XX wieku o nowe organy. „Odpowiedzią” na starania Hławiczki była z kolei działalność Wiktora Kiszy w parafialnym cieszyńskim kościele

Okres komunizmu

był oczywiście czasem niezbyt łaskawym dla muzyki kościelnej, ale niekoniecznie tylko z przyczyn politycznych. W nurcie użytkowym muzyka ta przeszła wewnętrzny kryzys związany z próbami nadążania za potrzebami młodych wiernych. Kilka chwalebnych wyjątków stanowią kompozycje kolejnego pokolenia nauczycieli organistów – np. już w 1953 roku powstała *Missa simplex* na organy Józefa Świdra, podówczas organisty w kościele garnizonowym w Katowicach. W nurcie artystycznym inspiracje religijne były na-

Okres komunizmu był oczywiście czasem niezbyt łaskawym dla muzyki kościelnej, ale niekoniecznie tylko z przyczyn politycznych. W nurcie użytkowym muzyka ta przeszła wewnętrzny kryzys związany z próbami nawiązania do potrzebami młodych wiernych.

tomiast, wbrew laickiej atmosferze forsowanej przez władze i media, dość częste. Dotyczyły zrazu – jeśli chodzi o muzykę śląską – opracowań pieśni kościelnych, odwołań do tradycyjnych gatunków muzyki kościelnej, traktowanych jako propozycje konkretnych rozwiązań formalnych i technicznych, lub nawiązań do znanych tekstów biblijnych (np. poszczególne części Symfonii „1959” Henryka Mikołaja Góreckiego noszą nazwy: Inwokacja, Antyfony, Chorał, Lauda, a z roku 1961 pochodzi jego utwór *Chorał w formie kanonu*; w 1965 roku odbyło się prawykonanie *Apokalypsis* Edwarda Bogusławskiego o tematyce wojennej, z tego samego roku pochodzą *Śpiewy łacińskie* Ryszarda Gąbryśa do tekstów biblijnych). W dorobku Góreckiego z lat 70. znajdziemy już kilka utworów niosących treści religijne. Są to wydane w 1971 roku w dwóch wersjach: z fortepianem i orkiestrą *Dwie pieśni sakralne* do słów Marka Skwarcickiego, pochodzące z tegoż roku *Ad Matrem* zawierające cytat z sekwencji *Stabat Mater*, *Symfonia „Kopernikowska”*, w której znalazły się cytaty słowne z psalmów oraz opublikowane w roku 1972 *Euntes ibant et flebant*, również z tekstem psalmowym, a dalej choralne *Amen* (1975), *III Symfonia pieśni żałobnych* z cytatem z *Lamentu świętokrzyskiego* i oczywiście słynne *Beatus vir* (1979), stanowiące przełom w historii muzyki polskiej i polskiej kultury. W latach 70. XX w. po inspiracje religijne sięgnęli także sędziwy Bolesław Szabelski (w po-

emacie *Mikołaj Kopernik*, 1975), Wojciech Kilar (*Przygrywka i Kolęda*, 1973 i *Bogurodzica*, 1975) oraz ponownie Ryszard Gąbryś (*Aria* do słów starotestamentowych z 1977 roku). Natomiast młode pokolenie śląskich twórców, które debiutowało w II połowie lat 70. jako słynne „pokolenie stalowowolskie” było zrazu dość oszczędne, jeśli idzie o eksploatację wątków religijnych. Wyjątkiem był oczywiście Julian Gemba-

Prawdziwy wysyp kompozycji religijnych przypadł na Śląsku – jak i w całej Polsce – na epokę „Solidarności”.

ski, od początku kariery organisty i improwizatora związany zawodowo i z uczelnią, i z kościołem. Natomiast z trójki: Aleksander Lasoń, Andrzej Krzanowski, Eugeniusz Knapik jedynie ten ostatni jednorazowo sięgnął po teksty psalmów – w swojej kompozycji dyplomowej z 1976 roku. Być może zadziałała tu obawa przez objęciem roli naśladowców starszego pokolenia.

Prawdziwy wysyp kompozycji religijnych

przypadł na Śląsku – jak i w całej Polsce – na epokę „Solidarności”. W świadomości wszystkich Polaków czas ten symbolizuje seria dzieł wokально-instrumentalnych Wojciecha Kilara (*Exodus*, 1981, *Victoria*, 1983, *Angelus*, 1984), rozpoczynająca ponad trzydzie-

stoletni okres dominacji tematyki religijnej w jego twórczości. Innym symbolem może być też *Cantus gloriosus* Józefa Świdra, znaczący cezurę w jego twórczości, która w latach 80. rozkwitła na nowo również w oparciu o inspiracje religijne (seria mszy choralnych, liczne pieśni do tekstów religijnych, m.in. napisane u schyłku życia pieśni do słów Jana Pawła II). Religijne utwory Kilara i Świdra odniosły w latach 90. sukces masowy, warto jednak wspomnieć także te, które napisali wtedy kompozytorzy bliżsi awangardzie: *Salve Regina* Andrzeja Krzanowskiego (1981), *Magnificat* (1986) i *Haec dies* (1993) Andrzeja Dziadka, *Musica sacra* Jana Wincentego Hawela (1991), *Miserere* Witolda Szalonka (1997), *Requiem* i *Psalm*

Dawida Edwarda Bogusławskiego (1998), seria utworów inspirowanych chorałem protestanckim Ryszarda Gąbryśa (np. *Wniebogłoso*, 1998) i oczywiście kolejne dzieła Góreckiego, m.in. *Miserere* (1981), *Pieśni Maryjne* (1985), *O domina nostra. Medytacje i Jasnogórskiej Pani Naszej* (1985), *Pieśni kościelne* (1986). Na tle powszechnej historii muzyki polskiej tak obfita produkcja w dziedzinie muzyki religijnej nie jest niczym wyjątkowym – dekady, które przyniosły wiadome przemiany społeczne i polityczne sprzyjały powstawaniu tego rodzaju dzieł – wskazujących na tradycję, chrześcijańskie wartości, wywołujących żywe reakcje w tamtej rzeczywistości. Wysznuwać stąd ogólne wnioski na temat religijności czy tzw. duchowości śląskich i polskich artystów byłoby przedwczesne. Fenomen wysypu twórczości religijnej domaga się bowiem także trzeźwego oglądu socjologicznego, uwzględniającego takie jego aspekty, jak zapotrzebowanie społeczne, zamówienia, stosunek władz i mediów do sztuki religijnej. Podobnie, nie można od razu wyrokować o uwiązaniu wiary czy uczuć religijnych w najmłodszym pokoleniu śląskich kompozytorów, którzy niemal w ogóle nie piszą muzyki religijnej, podobnie jak ich koledy z innych regionów kraju. Może to być znowu reakcja na nadmierną podaż tego rodzaju muzyki w poprzednich dekadach, jak również „skutek uboczny” fali powrotów do estetyki awangardowej, która „nie lubi” zbyt czytelnych pozamuzycznych odniesień. Najogólniejsza obserwacja, jaka się w tej chwili narzuca, to powrót muzyki religijnej „do źródeł” tj. do twórczości o charakterze użytkowym. Sporo mają tu do zaproponowania artyści związani z nurtem muzyki etnicznej czy rozrywkowej. Jest to już jednak zupełnie inny temat. ■

Fot. Zbigniew Sawicz



Wojciech Kilar w rozmowie z o. Sebastianem Mateckim – podprzeorem Jasnej Góry



Uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego Wojciechowi Kilarowi, ceremonii przewodził JM rektor UŚ prof. dr hab. Wiesław Banyś

Pamięci Wojciecha Kilara

29 grudnia mija druga rocznica śmierci Wojciecha Kilara, światowej sławy kompozytora, twórcy utworów orkiestrowych, kameralnych, wokально-instrumentalnych i fortepianowych, muzyki filmowej, współtwórcy polskiej szkoły kompozytorskiej, humanisty i mistrza młodych pokoleń. 18 czerwca 2012 r. na Wydziale Teologicznym w Katowicach odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego Wojciechowi Kilarowi. Jednym z recenzentów honorowego przewodu doktorskiego był prof. Józef Świder. Poniżej publikujemy tekst przekazany redakcji naszego miesięcznika przez rodzinę Profesora.

prof. JÓZEF ŚWIDER

Opinia o muzyce Wojciecha Kilara z okazji nadania mu godności doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Śląski w Katowicach

Pozwolę sobie niniejszej recenzji nadać kształt mniej naukowy, bardziej osobisty; mniej podpierać się „literaturą przedmiotu” a częściej odwoływać się do własnych przeżyć i wspomnień, co czynię z dwóch względów:

Pierwszy – bogata i jak się wydaje dość powszechnie znana twórczość Wojciecha Kilara – szczególnie ostatnio

z okazji rocznicy jego urodzin – zwalnia niejako recenzenta z wyliczania szczegółów; muzyka Kilara to nie tylko świat współczesnej muzyki poważnej ale to też jego atrakcyjne melodie z muzyki filmowej rozpoznawane i nuncione w szerokich kręgach.

Drugą przyczyną osobistego recenzowania jest fakt, że byłem szkolnym ko-

legą Wojciecha Kilara i właśnie te jego (nasze) młodzieńcze lata pragnę szczególnie powspominać, zwłaszcza że jestem jednym z nielicznych żyjących świadków tamtych czasów.

Wojciecha Kilara spotkałem z początkiem września 1948 roku. Byłem uczniem maturalnej klasy katowickiego Liceum Muzycznego, kiedy ówczes-

sny dyrektor i założyciel szkoły prof. Józef Powroźniak na porannym apelu przedstawił nam trzech nowych „uzdolnionych” kolegów, przybyłych z Rzeszowa – byli to: już wtedy wyróżniający się pianista Adam Harasiewicz (późniejszy laureat Konkursu Chopinowskiego), zdobywca młodzieżowej nagrody kompozytorskiej Wojciech Kilar i pianista Tadeusz Wojturski – wszyscy wyrośnięci 16-latkowie w krótkich spodniach. Później dopytywaliśmy się kolegów z młodszej klasy o tego nowego, zdolnego kompozytora; mówili: dobry kolega, dobry uczeń, nie jest ani kujonem ani gwiazdorem, opuszcza zajęcia, które go nie interesują.

Katowickie Liceum Muzyczne w latach powojennych było pierwszą i jedyną szkołą, gdzie można było uzyskać dyplom średniej szkoły muzycznej i świadectwo maturalne; stąd już wtedy znalazło się tu wielu utalentowanych muzyków z całej Polski. Uczyli nas przedwojenni nauczyciele i mieliśmy ciepłarniane warunki, bo nauczycielom „ogólnym” imponowało to, że ładnie śpiewaliśmy w chórze i graliśmy na instrumentach; za to przymykali oczy na nasze mierne zdolności matematyczno-fizyczne.

W 1950 roku spotkaliśmy się z Wojciechem Kilarą bezpośrednio w Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach jako studenci pierwszego roku kompozycji w klasie profesora Bolesława Woytowicza, gdzie poznawaliśmy nową muzykę (w tym nasze utwory), zdawaliśmy kolejne egzaminy i po pięciu latach kończyliśmy studia.

Wtedy mogłem bliżej Wojtka poznać – rzeczywiście był dobrym kolegą i takim też pozostał, uczestniczył w towarzyskim życiu studenckim, zaliczał egzaminy, był taki jak my wszyscy. Szczególnie zapamiętałem jego spontaniczne improwizowania na świetlicowym pianinie; improwizacje wtedy nie były powszechne w naszym środowisku, a w tej zabawie Wojtek miał doskonałego partnera Zdzisława Szostaka, późniejszego kompozytora i dyrygenta; ich nieprzewidywalne występy na cztery ręce wzbudzały powszechny zachwyty.

Poznawałem też pierwsze „szkolne” kompozycje Kilara – najbardziej zapamiętane: cykl preludiumów na fortepian, *Kwintet na instrumenty dęte*, czy *Sonata na róg i fortepian*. Utwory te wzbudzały nie tylko mój podziw (z nutką zazdrości) – powszechnie podobała się świeżość pomysłów i dojrzała forma muzyki Kilara; utwory te od razu wchodziły w stały repertuar studenckich zespołów muzycznych i były często wykonywane – jak byśmy dziś powiedzieli: stawały się hitami. Problemy stylistyczne, nowatorstwo, czy zachowawczość języka muzycznego intere-

sowały nas w czasach tzw. realizmu socjalistycznego drugorzędnie. W akademickich dyskusjach związanych z twórczością Wojtek na ogół nie brał udziału – po prostu pisał kolejny utwór, który był znowu chętnie grany i słuchany.

W roku 1955 w Filharmonii Śląskiej miał miejsce pierwszy po wojnie koncert dyplomantów klas kompozycji – w programie była też *Mala uvertura* Kilara, która od razu stała się orkiestrowym przebojem. Koncertem dyrygował świeżo mianowany dyrektor Filharmonii Karol Stryja, późniejszy nasz przyjaciel i wykonawca wielu naszych partytur.

Po ukończeniu studiów większość z nas zatrudniła się w Wyższej Szkole Muzycznej i dzieliliśmy pracę twórczą z pedagogiczną – tak było w wypadku Henryka Mikołaja Góreckiego, Jana Wincentego Hawela, Edwarda Bogusławskiego, a także naszych wychowanków Aleksandra Lasonia czy Eugeniusza Knapika. Wojtek Kilara poszedł inną drogą – pisał muzykę do spektakli teatralnych a potem do filmów. Ponieważ robił to sensownie, z wyczuciem ilustrował muzyką nastroje sceniczne, posługiwał się dobrym rzemiosłem kompozytorskim i dostarczał zamówioną muzykę w przewidzianym czasie, wkrótce stał się poszukiwanym przez reżyserów autorem tego typu muzyki. W porównaniu z nami, kompozytorami-pedagogami, Wojtek wygrał – dysponował na bieżąco nagraniami swoich nowych utworów, co dla kompozytora jest ważne, bo dopiero w muzyce zagranej czy zaśpiewanej spełnia się jego wizja twórcza. Nie musiał prowadzić jałowych

często dyskusji dydaktyczno-wychowawczych, czy partyjno-światopoglądowych, jakich było zawsze pełno w uczelniach. Finansowo też na tym lepiej wychodził.

Kilar nie ograniczał się do pisania muzyki filmowej; tworzył dzieła symfoniczne, kameralne, bierze udział w transformacji języka muzycznego polskich kompozytorów, jaki następował w latach odwilży, co szczególnie dostrzegalne jest w takich utworach jak *Riff 62*, czy *Upstairs-Downstairs*; robi to w nieortodoksyjny, „kilarowski” sposób, i tym jego muzyka różniła się od twórczości radykalnych w tym czasie awangardowo tworzących kolegów.

Jedno wspomnienie z tych lat – kiedy na kolejnym Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień” wykonano i przyjęto z ogromnym aplauzem nowy utwór Kilara *Krzesany*, w gorącej rozmowie po wykonaniu oburzony kolega z radykalnej awangardy ubolewał, że taki kicz znalazł się na poważnym festiwalu. Nie przewidział, że ten „kicz” stanie się ulubionym utworem wszystkich zespołów filharmonicznych, że nowatorstwo „Krzesanego” polegało na świeżym wykorzystaniu polskiego folkloru muzycznego, a nie stosowaniu technik modnej wtedy dodekafonii czy punktualizmu.

Wprawdzie nie znam wszystkich filmów z muzyką Kilara, nie śledziłem też kolejnych prawykonań jego utworów ale zawsze z satysfakcją rozpoznaję w słuchanym anonimowo utworze styl muzyki Wojtka – niezależnie od formy i rodzaju utworu, styl muzyki tak indywidualnej, choć różnorodnej i tak podobnej, do tego co fascynowało mnie w jego muzyce z naszych młodych lat.

Ta jednolita a zarazem różnorodna twórczość Wojciecha Kilara jest wyjątkowym zjawiskiem w polskiej muzyce i z pewnością będzie długo podziwiana i badana w jej wielorakich aspektach, choćby takich jak:

- muzyka filmowa – bogactwo, różnorodne zastosowanie, samoistna wartość artystyczna;
 - stosunek do polskiej muzyki ludowej zaprezentowany w młodych latach w opracowaniach beskidzkich melodii dla Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” a później w symfonicznych formach (*Krzesany*, *Orawa*, *Siwa mgła*);
 - muzyka symfoniczna w symfoniach, poematach i koncertach;
 - muzyka sakralna inspirowana tekstami religijnymi;
 - forma w muzyce symfonicznej i oratoryjnej;
 - typy melodyki –
- i wiele innych czynników kształtujących styl jego muzyki, która, jak sądzę, zawsze będzie chętnie wykonywana i słuchana. (...)

Fundacja im. Józefa Świdra

W 85. rocznicę urodzin prof. Józefa Świdra (1930–2014) – wybitnego kompozytora i pedagoga związanego z Akademią Muzyczną w Katowicach im. Karola Szymanowskiego, także jako prorektor tej uczelni, oraz z Instytutem Muzyki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, zasiadającego w gremiach jurorskich krajowych i międzynarodowych konkursów chóralskich, rodzina Kompozytora ustanowiła Fundację imienia Józefa Świdra. Prezesem Fundacji jest córka Kompozytora Magdalena Świder-Śnioszek. Celem Fundacji jest upowszechnianie, promocja, gromadzenie, dokumentowanie, ochrona i kultywowanie w kraju i zagranicą twórczości kompozytorskiej, dorobku i spuścizny muzycznej Józefa Świdra.

Informacje o działalności Fundacji można znaleźć na stronie internetowej www.jozefswider.pl



Zespół SBB był gwiazdą 10. Festiwalu Młodych Talentów Niemen Non Stop w Słupsku (27.XI br), na zdjęciu Józef Skrzek podczas koncertu

Umówiliśmy się w siemianowickim Zameczku, ale gdy nadeszła godzina spotkania zadzwonił, bym jednak przyszedł do niego do domu. Ucieszył mnie ten spacer... Zmierzało, dzięki czemu michałkowicka ulica Żeromskiego wyglądała tak, jak pięćdziesiąt lat wcześniej, gdy Józef uczył się od mamy i taty wszystkiego tego, o czym chciał mi podczas naszej rozmowy powiedzieć... wartości (a wśród nich... muzyki). Józef mówi tak, jakby wciąż na nowo odkrywał przeżycia dawne i nowe, takie o których wspominał już nieraz, a czasem po wielokroć. Potrafi je przeżywać wciąż tak, jakby zdarzały się po raz pierwszy. Łapie się za głowę, zdumiewa, wzrusza... Przeskakuje z tematu na temat. Jak małe dziecko odkrywa radości najprostsze.

Viator

z rozmów z Józefem Skrzekiem

JACEK KUREK

Czekam na zorzę, na dzień zmartwychwstania

Alina Skrzek

Z pierwszych ważniejszych odkryć

Kiedy rozmawiamy, raz po raz przypomina: „Wiesz..., mnie i Czesława [Niemena – J. K.] chcieli poróżnić, tak to wyglądało w mediach i pewnie w naszych ówczesnych emocjach, ale nie wierz temu. Czesław, to był wyjątkowy człowiek. Nasza przyjaźń trwałaby, gdy nie ci, którzy nas na siebie szczuli. SBB

zagrało z nim, bo nas posłuchał i tego chciał. Wcześniej znał tylko mnie, ale zaufał całej naszej trójce. Mogliśmy dzięki niemu zagrać w Monachium z Mahavishnu Orchestra i Charlesem Mingusem. To dla zespołu na dorobku w PRL lat siedemdziesiątych naprawdę było wiele. Tak jak my dziś chodzimy z telefonami komórkowymi, tak Niemen chodził z tomikiem wierszy Norwida. Mówią, że wcze-

śniej odszedłem od Breakout, bo się pokłóciłem z Józkiem Hajdaszem, i temu nie wierz. Józek jest w porządku (a z Mirą Kubasińską robiłem prawo jazdy w Świnoujściu)”.

To właśnie jest u Józefa Skrzeka miarą śląskiego ducha, zapamiętuje ludzi dobrze, bywa, że się z nimi ściera, ściera też w pamięci, ale ich nie osądza i spokojnie pozwala czasowi leczyć rany. Osobowości takie jak członkowie SBB i Czesław Niemen nie mogły długo ze sobą istnieć w jednym zespole. I nie trzeba psychologa, żeby to zrozumieć...

Z których krwi krew moja

Józef powtarza: „Przed wszystkim J widzieć chcę najpierw dobro. Trzeba znaleźć wspólny język, porozumienie, ja naprawdę wierzę, że tylko dobrem można zwyciężyć zło... A im bardziej dzisiaj słyszę o tych wszystkich odwetach, bombardowaniach, tym bardziej się przekonuję, że mam rację, bo przez przemoc donikąd nie dojdziemy. Pamiętam – mówi dalej jak w transie – kiedy stanąłem przed moją pierwszą wielką szansą, za kilka tygodni miałem wejść do studia z zespołem Breakout, by nagrać z nią jej drugi album *70a*. Powiedziałem o tym ojcu, pobłogosławił moją decyzję, ucieszył się, wiedział, że świat się przede mną otwiera, ale nazajutrz już nie żył. Nigdy bowiem nie wrócił do zdrowia po tym, jak w czasie akcji ratowniczej w kopalni włożył nieszczelną maskę. Od śmierci ojca Józef był w domu najstarszy pośród rodzeństwa (miał wówczas 12-letnią siostrę Teresę i 15-letniego brata Janka). „Czułem na sobie wielką odpowiedzialność – mówi. – Ja już wtedy wiedziałem, że nie wyjadę na stałe, że będę wracał do domu, że w gruncie rzeczy nigdy go nie opuszczę. To była moja powinność wobec rodziny”. Na trzeciej płycie SBB jest taki utwór, który dedykował ojcu *W kołysce dłoni twych*.

Ta sytuacja w śląskim domu, gdy nagle brakuje „chopa”, gdy mama żyje już tylko dla dzieci i z lękiem o nie. Ta pustka po zmarłym górniku to doświadczenie głęboko śląskie, mocno związane z kulturą i duchowością tej ziemi.

Pola szczęścia i tęsknoty

W 1981 roku odbył się z inicjatywy bpa Herberta Bednorza pierwszy Śląski Sacrosong w Katowicach. Kierował nim ks. Stanisław Puchała, a przewodniczącym jury w latach 1981-1984 był dawny proboszcz Józefa ks. Jan Sierla, michałkowicki proboszcz, kapelan „Solidarności”, człowiek kochający muzykę. „Michałkowicka fara – mówi Józef – była dla mnie ważna. Proboszcz Sierala miał telefon. A kiedy byłem daleko od domu, to do niego dzwoniłem, żeby móc porozmawiać z rodziną, bo my wtedy jeszcze nie mieliśmy telefonu. By-

liśmy tak umówieni, że przychodziło się w określonej porze do farorza i mogliśmy rozmawiać. Tak symbolicznie wtedy Kościół łączył naszą rodzinę... I nadal ją łączy.

Na Śląski Sacrosong zaprosił mnie ks. Stanisław Puchała – wspomina Józef. – Przyjechałem prosto z Wiednia. Dla mnie trwał bardzo ważny czas. Kończyła się pierwsza dekada wspólnej historii SBB, ja chciałem się oderwać od show biznesu. Nadchodził czas, w którym jakiś głos we mnie mówił, że muszę być w Kościele. Zaczęło do mnie docierać, że potrzeba mi czasu, by nad sobą pomyśleć. Grając muzykę z taką intensywnością, jak mnie się to zdarzyło, możesz zapomnieć, co jest ważne, dlatego zacząłem wracać do wiary. Nie chciałem też grać „na efekt”, ale z potrzeby serca. To było jeszcze przed stanem wojennym, a więc zanim polskie kościoły zapęfnily się artystami.

Dosłownie na kilka godzin przed początkiem stanu wojennego miał miejsce pierwszy pokaz filmu Jerzego Skolimowskiego *Ręce do góry*. To było na Kongresie Kultury Polskiej. Skrzek pisał muzykę do tego obrazu, który zresztą powstał już w 1967 roku, ale cenzura nie dopuściła go do obiegu. Stan wojenny zatrzymał film na kolejnych kilka lat. Dopiero od 1985 roku znowu był pokazywany. Skrzek mógł wtedy opuścić kraj, ale górę wzięło w nim to coś w głębi duszy, co od lat trzymało go w domu, a może raczej w bliskości domu, w nieustannej gotowości. „Moja żona Alina – mówi – była wtedy brzemienna. Niebawem miała przyjąć na świat pierwszą z naszych córek. Urodziła się w Warszawie w Szpitalu Wojskowym na Szaserów. Środowisko artystyczne Warszawy zapraszało mnie wtedy do współpracy. Pamiętam jak pisałem muzykę do *Kaliguli* Alberta Camusa w reżyserii Andrzeja Chruszowskiego. Premiera miała miejsce w lutym 1982 roku. W roli tytułowej wystąpił Piotr Fronczewski, towarzyszyli mu m.in. Magdalena Zawadzka jako Cezonia i Wojciech Pokora jako Helikon. To był świat wielkiej sztuki zwróconej przeciw komunistycznemu establishmentowi, przeciw zniewoleniu. Dla mnie artystycznie były to lata bardzo twórcze i duchowo rozwijające, może nawet kluczowe. Stan wojenny był czasem przynębiającym pod wieloma względami, dlatego nie można było czekać z założonymi rękami. Koncertować było mi trudno. Wiedziałem, że każdy taki koncert to ryzyko, bo młoda publiczność narażona będzie na agresję milicji i ZOMO. Tak, koncerty to były dla władzy świetne preteksty do bicia. Raz nie pojechałem do Jastrzębia, bo wiedziałem, że ZOMO będzie tam „trenować”. Wtedy rzeczywiście azylem były kościoły, w których grałem coraz częściej. To był też niejako powrót do źródła, do tych chwil w dzieciństwie, kiedy w michałkowskim kościele św. Józefa zafascynowany słuchałem gry na organach

i przyglądałem się grze organisty. To było jeszcze zanim proboszczem został u nas ks. Sierla. W latach osiemdziesiątych wprowadziłem do kościoła muzykę elektroniczną. Kiedy brzmiały te syntezatory, kiedy grałem dla górników, którzy zginęli na „Wujku”, moje ciotki mówiły, że to było niesamowite, ale *przecież nie godajom po próżnicy, bo Ślązoki to ludzie, kere prawda godajom*”. Zamyśla się i mówi o bracie Janku... „On zawsze stanąłby za tobą. Był otwarty, niezwykle skromny i pełen entuzjazmu i siły. Był wielkim Ślązakiem i artystą, ale też człowiekiem narażonym na te wszystkie pułapki świata, które często go zwodziły. Ja też jestem tylko człowiekiem. I nieraz się myślę... Może tata chciał, by już byli razem, może dłuży mu się tam bez rodziny (*śmiech!*). Obu ich tu bardzo lubiano, obu ich tu brakuje. Jeden sztajger, a drugi ten, co o sztajgrze śpiewał. Wiesz, że na pogrzeb mojego taty górnicy przyszli prosto z roboty, tak ubrani jak w czasie szychty na grubie” – I znowu wraca do myśli o prawdzie – „Ślązacy mają swoją prawdę i ja im ufam. Są szczerzy, na swoich umazanych węglem twarzach wypisaną mają duchowość. Zglądają śmierci w oczy jakby śmieiej od innych”.

U stóp krzyża

„A potem zagrałem w kościele św. Krzyża w Warszawie. To była dla mnie potężna nobilitacja. Tam jest złożone serce Chopina i czuje się ducha muzyki. Pamiętam jak podszedł do mnie po koncercie Adam Hanuszkiewicz i objawczy powiedział: Chłopie coś Ty zrobił! To było niesamowite. Chciałem zagrać dla papieża na katowickim Muchowcu w 1983 roku, ale SB do tego nie dopuściła. Na szczęście niespełna rok później zagrałem na dorocznej pielgrzymce mężczyzn do Piekar Śląskich. Wtedy pierwszy raz grałem na sumie. Pogoda była cudowna. Na końcu stanąłem z boku, a bp Herbert Bednorz przywołał mnie do siebie i zapytał te niezliczone rzesze ludzi czy im się podobało. Gremialnie odpowiedzieli, że tak. Aż ziemia zadudniła. Odtąd już zawsze przyjeżdżałem i nadal tam gram. Przywoziłem ze sobą najróżniejszych gości, muzyków, których cenię i z którymi współpracuję i z nim gram”. Obecność Józefa Skrzeka na piekarskim wzgórzu w ostatnią niedzielę maja każdego roku jest już ponad ćwierć wieku trwającą tradycją, podobnie jak peregrynacje po całej Polsce. I słychać to wszystko także na płytach. 4 sierpnia 2002 roku w Auli Ojca Kordeckiego na Jasnej Górze, podczas koncertu o szczęśliwy przyjazd Ojca Świętego do Ojczyzny, wykonana została *Kantata Maryjna* do muzyki Jana Skrzeka i słów Romana Brandstettera z udziałem m.in. prof. Wiesława Komasy i Wałasów z Istebnej. W 2003 roku Józef Skrzek wydał pierwszą w karierze płytę wyłącznie z muzyką orga-

nową *Via Vitae*. Sesja odbyła się podczas nocnej rejestracji 16 kwietnia 2003 w archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach. 27 maja 2007 roku powstało nagranie medytacji modlitewnej przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej Piekarskiej. A płyta *Viator. Znak pokoju*, dedykowana Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II z udziałem Roksany Vikaluk, Beaty Mańkowskiej i Aleksandry Poniszewskiej nagrana została 11 listopada 2004 roku w kościele Świętych Piotra i Pawła w Morażu w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. 22 września 2012 roku odbył się spektakl słowno-muzyczny, podczas którego zaprezentowane zostały *Kazania Świętokrzyskie* do muzyki Józef Skrzeka z udziałem m.in. Apostolisa Anthimosa, Marka Piekarczyka i Włodzimierza Kiniorskiego w reżyserii Marcina Majewskiego i Jana Tarnawskiego. To przedsięwzięcie monumentalne i bogato wydane na płycie, ale przecież ujmuje nawet skromna muzyka do *Angelusa* Lecha Majewskiego, historii opowiadającej wprostowej duchowej nieortodoksji...

Twórczość Józefa Skrzeka, jak sam artysta przyznaje i wielokrotnie to podkreśla, zasadza się na dwóch duchowych filarach: wierze i miłości. Z jednej strony to proste przywiązanie do pacierza i modlitwy różańcowej zapamiętane z rodzinnego domu, gdy z *omą* pielgrzymował na Górę Sw. Anny, a z drugiej głęboka wiara w zmartwychwstanie, która wzmacnia i zawsze pozwala, nawet z najdalszych stron, do Boga wracać. No i miłość. Miłość bez granic. Miłość do partnerki Aliny, która za nim z Kołobrzegu przyjechała na Śląsk, wiernie mu towarzyszy i wspiera. Choć, jak sam przyznaje, lekko nie było. Miłość do rodziny, miejsca urodzenia, tej śląskiej ziemi i przywiązanie do tych wartości, w których wzrastał. Ale i miłość do ludzi przejawiająca się w zaufaniu i serdecznych gestach. Józef jest szczęśliwy, że córki: Karinka, Luiza, Ela są wierne rodzimym tradycjom. Podróżują po świecie i z tęsknotą zawsze wracają do domu...

Halny na łożdach

Całości obrazu dopełnia marzenie o górach, które delikatną kreską zarysowują się na horyzoncie myśli Józka i tęsknota za nimi, ich pejzażem, przestrzenią, ciszą, w której łatwiej spotkać Boga, ale także życzliwych ludzi o otwartych sercach i domach górali, z którymi chętnie od trzech dekad tam, na plenerach, w najbliższym jego sercu Beskidzie Śląskim, na Stecówce, muzykuje przy kołoczcu i herbacie. A tam z beskidzkich szczytów patrzy w stronę domu i zdaje mu się, że halny wieje na łożdach... ■

Redakcja dziękuje p. Henrykowi Maćkowiakowi za udostępnienie zdjęcia z koncertu SBB.



Zespół śpiewaczy „Stejzbianki” z Wisty – Uzdrowiska po dziś dzień wykonuje, liczące często co najmniej kilkanaście zwrotek, kancjonały ks. Jerzego Heczki, zapisane w pięknie wydanych, starych śpiewnikach

Ewangelickie kancjonały i modlitewniki

JADWIGA ANNA BADURA

Znaczenie kancjonałów dla świadomości religijnej i narodowej jest niezwykle ważne. O tych niezwykłych wartościach stanowi fakt, iż kancjonały przechodziły z pokolenia w pokolenie, niejednokrotnie też były przedmiotem „wypraw” ślubnych, a także wkładano je do trumien. Korzystano z niego nie tylko w czasie nabożeństw, ale również we wszystkich sytuacjach życiowych, jakie mogły spotkać człowieka. Kancjonały wydawane w języku polskim pełniły również rolę praktyczną – uświadamiały narodowościowo, były książką do czytania.

Reformacja zapoczątkowana w 1517 roku przez ks. dr. Marcina Lutra wprowadziła szereg zmian w życie religijne chrześcijan, które od tego momentu opiera się na nowej doktrynie, tworzącej zręby Kościoła luterańskiego,

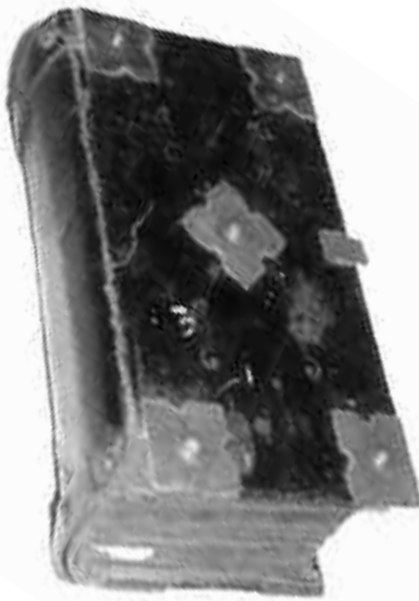
zwanego też ewangelicko-augsburskim. Szczególnego znaczenia nabrała reforma nabożeństwa, głównie liturgii, w której uczestniczyli wszyscy zgromadzeni na nabożeństwie, a nie jak to było w średniowieczu, gdy śpiew liturgiczny

należał do celebransa i chóru, a zgromadzeni włączali się tylko sporadycznie do responsoriów. Wprowadzenie języka narodowego do liturgii i śpiewanych hymnów zadecydowało o konieczności opracowywania kancjonałów.

Z prostego języka i mowy ojczystej

W 1524 roku ks. dr Martin Luter w Wittenberdze wydał pierwszy śpiewnik *Geystliches gesangk Buchleyn*, w którym zamieścił 24 hymnów, część z nich opatrzył swoją muzyką. Nowa forma nabożeństwa skutkowałą tworzeniem nowej muzyki kościelnej ukierunkowanej na pieśń religijną, zwaną też „chorałem reformacyjnym” o nieskomplikowanej, prostej, zwrotkowej formie, śpiewanej często na cztery głosy. Reformator podkreślał, iż „tekst i nuty, akcent, melodia i ruch wpływać muszą z prostego języka i mowy ojczystej”.

W XVIII wieku ewangelicy Polacy i Niemcy współdzystowali na Śląsku w przekonaniu, że tylko poprzez wzajemne zrozumienie, poszanowanie może dojść do zbliżenia i równocześnie wzmocnienia wyznaniowego. Dlatego trudno mówić o przynależności narodowej ewangelickiego duchownego, który niejednokrotnie oprócz kaznodziejstwa uprawiał pisarstwo, był twórcą pieśni i muzyki, wydawcą kancjonałów polskich i modlitewników, autorem podręczników do języka polskiego i niemieckiego. O tożsamości narodowej nie decydowały ani miejsce urodzenia,



Cithara sanctorum. Kancjonał ks. Jerzego Trzanowskiego, wydany w 1768 roku

ani miejsce odbywania studiów teologicznych, czy późniejszej pracy duszpasterskiej. Przykładowo autor *Kancjonała zawierającego w sobie Pieśni Chrześcijańskie* (1776), ks. Jan Chrystian Bockshammer (1733-1804) urodził się w Cieszynie, studiował w Jenie, urząd sprawował w Twardogórze, gdzie do parafii przynależeli ewangelicy Polacy i Niemcy, doskonale znał dwa języki: polski i niemiecki. W jego dorobku pisarskim znajdują się pisma pisane w obu językach, a jednak badacze niemieccy uznają go za Niemca, a polscy za Polaka. Podobnie ks. Christian Rohrmann (1672-1731) – proboszcz w Pawłowie, kazania wygłaszał w dwóch językach, tworzył łacińską poezję religijną, tłumaczył pieśni z niemieckiego, a dla swoich wiernych opracował słownik polsko-niemiecki. Wymienić jeszcze należy ks. Jerzego Szlaka (Schlag) (1695-1764), wybitnego kaznodzieję, rektora polskiej szkoły we Wrocławiu, autora podręczników do języka polskiego, czy Efraima Oloff, który w języku niemieckim napisał pierwszą rozprawę o polskich pieśniach kościelnych i polskich tłumaczeniach Biblii, a w 1727 roku w Lipsku przygotował do druku polskie tłumaczenie Nowego Testamentu.

Sytuacja zmieniła się w XIX w. kiedy akcją germanizacyjną zaczęto prowadzić planowo, konsekwentnie i bezwzględnie: kasowano polskie nabożeństwa a na istniejące wprowadzano opłaty za miejsce w ławce, usuwano też język polski ze szkół. W roku 1843 ks. R. Fiedler podawał, iż na całym Śląsku zamieszkuje 700 – 800 tysięcy polskiej ludności, z tego około 100 – 120 tysięcy na Dolnym Śląsku, na tym terenie też działa 57 kościołów ewangelickich z polskimi nabożeństwami. Dlatego w latach czterdziestych XIX w. na synodzie prowincjonalnym we Wrocławiu upominał się

o prawa ludu polskiego, o właściwą obsadę polsko-niemieckich parafii, protestował przeciwko zmniejszeniu liczby polskich nabożeństw, domagał się przygotowania nauczycieli do pracy wśród polskich dzieci.

W XXI wieku najważniejszym śpiewnikiem kościelnym używanym przez luteran jest *Śpiewnik Ewangelicki* opracowany przez Międzykościelną Komisję Śpiewnikową i dopuszczony do użytku w 2002 roku.

Kancjonały ks. Trzanowskiego i ks. Heczki

W dzieje ewangelicyzmu na Słowacji w Czechach i na Śląsku na trwałe wpisał się ks. Jerzy Trzanowski (1592-1637) twórca m.in. kancjonału *Cithara Sanctorum*, który na przestrzeni prawie 200 lat doczekał się blisko 150 wydań. Wpływ *Cithara Sanctorum* jest wyraźnie widoczny w kancjonałach ks. Jerzego Heczki, jak również w śpiewnikach wydawanych przez luteran w XX i XXI wieku nie brakuje pieśni ks. Jerzego Trzanowskiego, który okazał się znawcą pieśni religijnej. Mimo upływu stuleci jego pieśni są nadal chętnie śpiewane.

Z domu rodzinnego ks. Jerzy Heczko wyniósł znajomość prawie wszystkich melodii z *Cithara Sanctorum*, zaś znajomość trzech języków: czeskiego, niemieckiego i polskiego, umożliwiła mu pracę nad tłumaczeniami tekstów pieśni, ich systematyzowaniem. W grudniu 1862 roku duchowny przedłożył do opiniowania Naczelnej Radzie Kościel-

nej w Wiedniu manuskrypt polskiego kancjonału, w dołączonym piśmie podkreślał, iż „Zaprowadzenie polskiego kancjonału jest sprawą żywotną i pilną i uprasza się o śpieszne i przychylnie załatwienie podania powyższego”. Do druku pierwszych czterech wydań zastosowano czcionkę gotycką z tego powodu, iż była to czcionka powszechnie używana do druku książek i znana, zaś czcionkę łaćcińską wprowadzono w wydaniu piątym z 1875 roku. W roku jubileuszowym, tj. 1965 roku ukazała się dwudziesta druga edycja tegoż kancjonału drukowana w Brnie i Czeskim Cieszyńcu. W drugiej połowie XX w. parafie w Golezowiu, Ustroniu i Wiśle używały go do 1965 roku, a na Zaolziu prawie do końca tegoż stulecia.

Pierwsze wydanie *Kancjonału czyli śpiewnika dla chrześcijan ewangelickich* ks. Jerzego Heczki zawierało 772 pieśni na 641 stronach. Zaletą kancjonału ks. Jerzego Heczki była prosta, przystępna forma, jasna treść, wyjaśniająca prawdy biblijne, poruszająca duszę ludzką, a przed wszystkim ukierunkowywał pobożność ludu.

Duża liczba ewangelików mówiących po polsku na Śląsku stwarzała konieczność wydawania dla nich śpiewników, postylli, modlitewników i innych okolicznościowych druków. Całokształt życia chrześcijańskiego wprowadzony przez ks. Marcina Lutra do porządku kościelnego (liturgicznego) spowodował przenikanie treści religijnych do życia codziennego ewangelików, co skutkowało wzrastającym zapotrzebowaniem na wymienione publikacje.



Strony przedtytułowa i tytułowa „Kancjonału” ks. Roberta Fiedlera, wydrukowanego w Brzegu, w 1861 roku

Kancjonał górnośląski

Ważnym śpiewnikiem ewangelicznym w pierwszej połowie XX w. używanym na Górnym Śląsku był *Nowy śpiewnik ewangelicki czyli kancjonał dla zborów Unijnego Ewangelickiego Kościoła*, zwany też „kancjonałem górnośląskim”, wydany w 1931 roku w Katowicach. W kancjonałach zamieszczonych jest 500 pieśni z różnych okresów, są szesnasto- i siedemnastowieczne oraz nowsze, w tym z XIX wieku. Wśród pieśni są tłumaczenia z języka niemieckiego, a także z kancjonału cieszyńskiego ks. Jerzego Heczki i warszawskiego.

Pierwszy powojenny śpiewnik opracował i wydał ks. Ryszard Trenkler, senior Diecezji Pomorskiej z siedzibą w Toruniu. Od 2002 roku luteranie w Polsce korzystają z nowego *Śpiewnika Ewangelickiego*, nad którym prace rozpoczęły się w lutym 1996 roku.

* * *

Znaczenie kancjonałów dla świadomości religijnej i narodowej jest niezwykle ważne: przechodziły z pokolenia w pokolenie, niejednokrotnie też były przedmiotem „wypraw” ślubnych, a także wkładano je do trumien. Korzystano z niego nie tylko w czasie nabożeństw, ale również we wszystkich sytuacjach życiowych, jakie mogły spotkać człowieka. Kancjonały wydawane w języku polskim pełniły również rolę praktyczną – uświadamiały narodowość, były książką do czytania. Należy podkreślić, iż rodzima ludność ewangelicka w znacznej części mówiła i modliła się po polsku, częściej umiała czytać aniżeli pisać.

Pieśni, psalmy i modlitwy w Kancjonałach ewangelickich ściśle związane były z przeżywaniem przez wiernych roku liturgicznego, wiązały się z życiem codziennym, co oznaczało, iż śpiewnik mógł być używany przy każdej sposobności. Zamieszczone w nim pieśni śpiewano w chwilach uroczystych nabożeństw w kościele, ale również w domach, okazując wdzięczność, np. za „chleb powszedni”, za urodzaje, lub przyjmowały charakter błagalny w czasie klęsk żywiołowych, nieurodzaju, choroby. Potwierdzeniem znaczącego miejsca pieśni zawartych w kancjonałach jest to, iż wiele pieśni będących w powszechnym użyciu znano na pamięć.

Kancjonały osiągały wysoką rangę w życiu religijnym ewangelików dzięki ich powszechnej dostępności, niskiej cenie i podręcznym formie, jak rów-



Fot. ze zbiorów Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie
Franciszek, ojciec Juliusza Ligonia z kancjonałem w ozdobnej skórkowej oprawie z kielichem z kości słoniowej, ok. 1860 r.



Strona tytułowa pierwszego wydania Kancjonału czyli śpiewnika dla chrześcijan ewangelickich ks. Jerzego Heczki, Cieszyn 1865.

niez dzięki wielokrotnemu wznawianiu przez wiele dziesiątków lat. Z pewnością jednak decydujące znaczenie posiadała treść religijna utworów.

Bezennym bogactwem kulturowym, na nowo dziś odkrywanym, stają się źródłowe przekazy pieśni sakralnych. Określa się je zwykle terminem „śpiewnik”, z dodatkiem „kościelny”, przy czym pojęcie to dość jednoznacznie charakteryzuje konkretny zbiór i wskazujące na jego cel użytkowy, spopularyzowało się dopiero w XVIII wieku, a na gruncie polskim jeszcze później. Pierwotnie, na oznaczenie takiego zbioru, używano słowa „kancjonał” (łac. *cantu, cantio* – śpiew, pieśń), które zostało zapożyczone z tradycji Kościoła protestanckiego i w tamtym rozumieniu oznaczało zwykle zestaw psalmów, hymnów, litanii i pieśni mających zastosowanie liturgiczne.

Na Śląsku śpiew wiernych w języku ludowym (*vulgari lingua*) był ważnym elementem łączącym lud z celebrowaną liturgią. Przez cały XIX wiek toczyła się na terenie Górnego Śląska walka o język, który odegrał kluczową rolę w procesie narodowego odradzenia się mieszkańców tego regionu. W takiej sytuacji wprost nieocieniony okazał się bezpośredni kontakt Górnoślązaków z pisaniem językiem ogólnopolskim, przekazywanym w formie przedrukowanych modlitewników i śpiewników. Pieśń kościelna odegrała bardzo ważną rolę w zachowaniu polskiego języka na Śląsku. Ks. Bernard Bogedain we wstępie napisanym do *Chorału* Józefa Nachbara w 1855 r. napisał, że nabożne śpiewy polskiego ludu w większej części są „plodem sztuki natchnionej żywą i głęboką pobożnością”.

Prawdziwy rozwój pieśni kościelnych datuje się na koniec XIV wieku, a wiek XV przyniósł pierwsze kolędy. Drugim nurtem pojawiającym się w XV wieku to nurt pieśni maryjnych – w sumie 15 pieśni, z których najważniejsza jest pieśń *Zdrowaś bądź Maryjo*. W XVI wieku nastąpiła dalsze przekłady sekwencji, a także hymnów łacińskich np. *Gaude Mater Polonia* oraz pojawiają się nowe kolędy, jak na przykład *Anioł pasterzom mówił*.

Modlitewnik ks. Skowronka

W poszczególnych modlitewnikach górnośląskich występuje po kilka nabożeństw mszalnych. Najwięcej nabożeństw mszalnych zawiera modlitewnik „*Droga do nieba*” (*Weg zum Himmel*) ks. Ludwika Skowronka, zawierający siedem różnych nabożeństw mszalnych.

Ksiądz Ludwik Skowronek, urodzony w Czuchowie, w powiecie rybnickim, był synem nauczyciela. Uczył się w swojej rodzinnej wsi, później w Gliwicach. Studiował prawo a następnie teologię we Wrocławiu i Ratybonie. W roku 1884 przyjął święcenia kapłańskie. Był wikarym w Starym Bieruniu,

Jadwiga Anna Badura, doktor teologii ewangelickiej. Autorka monografii *Ewangelicy na Ziemi Pszczyńskiej* i licznych artykułów, redaktorka książek i czasopism, prowadzi zajęcia w policealnej szkole na kierunku asystent osoby niepełnosprawnej, zaangażowana w różne formy pracy parafialnej.

Do *sacrum* przez modlitewniki

NATALIA MARIA RUMAN

a od roku 1887 w Bogucicach, gdzie po krótkim okresie administrowania, w roku 1889 otrzymał nominację na proboszcza parafii św. Szczepana. Wybudował kościoły: w Bogucicach (1894), w Załężu i w Dąbrówce Małej. W dwóch ostatnich powstały oddzielne parafie z plebaniami i cmentarzami.

Był jednym z inicjatorów i budowniczych kościoła i klasztoru w Panewnikach. W parafii boguckiej zakładał liczne bractwa i stowarzyszenia religijne a w szczególności był wielkim propagatorem kultu obrazu Matki Boskiej Boguckiej. Ksiądz Skowronek brał również udział w ówczesnym życiu politycznym. Był kandydatem partii Centrum w wyborach do Reichstagu z okręgu Katowice – Zabrze, lecz przegrał z Wojciechem Korfantym. Władze kościelne mianowały go radcą duchowym (1912) i nadały mu godność papieskiego prałata domowego (1923). Zmarł 10 maja 1934 roku w Głuchołazach. Należał on do tych duchownych, którzy poprzez swoją działalność na wielu płaszczyznach przekształcali oblicze górnośląskiej ziemi. Ksiądz Skowronek, widząc wielokulturowość a także różnorodność opcji językowych Ślązaków, wydawał modlitewniki pomocne w modlitwie w „języku serca”. Do chwili obecnej można je znaleźć w domach śląskich rodzin.

Pieśni kościelne

U początku dziejów polskiej pieśni kościelnej znaczącą rolę odgrywała praktyka śpiewania pacierza oraz wykonywania śpiewów związanych z gło-

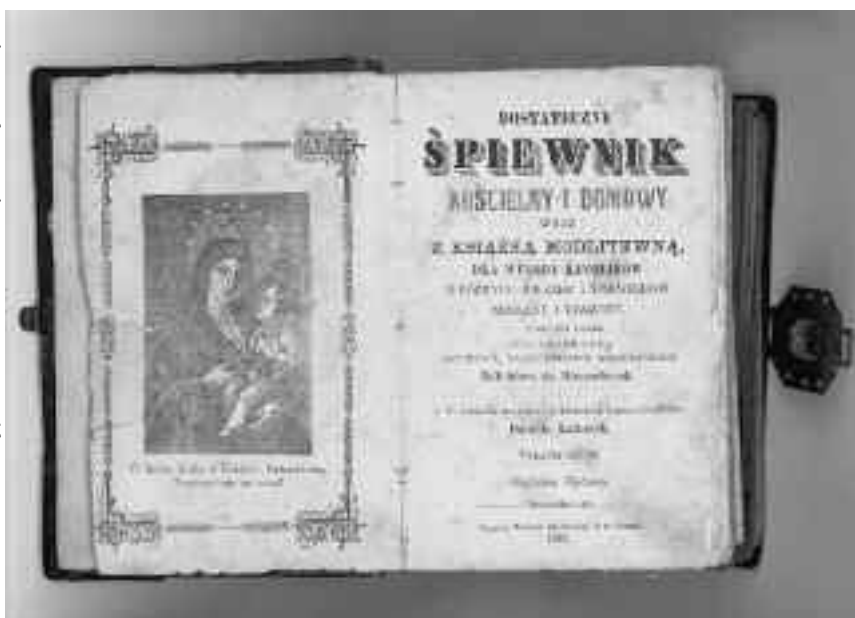
szeniem kazań. Wspólnie odmawiany *Symbol wiary*, *Dekalog* i pewne modlitwy wypowiedane w języku ludowym zostały wprowadzane w ramach liturgii łacińskiej uchwałami synodów prowincjalnych już w XIII wieku. Śpiewy związane z głoszeniem słowa Bożego otrzymały nazwę „pieśni kazaniowych” i w tym początkowym okresie były wykonywane przed kazaniem, celem uproszenia Bożej światłości, zarówno dla głoszącego kazanie, jak i dla samych słuchaczy. Dużego znaczenia nabierały również pieśni katechizmowe, których w XVII wieku powstają całe zbiory. Śpiewak – kantor wykonywał

z chóru poszczególne zwrotki, które powtarzał lud.

W liturgii polskich parafii na Górnym Śląsku w XIX i XX wieku stałą praktyką było głoszenie kazania związanego z Ewangelią. Mogło ono być także realizowane przed mszą św. czy po niej i towarzyszyły tej proklamacji odpowiednie pieśni. W górnośląskich przekazach śpiewów kościelnych ogółem występują kilkanaście utworów, bezpośrednio związanych z głoszeniem kazania, w szczególności są to następujące utwory: *Duszo moja, słuchaj Pana, który ci oznajmuje*; *O, Jezu! Słowa Twego słuchać serdecznie pragniemy*; *Przyjdź,*



„Droga do Nieba” – bardzo popularny śpiewnik i modlitewnik napisany i opracowany przez ks. Ludwika Skowronka, wydanie trzecie, Wydawnictwo dzieł katolickich Reinharda Meyera w Raciborzu, 1906.



„Dostateczny śpiewnik domowy i kościelny...” drukowany w oficynie Tadeusza Zalewskiego w Gliwicach, 1892.

Duchu prawdy i światłości, z niebieskiej Twojej wysokości; W Imię Ojca! W Imię Syna! W Imię Ducha świętego.

Praktyka współczesna

W zbiorach śpiewów kościelnych rozpowszechnionych w drugiej połowie XX wieku, repertuar pieśni przed kazaniem i po kazaniu uległ znacznemu ograniczeniu. W najnowszych zbiorach pieśniowych bardzo rzadko pojawia się dział pieśni bezpośrednio związanych z głoszeniem słowa Bożego, a jeżeli już jest, to raczej w celu podkreślenia dawnej tradycji takiego śpiewu i wykorzystania go w ramach głoszonych rekolekcji czy misji ludowych. Przykładowo w „*Śpiewniku Archidiecezji Katowickiej*” pozostawiono znaną pieśń przed kazaniem *Duszo moja, słuchaj Pana*, w dwóch wersjach melodycznych, ale występuje ona, bez specjalnego wyodrębnienia, w dziale *Pieśni w różnych okolicznościach – pieśni przygodne*.

Z historii śpiewników

Z chwilą przyjęcia się chrześcijaństwa na Śląsku, śpiew kościelny został otoczony należytą opieką. W XII wieku, biskup Walter, rządzący wrocławską diecezją w latach 1149–1169, zaprowadził w katedrze *Officium Laudunense cum cantu*, czyli modły ze śpiewami wedle rytuału katedry Lańskiejskiej. Biskup Piotr II Nowak polecił już w 1448 roku ujednostajnić śpiew kościelny w diecezji celem upiększenia nabożeństw i zaprowadzić w kościołach parafialnych taki sam śpiew, jaki był w katedrze. W 1661 roku biskup sufragan Jan Baltazar Liesch von Hornau, własnym

kosztem wybudował dom w pobliżu katedry wrocławskiej i zapewnił w nim utrzymanie 12 wikariuszom, aby za to troszczyli się o poziom śpiewu w katedrze. W 1668 roku biskup Sebastian Rostock, z biskupiego majątku z Cerekwicy przeznaczył specjalny fundusz na utrzymanie chóru katedralnego. Wymienione szczegóły odnosiły się do chóru gregoriańskiego, który z przejściem chrześcijaństwa rozbrzmiewał w powstających świątyniach śląskich i stał się podłożem powstawania pieśni w języku ojczystym.

W połowie XVIII wieku po podziale Śląska – zaszła konieczność stworzenia piśmiennictwa w nowych warunkach. Twórcy ówczesni to głównie księża katolicy i pastory. Utylitarna tematyka ich prac służyła praktykom religijnym i dydaktyce. Działalność na tym polu rozpoczęli księża katolicy, autorzy modlitewnika: „*Prawdziwa jedzina do nieba z Pisma Świętego dokazana droga*”, Opawa 1761; „*Pieśń ku mszy świętej na wszystkie jej cząści rozdzielona*”, Brno 1785; „*Modlitwy z właskiego przetłumaczone na język niemiecki, a z niemieckiego na ten, który jest w Xionżenstwie Tieszyńskim zwyczajny*”, Opawa 1788; ks. Jan Brzuska: „*Książka modlitewna dla katolickiej młodzieży szkolnej iako też dorosłej*”, Cieszyn 1823.

Osobne miejsce wśród pisarzy zajął L. J. Szersznik, eks-jezuita, erudyta w duchu oświeceniowym, który pozostawił tylko częściowo opublikowany znaczny dorobek w j. niemieckim i łacińskim z różnych dziedzin wiedzy.

Odrębne drukowane zbiory pieśni kościelnych na Śląsku są owocem dopiero XIX wieku. Ukazują się wtedy śpiewniki kościelne. Zaliczyć tu można ułożony przez J. Kotzłolta pt. „*Melodye do Pieśni znakujących się w książ-*

ce modlitewnej dla ludu pospolitego” ukazał się drukiem w Pruskowie w 1823 roku u G. Manjacka. W Opolu w 1830 roku wydał swój zbiór pieśni G. E. Ronge u Alojzego Hruzika pt. „*Melodye do książki modlitewnej i kancyonału dla pospolitego ludu katolickiego na potrzebę podczas nabożeństw w kościele w domu i przy pogrzebach*”. Zasłużony na Śląsku Józef Lompa wydał w 1833 roku w Gliwicach „*Zbiór pieśni nabożnych*” i „*Zbiór pieśni podczas uroczystości Bożego Ciała*”. Nakładem Henryka Handla wyszedł w Głogówku w 1847 roku opracowany przez E. F. W. Muthwilla „*Śpiewnik Powszedni z dowodzącymi składami czyli melodye «Cancyonał»*”. Największe niewątpliwie zrozumienie dla polskiej pieśni na Śląsku wykazał radca rejcynjny, duchowny i szkolny w Opolu – ks. Bernard Bogedain – późniejszy biskup sufragan we Wrocławiu. To on zachęcił do opracowania polskich melodii nauczyciela przy królewskim katolickim seminarium nauczycielskim w Paradyżu – Józefa Nachbara.

Z początkiem XX wieku w dalszym ciągu ukazywały się na Górnym Śląsku kolejne przekazy źródłowe modlitw i pieśni w licznych wydaniach. Do szczególnie obszernych należą „*Śpiewnik dla ludu katolickiego oraz książka do nabożeństwa*” ułożona przez organistów z Bytomia Gillara i Hoffmanna wydany w Bytomiu w 1900 roku nakładem i czcionkami „*Katolika*”. Dopelnieniem muzycznym tego zbioru modlitw i pieśni stał się „*Chorał*” Gillara, również opublikowany w Bytomiu w 1903 roku. Kolejnymi ważnymi przekazami śpiewów kościelnych są pięcioczęściowy „*Chorał*” Tomasza Cieplika wydany w Bytomiu, w latach 1908–1922, a także „*Chorał*” Karola Hoppego, opublikowany w Raciborzu w 1920 r.

Przekazywany bogaty repertuar śpiewów i pieśni kościelnych wśród Ślązaków początkowo w formie żywej tradycji, później utrwalany w rękopisach i drukach zwłaszcza w XIX i XX w. znajduje swoją kontynuację we współczesnych modlitewnikach i śpiewnikach. W obrębie Metropolii Górnośląskiej są to głównie popularne zbiory modlitw i pieśni w nowych posoborowych edycjach: „*Droga do nieba*”, „*Skarbiec modlitw i pieśni*”, „*Skarbiec pieśni kościelnych*”, „*Śpiewnik kościelny archidiecezji katowickiej*” oraz towarzyszenia organowe „*Chorał Opolski*” i „*Chorał Śląski*”.

Powstała również współcześnie konkurencja do pieśni, a jest nią piosenka religijna, czyli utwór słowno-muzyczny wyrażający treści religijne, które zawierają w sobie wartości religijno-poznawcze, wychowawcze, integrujące, przeżyciowo-aktywizujące. Wiele z nich wyjaśnia prawdy wiary lub nawiązuje do nich i pomaga w modlitwie. ■

Wydawcami kancjonałów i modlitewników były diecezje, większe parafie, klasztory opiekujące się kalwariami nawiedzanymi przez liczne pielgrzymki ale także ambitniejsi księża, traktujący opracowanie i wydanie takich publikacji jako nakaz wewnętrzny, czy wyraz gorliwości w powołaniu duszpasterskim. Były jednak przypadki, kiedy sami drukarze podejmowali się działalności wydawniczej, biorąc wszystkie wydatki i ryzyko na siebie. Takim przykładem może być znana na Górnym Śląsku drukarnia Karola Miarki ojca, rozwinięta przez jego syna, również Karola. Wydawano tutaj po kilka nakładów modlitewników i kancynek.

Ozdobne oprawy

Wszystkim książeczkom do nabożeństw i śpiewnikom wiele urody dodają ozdobne oprawy. W celu uchronienia książek przed przedwczesnym zużyciem czy uszkodzeniem zakładano na zszyty blok książki oprawę trwałą, to znaczy wykonaną z trwałego i mocnego materiału. Podstawą takiej oprawy w XV i XVI wieku były dwie cienkie deszczułki z drewna iglastego, stąd czasem określenie o książce przeczytanej od deski do deski. Te okładki oklejano z zewnątrz wyprawioną skórą, która w jednym kawałku tworzyła także grzbiet modlitewnika. Skóra była często tłoczona w różne ozdobne wzory a także symbole krzyża, kielicha, symbole IHS, Maryja i inne. Tłoczenia wykonywane były w formie „ślepego tłoku” lub złożone. Podobnie złożone były tytuły śpiewników na okładkach i na grzbietach. W XVII i XVIII wieku deszczułki, używane do okładek zastąpiły grube tekturki, na które naklejano skórę wyprawioną lub powlekane płótno, które również tłoczono w ozdobne wzory.

Do opraw wprowadzano cynowe lub mosiężne okucie stron okładki a także ozdobne metalowe narożniki. W niektórych droższych wydaniach zastosowane były mosiężne klamry, czasami z imitacją szlachetnego kamienia, spinające książkę. Dla ochrony kancjonałów stosowano czasem kartonowe, skórzane lub płócienne etui, w którym przechowywano książkę. Szczególnie ozdobne książeczki opatrywano krzyżykami, rżniętymi w kości słoniowej, umieszczonymi na przedniej okładce. Były to także wyrzeźbione kielichy a czasami inicjały IHS.

Z biegiem lat formy okładek modlitewników i kancjonałów stawały się coraz mniej ozdobne. Najbardziej bogate w zdobnicze elementy były oprawy z XVIII – do połowy XIX wieku. Te artystyczne formy były systematycznie wypierane przez masową produkcję introligatorską, aż do współczesnych opraw, z czarnego płótna z prostym połączonym tytułem.

Nie sposób nie wspomnieć o profesjonalnych wydawnictwach, będących nieocenioną pomocą w codziennej pracy muzyków w czasie mszy świętych i innych nabożeństw. Najbardziej znanym kancjonałem było wydawnictwo powstałe z inspiracji księdza Bernarda Bogedaina, póź-

Arcydzieła sztuki drukarskiej

ALEKSANDER SPYRA



Kancjonał śląski z XIX w. zdobiony kością słoniową

niejszego biskupa, obrońcy języka polskiego na Śląsku, radcy szkolnego w Opolu, *Chorału, czyli ostatecznego zbioru melodii do przeszło 700 pieśni katolickich w języku polskim*, który Bogedain wydał własnym sumptem w 1858 roku. Zawiera on 747 pieśni z nutami.

Drugim ważnym kancjonałem dla organistów na Śląsku był, wzorowany zresztą na dziele Bogedaina – Nachbara kancjonał Ryszarda Gillara, wydany w 1903 roku w Bytomiu, używany przez wiele dziesięcioleci w kościołach Śląska. XX wiek to standardowe książeczki w formacie 10x7 cm, niektóre w miękkiej oprawie.

Miedziorytnicze ilustracje

Najczęstszym i najpopularniejszym sposobem zdobienia tekstu były inicjały. Od powiększonych w porównaniu z pozostałym tekstem czcionek początkujących pieśń, czy modlitwę, poprzez inicjały zdobione jakimś ornamentem roślinnym czy geometrycznym aż do rozbudowanych kompozycji figuralnych wokół początkowej litery. Często używano do inicjałów koloru czerwonego w kontraście do czarnego tekstu. Innym sposobem zdobienia książeczek były różnego rodzaju winiety na początku i na końcu rozdziału czy części modlitewnika. Od najprostszych drzeworytów po skomplikowane miedzioryty

prezentujące małe kompozycje figuralne. Obowiązkowym elementem ilustracyjnym wielu śląskich modlitewników było 14 stacji Drogi Krzyżowej. Były to artystyczne kompozycje grupowe, a do realizacji zatrudniano czasem wybitnych artystów. Miedzioryty używano w wielu kolejnych nakładach książki. Dla przykładu podam, że popularny modlitewnik *Droga do Nieba* w 1991 roku osiągnął już 50 nakładów. Płyty miedziorytnicze (później stalorytnicze) były więc przechowywane troskliwie i wielokrotnie wykorzystywane. Poza Drogą Krzyżową najczęściej stosowanymi ilustracjami były postacie Chrystusa, Matki Bożej z Dzieciątkiem, Trójcy Świętej i kilku najpopularniejszych świętych. W kancjonałach ewangelicznych często przedstawiano kompozycję „Tłocznia Pana” z Chrystusem – Barankiem Bożym.

Niektóre z kancjonałów osiągały wiele nakładów. Wydane w Pszczynie *Pieśni nabożne w Górnym Śląsku, zwłaszcza w dekanacie pszczyńskim* używane osiągnęły trzy nakłady w latach 1851, 54 i 56. Rekordy w ilości wydań osiągały takie popularne modlitewniki jak *Droga do Nieba*, która w 1978 roku w Opolu osiągnęła 50 wydań. Podobnie jak *Skarbiec Modlitw i Pieśni*, oficjalny modlitewnik diecezji katowickiej.



Klawesynowe dziedzictwo Europy

– Spotykamy się w wyjątkowym miejscu – w zabrzańskim Fortepianarium. Jedynym takim miejscu w Polsce i unikatowym w tej części Europy. Jak ono powstało?

– Wspólnie z moimi przyjaciółmi i współpracownikami dzielimy pasję zbierania dawnych instrumentów a zarazem promowania idei ochrony ich

przed zniszczeniem. Ta pasja sprawiła, że nasze prywatne zbiory przestały mieścić się w mieszkaniach, zaczęliśmy więc szukać miejsca, które byłoby w stanie przyjąć tę kolekcję i stworzyć warunki do artystycznego jej wykorzystania, ponieważ w sporej części są to instrumenty grające. Trafilem do Zabrza do przedsiębiorstwa górniczego Demex, jego właścicie-

le to wyjątkowi ludzie ogarnięci pasją przywracania do życia postindustrialnych obiektów. Powiedzieli nam „tak”, i my w tym biurówcu – odrestaurowanym hotelu robotniczym, tak zwanym „Domu Kawalera” z 1910 r. – jesteśmy bardzo szczęśliwi. Ta współpraca trwa już czwarty rok – instrumenty znalazły tutaj swój dom, organizujemy także koncerty, oczywiście niekomercyjne, ponieważ nie posiadamy wielu środków, ale siłami przyjaciół i studentów, dla których jest to okazja spotkania z praktyką historyczną.

– **To szczególnie cenne, gdyż na co dzień studenci nie mają wielu okazji, by tę szlachetną praktykę historyczną ćwiczyć.**

– Wykonawstwo muzyki dawnej zakłada zgodność z praktyką dawnych epok, ale niekoniecznie sięganie po oryginalne instrumenty. Mogą być wykorzystane kopie, które są instrumentami sprawnymi, ale one nie mają takiej wartości materialnej. W pewnych obszarach, jeśli chodzi o klawesyny, w praktyce koncertowej wykorzystywane są współczesne kopie. Ale w przypadku XIX-wiecznych fortepianów, których jest dość dużo i są na ogół w dobrym stanie, raczej preferuje się restaurowanie tych instrumentów, tym bardziej że są one na tyle skomplikowane, że budowanie nowych jest niezwykle kosztowne. Również uzasadnione jest tworzenie takich miejsc, gdzie mogą wykorzystywać je studenci. W Polsce jest niewiele instrumentów, które mogą być wykorzystywane koncertowo. Przykładem może być muzeum instrumentów w Poznaniu, gdzie pozostają one eksponatami, co częściowo uzasadniają obowiązujące standardy muzealne. Nie zawsze wskazana jest restauracja, ponieważ można zniszczyć coś, co jest zabytkiem kultury materialnej.

– **Praktyka historyczna jest panu bliska od wielu lat. W 1991 r. założył pan zespół muzyki dawnej, Concerto Polacco. Jak to się zaczęło? Trudno było wówczas stworzyć taką orkiestrę?**

– W 1991 roku – po okresie studiów zagranicznych – na dobre powróciłem do Polski. Ponieważ kilku moich kolegów ze studiów poszło drogą, podobną do mojej, spotkaliśmy się i zaczęliśmy razem grać. Najpierw w stosunkowo małych składach, ale stopniowo zaczęły pojawiać się propozycje większych koncertów i grono muzyków się powiększyło. Był to zresztą piękny okres – biedny, bo komunizm dopiero co się skończył, ale z drugiej strony otwarty dla nowych, nieinstytucjonalnych inicjatyw. Niewątpliwie ukoronowaniem naszej działalności stał się realizowany przez nas – Concerto Polacco, chór Sine Nomine, odbyło się ponad 30 koncertów „Arcydzieła muzyki oratoryjno-kantatowej”. Wykonywaliśmy tam kantaty Bacha, oratoria Haendla i muzykę mniej znaną. Wiele polskich „pierwszych razów” (pierwsze wykonania znaczących arcydzieł – Msza h-moll i in. na dawnych instrumentach nie jako importowany z zewnątrz produkt, a przezwajając polskie dokonania) miało miej-

sce właśnie tam. Koncerty odbywały się w kościele ewangelicko-reformowanym w Warszawie, stworzyliśmy naszą własną, oddaną publiczność. Głównym motorem organizacji była pani Maria Mostowska.

Proszę sobie wyobrazić, że z żadnego z tych koncertów nie ukazała się ani jedna recenzja. Ot, polskie piekielko ... Ale zrobiliśmy dla polskiej sztuki wykonawczej naprawdę dużo.

– Zatrzymajmy się przy klawesynach. Współcześnie inne instrumenty niż te, będące kopiami instrumentów historycznych właściwie nie powstają, mimo że kwitnie literatura klawesyńska.

– To wiąże się z historią klawesynów, które były budowane do początku XIX w., najdłużej w Anglii i Włoszech. W tym okresie fortepian zaczął stopniowo wypierać klawesyn i to on stał się wiodącym instrumentem. Zdarzało się nawet, że instrumenty mylono. Forte pian nazywano klawesynem i bywa, że nie jesteśmy w stanie już tego rozpoznać. Tak było np. we Francji pod koniec XVIII w. i później, kiedy w wyniku rewolucji zniszczono bardzo dużo instrumentów. Przez cały XVIII wiek funkcjonowało określenie fortepianu: klawesyn młoteczkowy, dlatego bardzo często jeszcze w XIX w. zbiory ewidentnie już fortepianowej muzyki określane były jako klawesyńskie. W każdym razie fortepian zastąpił klawesyn we wszystkich funkcjach, jakie wiązano z dużych strunowym instrumentem klawiszowym – podobnie jak klawesyn mógł służyć, oprócz zastosowań solistycznych, do akompaniowania, komponowania, wykonywania partytur. Forte pian okazał się bardziej perspektywiczny w kwestii potrzeb w zakresie wolumenu brzmienia stawianych przez muzykę romantyzmu. Dopiero pod koniec XIX w. na fali fascynacji egzotyką i historią zainteresowano się ponownie instrumentami historycznymi i podjęto próby budowania czegoś podobnego. W ten sposób doszło do wskrzeszenia instrumentu, ale nie do końca dowierzano historycznym sposobom budowania. W 1912 r. Wanda Landowska namówiła firmę Pleyel do skonstruowania specjalnego modelu klawesyńskie, który by łączył instrument historyczny i spełniał zarazem wymagania stawiane przed współczesnym instrumentem koncertowym. Powstały więc instrumenty, które są klawiszowymi strunowymi instrumentami szarpanymi, ale nie mają nic wspólnego z klawesynami historycznymi, wykorzystują natomiast wiele osiągnięć budownictwa fortepianowego. Są one bowiem tworzone według innych zasad i hołdują innym ideałom brzmieniowym, gdyż o tym jak brzmiał naprawdę klawesyn po prostu zapomniano. Wiele firm starało się powtórzyć sukces Pleyela i zaproponowało własne modele, jednakże również one odbiegały od ideałów historycznych. Dopiero w latach 60. niektórzy budowniczowie zadali sobie trud kopiowania zgodnie z historyczną praktyką i zasadami konstrukcji. Okaza-

ło się, że efekty są bardzo obiecujące. W krótkim czasie te instrumenty wyparły nowe konstrukcje z początku XX w. Były znacznie bardziej stosowne, głębsze, lepiej brzmiące, łatwiejsze, lżejsze w transporcie. Dzisiaj możemy mówić o zwycięstwie koncepcji historycznej, która okazała się bardziej udana w sensie technicznym. Jest to pewnego rodzaju cios dla powtarzanej częstokroć mantry o tym, że rozwój technologiczny równoznaczny jest z udoskonalaniem instrumentów. Ale klawesyńskie z początku XX w. są też pięknym zjawiskiem (w Forte pianarium mamy bardzo odrębne zjawisko; są również cenione w interpretacji muzyki XX-wiecznej. Istnieje sporo literatury napisanej specjalnie z myślą na te instrumenty. Warto jeszcze dodać, że w interpretacji muzyki współczesnej często stosuje się amplifikację tj. elektroniczne wzmocnienie dźwięku. W diametralny sposób zmienia to jednak estetykę instrumentu. Nagłośnione historyczne instrumenty stają się agresywne, dobrze przenoszony jest dźwięk, także w postaci rezonansu, ten instrument nabiera nowej wartości i staje się innym zjawiskiem niż klawesyn nie-nagłośniony, chodzi tu o wszystkie elementy, które są postrzegane w dźwięku klawesyńskim przez słuchaczy, nie tylko o głośność.

– Kopie klawesynów były robione z natury, czy wspomagano się również innymi źródłami historycznymi? Ludzie będący nieco dalej od nurtu historycznego, często zadają pytanie skąd wiemy jak ta praktyka wyglądała. Podobnie jak w barokowych partyturach, w których jest o wiele mniej kompozytorskich wskazówek dotyczących interpretacji.

– To jest doskonałe porównanie. Mamy zachowane instrumenty, czasami w formie grające, czasami w formie samych korpusów, części. Rzeczywiście w wypadku instrumentów typu klawesyńskiego zachowało się ich na tyle dużo, aby sporządzić plany i dokonywać kopii. Oczywiście do uzupełnienia pozostaje cała warstwa brzmienia, zastosowanych piórek, tego jak intonować, jak były one mierzowane. Osobnym problemem jest wykonawstwo strun, których zachowało się niewiele. Istnieje obszar, w którym wiemy dokładnie co możemy skopiować, ale istnieje też inny, który stanowi domenę domysłów budowniczych, tu muszą wykazać się własną inwencją i mogą zaproponować własne kreacje. Czasami to prowadzi do ciekawych zjawisk, jak np. kopie tego samego instrumentu w dwóch różnych formach. Na przykład – taki sam instrument różnie ostrunowany – z użyciem mosiężnych bądź żelaznych strun. Ta różnica daje nam w efekcie dwa bardzo różne brzmiące klawesyńskie. Kolejny przykład to klawesyn lutniowy, ze strunami jelitowymi, prawdopodobnie z „podbrzuszem” wzorowanym na instrumentach typu lutniowego, półokrągłych, budowanych z osobnych desek drewnianych. Tutaj rów-

nież współcześni budowniczowie proponują różne warianty, ale nie mamy dokładnego modelu, który moglibyśmy kopiować. Tylko wzmianki w literaturze, że takowy był.

– A jeśli chodzi o dziedzictwo klawesyńskie w Europie – jakich instrumentów zachowało się najwięcej? Z jakiej szkoły i z jakiego okresu?

– Prawdę mówiąc trudne pytanie. Zachowało się zadziwiająco dużo różnych instrumentów, reprezentujących różne szkoły budownictwa. Może warto jednak przypomnieć, że w tym całym klawesyńskim świecie osobne miejsce zajmuje Francja, gdzie klawesyn był (i jest nadal!) bardzo popularny i rozpowszechniony, był niemal instrumentem narodowym. Osoby szlacheckie urodzone uczyły się na nim gry niemal obowiązkowo. Dzisiaj też w domach często spotkać można klawesyn, szpinet jako instrument domowy. Jak u nas pianino.

– Jak to wyglądało na ziemiach polskich? Podkreśla pan często, że mamy wspaniałe dziedzictwo muzyki dawnej, ale jeśli chodzi o muzykę klawiszową z tego okresu, to właściwie nie mamy nic.

– Problem z muzyką klawiszową związany jest z historią Polski. Na początku XVII w. Polska znajdowała się w awangardzie kulturowej i muzycznej Europy, była silnie powiązana stylistyką muzyczną z Włochami. Wynikało to z obecności włoskich muzyków na dworze. Władysław IV Waza uwielbiał opery, Polska była pierwszym krajem Europy środkowo-wschodniej, który zaadaptował tę nową formę muzyczną. Potop szwedzki spowodował ogromne zniszczenia, nie zachowało się instrumentarium z tego okresu, zmieniła się także specyfika kultury, Polska weszła na drogę prowincjonalizmu, budowania własnej kultury muzycznej, odrębnej od europejskiej. Wymiana myśli muzycznej była stosunkowo niewielka, a muzykę uprawiano głównie w środowiskach klasztornych, związanych z kapelami dworskimi. Mało było muzyki świeckiej i bardzo niewiele przejawów muzykowania domowego. Wydaje się, że polskiemu szlacheckowi graniu przynosiło ujmę. Nie wykształcił się zatem rynek uczenia gry, tak jak we Francji i nie wykształciło się muzykowanie domowe, takie jakie znamy z kręgu kultury niemieckiej. Mamy bardzo dużo muzyki wokally-instrumentalnej, tak zwanej muzyki figuralnej, ale właśnie religijnej, zespołowej, natomiast istnieje bardzo niewiele solowej na instrumenty klawiszowe, zarówno klawesyn i klawikord a także muzyki organowej. Doskonałe zachowały się instrumenty, duże organy, na które nie ma jednak literatury. Te instrumenty były przeważnie wykorzystywane do wykonywania dzieł wokally-instrumentalnych.

– A budownictwo?

– Klawesyńskie budowano chyba niewiele. Trudno byłoby to tłumaczyć tym, że wszystkie uległy zniszczeniu, musiało ich być mało, skoro właściwie nie się

nie zachowało. Częstsze są klawikordy i małe organy tzw. pozytywy.

– **Opera kameralna, związana z muzyką dawną nie jest u nas zbyt popularna. Są wprowadzić takie instytucje jak Warszawska Opera Kameralna, ale wciąż jest ich mało.**

– To osobny temat i dotyczy on sposobu finansowania instytucji kultury. We Francji ministerstwo kultury finansuje nieinstytucjonalne przedsięwzięcia muzyczne, np. działalność kilku orkiestr muzyki dawnej i mogą one liczyć na stabilne wsparcie. To znaczy powstaje orkiestra i otrzymuje dotacje. Bardzo znaczący jest też przykład Hesperionu XX i Jordi Savalla, którzy uznani zostali za muzyczną wizytówkę Katalonii, godną wsparcia przez Generalitat – regionalny, autonomiczny rząd. U nas dotowane są tylko instytucje już istniejące. Całe szczęście, że Warszawskiej Operze Kameralnej udało się w pewnym momencie osiągnąć taki rodzaj finansowania, natomiast w tej chwili trudno jest zorganizować fundusze na nowe projekty. Wystawienie opery to niekoniecznie przedsięwzięcie kameralne, wymaga wielu prób, dekoracji, inscenizacji, solistów, orkiestry... to spore koszty, w naszych warunkach trudno jest zorganizować coś takiego. Dobrze, że jest taka instytucja jak Warszawska Opera Kameralna, ale tych możliwości jest w Polsce wciąż za mało.

– **Mówiliśmy, że polska muzyka klawiszowa wiązała się z życiem klasztornym, z liturgią...**

– Niekoniecznie tylko z liturgią, mamy np. XVIII-wieczne zbiory muzyki klawiszowej w Polsce – kancjonał Jadwigi Dygulskiej, który siostry wykonywały w czasie rekreacji, występują tam nawet formy świeckie – koncerty, arie, które miały sprawiać przyjemność w czasie rekreacji, nie są one związane z praktyką liturgiczną.

– **Czy w muzyce liturgicznej możemy mówić także o nurcie praktyki historycznej?**

– W przypadku Kościoła katolickiego to spory problem, w wyniku Drugiego Soboru Watykańskiego liturgia uległa diametralnej zmianie, kwestionującej cały dotychczasowy dorobek i praktykę liturgiczną, która opierała się na tym, że nabożeństwo odbywało się na dwóch poziomach – ksiądz sprawował liturgię, a „w tle” istniała permanentna muzyka w postaci wersetów organowych, czy też utworów figuralnych, skomponowanych specjalnie z myślą o tej liturgii. Msze, missa brevis czy missa solemnis, nawet pod względem czasowym są tak skomponowane, aby pasowały do elementów liturgii. Wtedy to była bardzo precyzyjna koncepcja, teraz właściwie nie do utworzenia.

– **Czyli, albo musielibyśmy powrócić do rytu trydenckiego, albo wykonywać dawną muzykę liturgiczną w formie zesakralizowanej?**

– Katolicka muzyka liturgiczna obecnie najczęściej grywana jest w zesakralizowanej formie, w salach koncertowych.

Największą szkodą jest strata wersetów organowych, stanowiących małe utwory, które kiedyś dawały się wpasować w liturgię. Z punktu widzenia praktyki koncertowej są to zbyt małe formy, a współczesna liturgia nie przewiduje już dla nich miejsca. Dotyczy to przede wszystkim utworów muzyki organowej. Trochę łatwiej jest wpasować kantatę Bacha w ramy nabożeństwa protestanckiego, mam takie doświadczenia z pewnego festiwalu, gdzie codziennie o godzinie dziewiętej odbywało się nabożeństwo, w takiej formie jak u Bacha. O siódmej rano odbywało się spotkanie, nową kantatę ćwiczone do godziny ósmej, a o dziewiątej wykonywano ją w ramach nabożeństwa. Podobnie zresztą, jak w czasach Bacha, to znaczy pierwsza część przed kazaniem, druga po kazaniu. Bach pisał kantaty bardzo świadomie i choć są trudne dla wykonawców, nie wymagają wielu prób, ustalania zwolnień itp. Nie ma tam problematycznych miejsc. Takie utwory można napisać w ciągu tygodnia, tak jak to czynił Bach, a w niedzielę rano przed nabożeństwem je wykonać. Myślę, że w ramy nabożeństwa protestanckiego one dobrze się wpisują.

– **Jak to wygląda w obrządku wschodnim?**

– Tam ta muzyka jest cały czas wykonywana, to jest pewnego rodzaju constans, liturgia jest w zasadzie niezmienna, pozostaje także duży szacunek dla tradycji. Chociaż również w śpiewie „cerkiewnym” widać wpływy romantycznej techniki operowej. Tam także jest muzyka dawna i specjaliści od stylowego i świadomego – oczyszczonego z elementów opery romantycznej – wykonawstwa cerkiewnej muzyki wcześniejszej niż XIX-wieczna.

– **Jak kształtuje się ruch muzyki dawnej na Wschodzie? Często bywa pan na przykład na rozmaitych festiwalach na Ukrainie.**

– To trudno ocenić. Dawniej w ZSRR życie muzyczne było mocno zinstytucjonalizowane. W wielu miastach istniały instytucje muzyczne, często nazywane filharmoniami, ale były one rozumiane raczej tylko jako budynek. Wprawdzie posiadały zespół kameralny, ale zazwyczaj nie było tam orkiestry symfonicznej. Z drugiej strony gra się tam dużo koncertów popularizujących muzykę, także specjalnie dla dzieci i młodzieży. Fascynowało mnie również to, że w obszarze postsowieckim salę organową posiada praktycznie każde większe miasto. Organ nie należy do liturgii prawosławnej, ale panuje tam kult Bacha i muzyki organowej, w związku z czym uznano, że jest to element kultury. Wiele kościołów czy cerkwi przetrwało tylko dlatego, że stały się „salą organową” bądź „kameralną” jakiejś filharmonii. Oczywiście pozostaje problem ograniczonych środków na utrzymanie tych obiektów.

Jestem bardzo zaprzyjaźniony z lwowskim środowiskiem wykonawców muzyki dawnej. W ramach Akademii Muzycznej działa tam m.in. orkiestra barokowa.

19 listopada br. zmarł Roman Stelmaszczyk, który był motorem tego ruchu: zorganizował festiwal muzyki dawnej we Lwowie, był duszą tego festiwalu, zapraszał zespoły, organizował środki i od kilkunastu lat dzięki niemu ten festiwal był dla Ukrainy takim okienkiem na kulturę zachodnią. Odejście Romana Stelmaszczyka to wielka strata dla środowiska muzyki dawnej. Również dla nas, polskich muzyków, którzy z nim współpracowali, bo współpraca ukraińsko-polska: mądra, partnerska, była jednym z priorytetów Jego działalności.

– **Mówimy cały czas o instrumentach historycznych, ale nie ogranicza się pan tylko do nich. Brał pan udział w ciekawym projekcie pt. „Transfuzja”. Proszę o nim opowiedzieć.**

– To była przygoda wymyślona przez Andrzeja Bauera, który rzeczywiście dużo gra na wiolonczeli elektrycznej i używa bardzo wielu przetworników dźwięku. Fascynują go projekty multimedialne z udziałem elektroniki. Byłem tam zaproszony jako klawesynista, który potrafi zagrać utwory barokowe, ale barwy były kreowane przez specjalistów od elektroniki, np. przez Cezarego Duchnowskiego. Dla mnie nie była to dziedzina muzyki, w którą chciałbym się jakoś szczególnie angażować, ale była to bardzo fajna przygoda. Myślę, że nie można się zamykać w jednym kręgu, nie można ograniczać się dogmatami. Ale to był bardziej epizod, niż coś trwałego. Trochę rodzaj żartu i przygody, pokazania, że tak też można grać muzykę barokową.

– **Gdyby nie grał pan na instrumentach klawiszowych, gdyby pańska droga artystyczna potoczyła się inaczej, to jaki inny instrument sobie pan wyobraża?**

– Próbowałem kiedyś grać na oboju, uwielbiam ten instrument, ale chyba nie mam w tym kierunku predyspozycji fizycznych. Myślałem również o violi da gamba. W życiu zawsze trochę decyduje przypadek. Fakt, że gram na klawiszach jest wynikiem decyzji rodziców oraz tego, że w wieku 14 lat spotkałem wspaniałą nauczycielkę organów – Mariettę Kruzela. Gra na tym instrumencie zaczęła mnie fascynować, choć wtedy w ogóle nie myślałem, że zostanę muzykiem. Pewnie gdybym trafił na inny instrument i innego profesora poszedłbym w innym kierunku.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Marek Toporowski (ur. 1964) – klawesynista, organista, pianista, dyrygent. Twórca wielokrotnie nagradzanego zespołu muzyki dawnej „Concerto Polacco”. Pedagog związany z Akademią Muzyczną w Katowicach, kierownik Katedry Klawesynu i Historycznych Praktyk Wykonawczych. Autor licznych nagrań płytowych z muzyką dawną.

Pomnik tych, co zostali w górach

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ



Pomnik pamięci alpinistów i taterników stanął w katowickim Parku Kościuszki, nieopodal kościółka św. Michała.

„Jakaś tajemnicza siła ciągnie człowieka do gór”

*bl. ks. Emil Szramek
proboszcz kościoła
Najśw. Marii Panny w Katowicach*

W Katowickim Klubie Wysokogórskim od lat siedemdziesiątych żyła idea upamiętnienia przyjaciół, wybitnych taterników, alpinistów i himalaistów, którzy pozostali na zawsze w górach wysokich, a tragiczna śmierć sprawiła, że nie posiadają swoich grobów i taką rolę mógłby spełniać symboliczny pomnik. Z tego Klubu wyszło wielu znakomitych wspinaczy, którzy wpisali się w światową czołówkę zdobywców wysokich gór, a ceną tego była właśnie śmierć w górach.

Bezpośrednią przyczyną sprawczą była śmierć Henryka Furmanika (ur. 1937), zwanego w środowisku taternickim „Heniolongiem” ze względu na bardzo wysoki wzrost, który zginął w górach św. Eliasza na Alasce w 1974 roku. Kolejne dekady przynosiły bolesne straty. W roku 1983 zginął w czasie wytyczania nowej drogi na Ganesch II w Himalajach Andrzej Hartman (ur. 1949), w dwa lata później spadł w przepaść Rafał Chołda (ur. 1957) pokonując słynną ścianę południową Lhotse. W roku 1988 straciliśmy Jana Nowaka (ur. 1953), który podchodząc po poręczówkach na sześciotysięcznik Bhagirati został trafiony w głowę spadającym kamieniem. W następnym roku Mirosława Dąsałę, autora kanonicznej górskiej książki *Każdemu jego Everest*, zabrała lawina na przełęczy Lho La pod Mount Everestem. Tę tragiczną dekadę zamknęła śmierć Jerzego Kukuczki (ur. 1948) w 1989 roku na Lhotse. Kolejne straty dotknęły klub w roku 2013, gdy schodząc z pierwszego zimowego wejścia na szczyt Broad Peak zginął Tomasz Kowalski (ur. 1985), a w trzy miesiące póź-

niej góry zabrały Artura Hajzera (ur. 1962) zdobywającego Gasherbrum I.

Pomnik stanowi ich symboliczną mogiłę, przy której można zapalić światła pamięci, pomodlić się i zadumać nad przemijaniem. Można go nazwać śląską Osterwą, bo przypomina Tatrzański Cmentarz Symboliczny nad Popradzkim Jeziorem.

Wybór miejsca w Parku Kościuszki leżącym na wzgórzu nad miastem był wielorako uzasadniony. Po pierwsze od roku 1985 w ostatnią środę października w drewnianym kościółku św. Michała stojącym na najwyższym wzniesieniu Parku odbywają się msze św. żałobne za zmarłych członków Klubu Wysokogórskiego w Katowicach, na których gromadzi się całe środowisko. W tym Parku stoi także Wieża Spadochronowa, kiedyś będąca obiektem sportowym, a od września 1939 roku przypominająca bohaterską obronę miasta przez harcerzy i powstańców przed wkraczającymi od południa oddziałami Wehrmachtu. Poprzez istnienie Harcerskiego Klubu Wysokogórskiego będącego „szkołą taternictwa”, z którego wyrosło wielu świetnych wspinaczy wiąże się harcerstwo z górami. Tu w Katowicach w dwudziestolecie wojewodą był wielki miłośnik gór i niezwykle harcerz – Michał Grażyński¹, który bardzo przyczynił się do upiększenia Parku i jak twierdził Seweryn Walkowiak nauczył Ślązaków kochać góry. Związki między Parkiem Kościuszki, harcerstwem i ludźmi gór są więc ważne, głębokie i wielorakie – wszak w letni dzień z południowego stołu Parku kiedyś widać było – Małą Fatrę.

Nie było więc lepszego i piękniejszego miejsca na pomnik. Jego powstanie jest efektem wielu lat starań, mozolnego zbierania funduszy i szukania sponsorów. Jesienią 2014 roku za pośrednictwem portalu PolakPotrafi.pl ogłoszono zbiórkę publiczną „Pasja gór”, dzięki której zdobyto potrzebne fundusze, dopełniły je prywatne osoby i dofinansował miejski

budżet. 29 października 2014 Rada Miasta Katowice podjęła uchwałę w sprawie „wzniesienia i lokalizacji pomnika Alpinistów z Klubu Wysokogórskiego w Katowicach, którzy w górach zostali na zawsze”. Wielkie było zaangażowanie członków Klubu, zwłaszcza Krzysztofa Modliszewskiego i charyzmatycznego harcmistrza Ignacego „Walka” Nendzy.

Pomnik został zrealizowany według projektu Bogumiła Burzyńskiego, wykonany przez firmę kamieniarską Marka Klyty, tworzą go płyty przypominające złomiska skalne, ułożone jedna na drugiej, a na każdej wyryte jest nazwisko i data śmierci. Prosty lecz głęboki w wymowie obelisk przywodzi nieodmiennie skojarzenie z górkimi głazami, dobrze wpisuje się w tło wysokich drzew, a nieodległy kościółek św. Michała Archaniola przydaje mu patosu.

Uroczystość odsłonięcia zgromadziła w Parku im. Tadeusza Kościuszki tłumy ludzi, pięknie prezentowała się harcerska warta honorowa, przybyły wzruszone rodziny alpinistów, duchowni z archidiecezji katowickiej i środowisko wspinaczy z całej Polski. Z Warszawy przyjechał Janusz Onyszkiewicz prezes PZA, był prezydent Katowic Marcin Krupa, Krzysztof Wielicki oraz Ryszard Pawłowski. Monument poświęcił ks. biskup Adam Wodarczyk, a osłaniali prezes Katowickiego Klubu Wysokogórskiego Piotr Xięski oraz Janusz Onyszkiewicz. Gdy „Walka” Nendza czytał nazwiska członków naszego klubu, bohaterów pomnika, odnieść można było wrażenie, że to jakiś niezwykle apel poległych, za chwilę odezwie się werbel i usłyszymy „zostali w górach na zawsze”!

Znicze rozświetlające jesienny mrok i złocące opadające z drzew liście tworzyły niepowtarzalną scenę wieczoru. Po tem była msza święta ze znakomitą scholą kapłańską, piękną homilią i skupiona modlitwa zwieńczona głębokim, nastrojowym wierszem napisanym przez Ignacego „Walka” Nendzę, bo tak jakoś się składa, że w górach najlepiej milczeć i się modlić.

Wyznanie

Wspinaczka – modlitwa ludzi wybranych
Intymnych marzeń warowny gród
Modlitwa słów niewypowiedzianych
Błogosław Panie nasz górski trud!
W kurniawie, deszczu, huku lawiny
Wszędzie widzimy Twą moc
Licząc bezsenne biwaku godziny
Pozwól nam przeżyć i tę noc
Skalistych świątyń zawieszony cień
Za chwilę słońca uderzy nas blask!
Pozwól nam przeżyć szczęśliwie dzień
Nim dosięgniemy ze szczytu gwiazd.

*Base Camp Lhotse
wrzesień 1979 rok*

¹ Por. K. Heska-Kwaśniewicz: *Michał Grażyński i góry. „Wierchy. Rocznik poświęcony górcom” 2009. Kraków 2011, s. 35-50.*



Krzysztof Siwczyk (z lewej) i Maciej Melecki w dawnym pokoju Rafała Wojaczka

Wiersz jest drogą

DAGMARA DRZAZGA

Mikołów, okazała kamienica nieopodal rynku. Na tablicy przed wejściem widnieje napis: „Z tego domu wyszedł w świat Rafał Wojacek, poeta 1945–1971”. W dawnym mieszkaniu autora *Innej bajki* mieści się teraz prężnie działający Instytut Mikołowski jego imienia. Niedgdyjsza kuchnia państwa Wojaczków stała się biurem, biblioteką, magazynem i pokojem gościnnym. Spotykam się tam z Maciejem Meleckim i Krzysztofem Siwczykem, pracownikami Instytutu, ale – co ważniejsze! – poetami i organizatorami wielu wydarzeń literackich. Właśnie mija siedemdziesiąta rocznica urodzin Rafała Wojaczka.

– Jesteście bardziej u siebie, czy u Wojaczka? Pytam nie dotykając nawet metafizyki. Jestem w rzeczywistości Instytutu, ale gdziekolwiek się nie obrócę Rafał patrzy na mnie ze zdjęć, na szafce stoi jego maszyna do pisania, półki uginają się pod książkami z wydaniem wierszy Wojaczka.

– Maciej Melecki: Ja jestem u siebie. W tym roku mija 16 lat odkąd tutaj pracuję. Zanim powstał Instytut Mikołowski też przychodziłem do tego mieszkania, bo od 1997 roku była tu galeria miejska. A jeszcze wcześniej brałem korepetycje z języka angielskiego u mamy Rafała Wojaczka. Sam charakter Instytutu i formuła pracy do złudzenia przypominają dom i dlatego tak się tu czuję.

– I też taką domową atmosferę tu stworzyliście.

MM: To się szczególnie uwidacznia podczas spotkań literackich, wieczorów autorskich, czy wernisaży. Panuje tu pewien rodzaj luzu konieczny, by móc stworzyć.

Krzysztof Siwczyk: To dla mnie bardzo bliskie miejsce. Oczywiście, mamy świadomość, że jako placówka instytucjonalna dotowana przez Urząd Miasta Mikołów jesteśmy zobligowani do misji kulturowej, ale nie jesteśmy zobligowani, aby temu miejscu nadawać nieludzki charakter współczesnych instytucji kultury, w których widzowie czują się obco ze względu na sterylny charakter i zimne, budujące dystans wnętrza. Chcemy, aby publiczność uczyła się razem z nami. Wzorzec,

który proponujemy jest w dużej mierze improwizowany, wyniesiony z naszego wewnętrznego doświadczenia. Tego, kim chcemy być w kulturze i jak ją rozumiemy – jako rozmowę, bliskość, wymianę myśli. Jesteśmy w domu państwa Wojaczków i to nas zobowiązuje.

– A czym jest dla ciebie to miejsce prywatnie?

KS: Przyjeżdżałem na tę klatkę schodową jako nastolatek, żeby wczuwać się w atmosferę mieszkania, do którego nie miałem śmiałości zapukać. Wtedy żył jeszcze ojciec Rafała Wojaczka, pan Edward, widywałem go, ale nie odważyłem się o cokolwiek zapytać. To były wówczas dla mnie progi zupełnie niedostępne, legendarne.

– Maćku, czy biorąc te lekcje miałeś świadomość do jakiego domu przychodzisz?

MM: Oczywiście! Przeczytałem już wtedy cały korpus Wojaczka. W 1986 roku po raz pierwszy natknąłem się na jego wiersze. Wysła wówczas książka *Kaskaderzy literatury polskiej*, książka „zbójcka”, która młodemu człowiekowi żyjącemu w czasach kompletnej szarzyzny wydawała się atrakcyjna, oferowała bowiem pewnego rodzaju alternatywne światy. Pokazywała, że wcześniej też byli inni młodzi ludzie, którzy swoją literaturą, jakością „krojem pisma”, wyobraźnią przeciwstawiali się rzeczywistości. I ten bunt jawił mi się jako bardzo przekonujący. Sprawą niezwykle ważną było też to, że Wojacek jest poetą z Mikołowa.

– Pisałeś już wówczas?

MM: Tak, ale to były próbki bardzo niezawodowe. Wojacek nie przemówił do mnie natychmiast. Do Wojaczka się dostrajało, odkrywało coraz to nowe warstwy semantyczne w jego wierszach. Fenomen i geniusz Rafała Wojaczka polega na tym, że stworzył on poezję, która jest niewyczerpana, jeśli chodzi o możliwość odczytań. To poezja napromieniowana takim rodzajem indywidualnej energii, że nie poddaje się próbie czasu.

– O tym, jaki to był dom możemy się dowiedzieć czytając na przykład świetną, osobistą książkę Macieja Szczawińskiego *Rafał Wojacek, który był*. A jak ty zapamiętałeś to miejsce?

MM: Państwo Wojaczkowie byli już wówczas ludźmi w bardzo podeszłym wieku. Mieszkali w osobnych pokojach. Pan Edward był tłumaczem przysięgłym języka niemieckiego, pani Elżbieta udzielała korepetycji swoim uczniom. Była bardzo miłą, serdeczną kobietą. Nigdy nie odważyłem się porozmawiać o jej synu. A potem pamiętam taką sytuację, kiedy pani Elżbieta już chyba była w szpitalu, a pan Edward obserwował przez okno odsłoniętej tablicy na fasadzie domu.

– Tej samej, która jest teraz?

MM: Tak. To było w 1992 roku. Doczekał jeszcze tego, że miasto Mikołów postanowiło uhonorować fakt, że tutaj mieszkał jego syn. Myślę że pan Wojacek był wzruszony. To, zresztą, taki przełomowy moment, bo wówczas miejsce to zostało naznaczone poetycko. Potem państwo Wojaczkowie – w odstępnie roku po sobie – zmarli i mieszkanie stało puste.

Zainteresował się nim ówczesny wiceburmistrz Mikołowa Marian Sworzeń, który podjął krucjatę na rzecz ocalenia tego dziedzictwa. Duże znaczenie miały także działania silnego mikołowskiego środowiska poetyckiego i literackiego. Przecież były tu już wtedy organizowane turnieje jednego wiersza, ogólnopolskie konkursy poetyckie im. Rafała Wojaczka, alternatywnie działaliśmy ja, Arkadiusz Kremza i późniejszy dyrektor Instytutu Paweł Targiel. To wszystko zaowocowało wydaniem *Arkadii – pisma katastroficznego*. Na spotkania autorskie i konkursy poetyckie zaczęło przyjeżdżać do Mikołowa bardzo dużo ludzi.

– **Krzysztof, ty też dołączyłeś wtedy do tego grona?**

KS: Byłem wówczas 16-letnim adeptem sztuki poetyckiej, czyli wytwórcą własnych grafomańskich nieszczęść, które wysyłałem na te konkursy. Ogłoszenie wyników odbywało się na rynku w domu kultury. Przyjechałem na rozstrzygnięcie i wówczas wybitny poeta Julian Kornhauser, teść obecnego prezydenta Andrzeja Dudy, ogłosił werdykt. Najpierw przeczytał laureata trzeciego miejsca – ten wstał grzecznie, potem drugie miejsce – Maciej Melecki z Mikołowa.

– **Nic ci jeszcze wówczas nie mówiło to nazwisko?**

KS: Nic. I Julian Kornhauser czyta dalej: pierwsze miejsce otrzymał Krzysztof... – a ja już wstaję – i nagle słyszę... Śliwka. Konsternacja. To mówię: nie Śliwka, tylko Siwczyk! (*śmiech*). Ale chodziło o Krzysztofa Śliwkę, wybitnego poetę z Żąbkowic Śląskich, dzisiaj naszego przyjaciela. Poczulem się straszliwie dotknięty tym werdyktem! Wychodząc z domu kultury trzasnąłem ciężkimi, żelwnymi drzwiami...

MM (z niedowierzaniem): Trzasnęłaś drzwiami?!

KS: Tak! I wtedy powiedziałem sobie w duchu, że ja tu jeszcze wrócę (*śmiech*). Po tem, w ciągu pół roku, poznałem osobiście Macieja i zawiązały się moje ścisłe związki z tym środowiskiem poetyckim i atmosferą, która istnieje w Mikołowie do dzisiaj. A jest to jedno z niewielu miast tej wielkości, w których takie środowisko jest żywe.

– **Nawet nie pytam czy, ale w jaki sposób Rafał Wojacek wpłynął na wasze życie?**

KS: Zasadniczo. Moje przygody lekturą z Wojackiem trwają do dzisiaj, podziw nie maleje, wręcz wzrasta! Dobijam czterdziestki i coraz trudniej mi uwierzyć, że 25-letni wówczas Wojacek (z mojej dzisiejszej perspektywy młody człowiek) wygenerował taką literaturę. To się nie mieści w głowie! Dużo łatwiej mogłem to zrozumieć, kiedy byłem w tym samym wieku, bo mając dwadzieścia kilka lat człowiek jest pełen omnipotencji, zwłaszcza poetyckiej. Z latami to się zmienia. Później zagrałem w filmie *Wojacek* [*Wojacek*, reż. Lech Majewski (1999)]. Zdjęcia do filmu zrealizował Adam Sikora, operator pochodzący z Mikołowa – *przyp. D. D.*], więc to była przygoda, która zdeterminowała moje losy, że tak powiem, publiczne. Jeśli jednak chodzi o głębsze kwestie – tworzenie się tożsamości – Wojacek jest jedną z tych ważnych

postaci literackich, która mnie uformowała. Nie jako życiowo-egzystencjalny wzór do naśladowania, ale jako pewnego rodzaju fenomen literacki, z którego należy czerpać i uczyć się pokory.

– **Pokory?**

KS: Tak, pokory, której zresztą Wojacek sam w sobie nie miał.

MM: To jest pewien rodzaj *signum* – w znaczeniu bycia poetą w życiu i bycia poetą jako kreatorem różnych światów i zaświatów tekstowych. On je tworzył w sposób niezwykle odrębny i indywidualny. To jest lekcja trwająca do dziś i nauka pokazująca, jakim poetą trzeba być, żeby być poetą dobrym.

– **Pamiętacie pierwsze zetknięcie z poezją Rafała Wojaczka? Czy był taki wiersz, który – parafrazując Lecha Majewskiego – „przestrzełił wam serce”?**

KS: Nie. Dla mnie to raczej całe pomyśły na książki. Pierwszy tom Wojaczka *Sezon* z poetyką, taką trochę różewiczowską, jest świetny. Emanuje z niego wielka siła młodości. Wojacek miał dwadzieścia lat, kiedy zadebiutował w pierwszym numerze *Poezji*. I właśnie te wiersze wydają mi się do dziś niezwykle energetyczne; noszą znamiona sztuki wychylonej w awangardyzm polski. To są wyraźne znaki, że oto mamy do czynienia z dwudziestolatkiem czytającym, czyli taką istotą, której dzisiaj z lampą szukać.

– **Czytającym, ale nie plagiatującym!**

KS: Dokładnie! Wyrażającym się w pewnej literackiej formie, ale włączającym w tę formę treści, które należy rozumieć w kluczu psychoanalitycznym, na przykład: matka-kielbasa. To takie lusterko freudowskie. Można powiedzieć, że są to zwyczajowe rozterki dwudziestolatka, ale wyrazić je w języku poetyckim jest dużą sztuką! Który dwudziestolatek, zwłaszcza dzisiejszy analfabeta, może to zrobić? Wojacek żył w czasach, w których kultura literacka była tak wszechobecna, jak dziś kultura obrazkowa. On był dzieckiem biblioteki. Podkreślę – nie dzieckiem jabłła, ale biblioteki! Maciek wspominał, że było to mieszkanie pełne książek. Naturalną atmosferą tego domu był druk, a teraz atmosfera domów jest tepe jarzeniowe światło ekranów komputerów. Wojacek opisywał trudny moment wyrażania się świadomości autorskiej i to jest fantastyczne! Dawał wyraz naturalnym skłonnościom, wyssanym z mlekiem matki – mlekiem zważonym, czarnym. W tym znaczeniu jego pierwsze wiersze do mnie trafiały, bo one pięknie definiowały rozterki, dla których ja nie potrafiłem znaleźć żadnego innego języka.

– **Ale nie byłes przecież wtedy tego tak świadomy, jak jesteś dzisiaj. One podziały raczej intuicyjnie.**

KS: Tak, to było szukanie idola. Młody człowiek musi go znaleźć. Siła tych wczesnych wierszy z należą do *Sezon* jest ogromna! A jaka wspaniała konstrukcja książki! Wojacek nie jest autorem poszczególnych strzałów poetyckich, jakichś olśnień jednorazowych, ale bardzo zmysłnym konstruktorem całych projektów. A to już świadczy o fenomenie talentu, świetnej intuicji poetyckiej i doskonałych lekturach, które odbył dwudziestolatek, ale czytający

klasyków, Rafał Wojacek. To robiło na mnie potężne wrażenie, ale też budowało kompleks, bo oznaczało, że trzeba przeczytać to samo, co czytał Wojacek, by nabyć pewnych kluczy do jego rzeczywistości. No i nabywanie ich trwa do dzisiaj.

MM: U mnie było podobnie. Na pewno też wymienię te początkowe wiersze z *Sezonu*, ale dodam i takie, które mówią o losie jednostki: cały cykl *Piosenka bohaterów* albo *Modlitwa szarego człowieka*. Ileż tam nieuchwytnych momentów w metaforach, jaki świeży język! Oczywiście, wówczas też działała legenda Wojaczka – jak go wspominało, jaki zarys egzystencjalny i psychologiczny wyłaniał się z tych opowieści. Dla młodego człowieka niezwykłą atrakcją stanowił też fakt, że nie mamy tu do czynienia wyłącznie z autorem wierszy, ale z bardzo rozwichrzoną osobowością, która bólu istnienia doświadcza na własnym ciele. I że on próbuje się wyszamotać z tej klatki poprzez przejawy agresji, picia, podejmowanie prób samobójczych. Dopiero z czasem przyszła refleksja, że nie są to tak ważne elementy. Najważniejsza jest sama poezja. Znając biografię Wojaczka człowiek zaczyna sobie uświadamiać, że było w niej dużo kreacji, która służyła wydobyciu poezji na światło dzienne. To nie życie jako takie było w centrum – wszystko w nim było podporządkowane poezji. Nic innego się nie liczyło!

– **Pamiętam, że któryś z was powiedział kiedyś, że lans i poezja się wykluczają. A jednak trudno Wojackowi odmówić tego „lansu”. Jego przyjaciel, poeta Janusz Styczeń stwierdził, że Rafał Wojacek był prekursorem autopromocji.**

KS: Zdecydowanie się z tym zgadzam. Tym bardziej że Janusz Styczeń był tą osobą, która towarzyszyła wrocławskiem „działaniu autopromocyjnym” Wojaczka. One przejawiały się w ciągłym prowokowaniu – owsem – mieszczaucha, ale też literatów. Wojacek nie działał w próżni, ale w określonym miejscu i stanie społecznym. Nie możemy zapominać, że było to wtargnięcie nie tylko w środowisko literackie, ale też w polską kulturę, która od połowy lat sześćdziesiątych znajdowała się w stanie absolutnego wzmoczenia. Żyją wówczas najwybitniejsi krytycy i ekstremalnie uzdolnieni poeci: Tadeusz Peiper, Julian Przyboś, Różewicz pisze swoje najlepsze utwory, jest aktywny jeden z największych poetów polskich Witold Wirpsza, są Miłosz i Herbert. Dlatego trzeba sobie uświadomić, że to wtargnięcie musiało być działaniem zaprogramowanym. Nie widzę we wrocławskich wojackowych poczynaniach żadnego przypadku. Wszystko był wykalulowane „na zimno”. To, co Wojacek-człowiek wyczynia znajduje bezpośrednie przełożenie na to, co Wojacek-człowiek wypisuje. Wojacek jest teoretykiem własnego ciała i siebie w ogóle. Zaproponował wewnętrzną „autopromocję”, która wyrażała się w autodestrukcji i odwadze posuwania się w – tak zwany – życiu ku coraz dalszym granicom, za którymi czekała już tylko śmierć.

– **Nikt, kto widział tego człowieka siedzącego w barach – mniej lub bardziej podrzędnych – i wlewającego w siebie**

morze alkoholu nie podejrzewałby takiego pragmatyzmu... Skrajne osobowości w jednym ciele, co też zresztą widać w jego poezji.

KS: Był skrajnie ambitny, bardzo pracowity. Dbał o to, w jaki sposób jego wiersze były odbierane. Te działania „promocyjne” wokół własnego dzieła wymagają czasu i trzeźwego umysłu. Mówimy o nim, że to człowiek z krótką historyczno-literacką biografią, ale przez zaledwie sześć lat (1965–1971 – *przyp. D. D.*) zrobił bardzo dużo na rzecz przygotowania gruntu pod odbiór własnej poezji.

MM: To jest niezwykle ciekawe, co niedawno wyczytałem: jak się okazało, Wojacek otrzymywał za publikację swoich wierszy wcale niemałe gaże. W pismach literackich w latach sześćdziesiątych nie było jednakowych stawek dla wszystkich. On był klasyfikowany bardzo wysoko.

KS: Piękne są te formuły w jego listach do różnych osób: „nazwisko idzie w górę!”. Wspaniale! To nie jest ktoś zakłamany, dla kogo istnieje tylko bożek poezji. On dba o własne poetyckie interesy, które przekładają się również na pieniądze, ma poczucie swojej pozycji i świadomość, że jest przez środowisko bacznie obserwowany, czy po debiucie jego poczynania spełnią nadzieje, czy nie. Te cztery lata od debiutu do pierwszej książki to cała epoka w wojackowym procesie samokształcenia, dochodzenia do pełnej formy, którą znamy z dwóch jego kolejnych książek *Innej bajki* i *Nie skończonej krucjaty*.

– **Maciu, niedawno za twoją przyczyną świat literacki obiegła sensacja. Odnalazłeś nieznanne utwory Rafała Wojaczka. Są to i wiersze, i – co jeszcze bardziej zaskakujące – proza!**

MM: To moje drugie zetknięcie się z nieznaną spuścizną Wojaczka. Pierwsze miało miejsce w 1999 roku. Wtedy we Wrocławiu, w Ossolineum odnalazłem wiersze rozproszone, które nie były brane przez Wojaczka pod uwagę do publikacji. Ułożyłem wówczas książkę z 60 odrzuconymi albo przez niego, albo przez cenzurę wierszami.

– **Powstał wtedy tom *Reszta krwi*.**

MM: Tak. W tym roku w połowie października odbywała się we Wrocławiu, też w Ossolineum, sesja literacka. Był na niej mój serdeczny przyjaciel Konrad Wojtyła, który przygotowuje pracę doktorską o poezji religijnej Rafała Wojaczka. Przed sesją postanowiliśmy pójść do działu rękopisów i sprawdzić nurtujące nas tytuły wierszy. Wiedzieliśmy bowiem, że takie tytuły istnieją. Musieliśmy zobaczyć, co to jest? W dziale rękopisów jest 16 pękatek teczek z maszynopisami i rękopisami Wojaczka. Natrafiamy na teczkę z prozą, czemu się mocno dziwimy: jak to z prozą?! Proza to *Sanatorium* i nic więcej. A tu się okazuje, że istnieją opowiadania o kompletnie nieznanych tytułach! W ciągu 15 minut widzimy, że są tam utwory, których nikt do tej pory nie tknął! Nikt o nich nie wie! Przeglądamy te tečky i – wow, wow, wow! – robimy wielkie oczy!

– **No to powiedz wreszcie, co tam znalazłeś!**

MM: Teczkę z pierwszą wersją *Nie skończonej krucjaty* w rękopisie. Tam tra-



Maciej Melecki i Krzysztof Siwczyk w biurze, czyli dawnej kuchni państwa Wojacków

fiamy na dwa lub trzy świetne, niepublikowane wiersze. Potem mamy tomik dla Teresy Ziomber (ukochana Rafała Wojaczka – *przyp. D. D.*) *Żrenica* z 1966 roku. Ale sama proza – zobaczenie tego – jest dość szokująca! To sześć dużych opowiadań. Przeczytałem dwa. Jedno jest w maszynopisie i nosi tytuł *Nie te czasy*, a reszta jest w rękopisach. Te utwory nie są ani gorsze, ani lepsze od tego, co znamy. Są absorbujące i ciekawe.

– **Wywołają szok, kiedy się ukażą?**

MM: Nie. To jest pewna kontynuacja, ale wielce intrygująca. Można się tylko dziwić, że tego jest tak dużo i że są tak dobre.

– **Dobre, ale jednak w swoich tomach ich nie umieścił.**

MM: Bo wyszedł z elementarnego założenia, że inne rzeczy są lepsze. To jest naturalne. Każdy z nas ma sporo wierszy, których jednak nie umieścił w swoich książkach. Wszyscy młodzi poeci piszą bardzo dużo. Kolega Siwczyk też pisał mnóstwo, kiedy był młody. Ja też pisałem dużo.

– **Teraz piszecie mniej?**

MM: Teraz piszemy jeszcze więcej! (*śmiech*)

KS (*śmiech*): Ze strachu!

MM: To był na tyle dobry autor, że nawet gdyby się pokusić o stwierdzenie, że jeden czy drugi wiersz jest gorszy, to i tak jest to wiersz świetny.

– **Kiedy te nieznanne utwory ujrzą światło dzienne? Wydacie je?**

KS: To, żeby wydał je Instytut Mikołowski jest naszym marzeniem!

MM: Będziemy o to usilnie zabiegać, ale nie znamy jeszcze woli spadkobierczyni. Muszę tu zaznaczyć, że nie chcemy wydać tej książki dla siebie, bo my to albo już znamy, albo za chwilę poznamy. Tu chodzi o pokazanie nieznanego Wojaczka szerszemu gronu odbiorców.

– **Dobiega końca *Rok Rafała Wojaczka*. Ważny czas dla Instytutu?**

MM: Bardzo. Mieliśmy sesję naukową w maju, w grudniu przyjechali różni poeci i czytali jego wiersze, był koncert z poezją Wojaczka, rozmowy na temat jego twórczości, a teraz jeszcze jest sensacja z powodu tego znaleziska. Chodzi o to, aby wykorzy-

stywać takie konteksty do przypominania Wojaczka i odkrywania go na nowo.

– **Pracujecie razem, obaj jesteście poetami, przyjańcie się. Nigdy nie wkradł się między was jakiś element rywalizacji?**

KS: Udało się!

MM: To jest rodzaj optymalnej symbiozy. Znamy się dwadzieścia lat, dwadzieścia lat temu opublikowaliśmy swoje pierwsze książki, Krzysztof miał wtedy 18 lat, ja 26. To są też bardzo zbieżne fascynacje literackie, które nas wtedy formowały i które do dziś na siebie nachodzą. Podobnie patrzymy na niektóre rzeczy, mamy zbliżone gusty i rodzaj wrażliwości.

– **Potrąficie się skrytykować?**

KS: Tak.

MM (*zdziwiony*): Skrytykować?

KS: My nie piszemy słabych wierszy, więc nie ma się za co krytykować (*śmiech*). To, oczywiście, żart! Zdarzają nam się lepsze i gorsze „kawalki”, ale przeszliśmy podobną ewolucję wiersza i to nas zawsze będzie łączyć.

– **Potrąficie zachwycić się swoimi wierszami nawzajem?**

MM: Tak!

KS: Zdecydowanie tak! Ale nasze książki nie są zakładnikami siebie samych.

MM: Na szczęście na samym początku drogi natrafiliśmy na ludzi, którzy – w naszej opinii – byli wielkimi poetami, ale żyli niezwykle skromnie. To na przykład Bohdan Żadura, Andrzej Sosnowski, Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło. Oni nam pokazali, że cóż z tego, że się pisze dobre wiersze. Chodzi o to, jakim się jest człowiekiem. Element konkurencyjności jest groteskowo-absurdalny. Wiersze są wierszami, giełdy poetyckie są giełdami. My na to nie mamy wpływu. Rzeczą najistotniejszą jest nieustanne rozszerzanie swego – ujmując nieco paradoksalnie – zakresu kresu.

– **Rozwijanie własnego świata.**

KS: Jasne!

MM: W poezji nie ma celu. Jedynym celem poezji jest droga. Wiersz jest drogą. A to gdzie on nas zaprowadzi – mnie jako autora i ewentualnego czytelnika – tego już nie da się przewidzieć.

– **Dziękuję za rozmowę.**



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Centrum i środek miasta: miejsca święte i przekłete

Miejski teatr i jego aktorzy

Centrum miasta to przestrzeń szczególnie intensywnie wykorzystywana przez ludzi i ważne instytucje, główna scena miejskiego teatru w wymiarze kultury, polityki, gospodarki, codziennych i odświętnych praktyk miejskich. Środek miasta z kolei to pojęcie geograficzne, pozbawione czasami, choć nie zawsze, ważniejszych znaczeń społecznych. *Każdy zamieszkały region, każdy tego typu mikrokosmos posiada coś, co moglibyśmy nazwać Środkiem, Centrum – miejscem par excellence świętym. Tu w centrum to, co święte, objawia się w jakiejś całościowej formie* – pisał przed laty znakomity religioznawca rumuński i francuski Mircea Eliade. W kulturze zachodniej centra miast symbolizują bogactwo mieszkańców, ich ekonomiczną potęgę i polityczną pozycję. Są zatem przestrzeniami nieomal sakralnymi i stanowią przedmiot dumy

mieszczan, którzy z poczuciem misji – a nawet wyższości – pokazują przybyzdom z innych miast i krajów zabytki, miejsca historyczne, ekskluzywne sklepy, eleganckie hotele, restauracje, kawiarnie czy wysmakowane galerie. Centrum miasta jest więc przestrzenią potencjalnie najcenniejszą: w sensie ekonomicznym, prestiżowym, symbolicznym, politycznym, gospodarczym. Czasami stanowić jednak może przedmiot mieszczańskiego zawstyżenia, zwłaszcza jeśli nie spełnia swoich funkcji, odpycha estetyką i niefunkcjonalnością. W licznych miastach polskich, na przykład, centra zastąpione zostały przez wielkie galerie handlowe, skrzyżowania głównych tras komunikacyjnych czy ważniejszych dróg wewnątrzmijskich.

Galernicy miejscy

Warto może w tym kontekście tylko wspomnieć, że największą galerię konurbacji katowickiej, Silesia City Center, przestrzeń beczasową, bo pozbawioną całkowicie zegarów, odwiedziło w roku 2014 blisko 15 milionów mieszkańców regionu, kraju i przybyszów spoza granic RP. Centrum miasta, z definicji winno być dobrą przestrzenią publiczną, otwartą, zapraszającą, z ograniczoną liczbą barier, ułatwiającą funkcjonowanie małym i dużym zbiorowościom czy grupom, społecznie więziotwórczą. Ta szczególna forma przestrzeni miejskiej wymaga, jak sądzimy, wyjątkowej samoświadomości profesjonalnej urbanistów. Socjolog może napisać złą książkę i wówczas rozczarowany jej czytelnik odłoży tom na półkę i do niego już nie sięgnie. Tymczasem źle zaprojektowana przestrzeń i niewłaściwie zrealizowana skazuje mieszkańców na wieloletnie użytkowanie oraz miejski dyskomfort. Nadzwyczajna rola centrum miasta i miejskich przestrzeni publicznych skłania nas do rewizji paradygmatycznej – zdawałoby się – piramidy potrzeb stworzonej przez Abrahama H. Masłowa, obecnej we wszystkich niemal podręcznikach psychologii. Indywidualna oraz społeczna potrzeba centrum i szerszej przestrzeni publicznych została przez tego uczonego całkowicie zapoznana. A tymczasem to właśnie tego typu przestrzenie stwarzają szanse na realizację potrzeb bezpieczeństwa, przynależności, szacunku czy samorealizacji, wymienionych przez Masłowa.

Miasta w sieci, sieci w mieście

W dobie wirtualizacji świata globalnego niektórzy twierdzą, że centrum miasta przenosi się do sieci.

To tylko częściowa prawda. Istotnie, w sieci toczą się intrygujące debaty o centrach miast i ich metamorfozach, o układach urbanistycznych czy architektonicznych, przygotowywane są miejskie imprezy i demonstracje, ale nic nie zastąpi dobrze zaprojektowanego i zrealizowanego centrum miasta, realnego obszaru skupiającego mieszczan i mieszkańców. I jedni i drudzy codziennie czytają swoje miasto, rozpoznają je i definiują. Mieszczanie żyją losem swojego miasta, są jego krytykami i admiratorami zarazem, gotowi do poświęceń, podczas gdy mieszkańcy traktują miasto jako przestrzeń codziennego życia czy wręcz zwyczajną sypialnię, miasto łóżko. W czytaniu miasta niezwykle ważna jest szata informacyjna miasta, czyli szyldy, plakaty, bilbordy, reklamy, napisy, znaki, intrygujące graffiti. Miasto jest jak elegantka lub elegant, którzy chcą dobrze się ubrać i towarzysko błyszczeć, choć nie zawsze im to wychodzi. Kluczową funkcję w odczytywaniu znaczeń odgrywa kapitał ludzki, mierzony nie tylko formalnym wykształceniem, ale również wrażliwością estetyczną czy społeczną, zdolnością do współpracy z innymi, postawą prospołeczną czy egocentryczną.

Magiczna siódemka miejska

Centrum miasta, podobnie jak i inne przestrzenie społeczne, opisywać można poprzez siedem form ładu. W pierwszym z nich, **architektoniczno-urbanistycznym**, kluczowa jest czytelna albo nieczytelna dla użytkowników kompozycja. W drugim, **funkcjonalnym**, fundamentalna staje się wygoda lub niewygoda użytkowania, a w kolejnym, **społecznym**, otwartość przestrzeni i jej zapraszający czy też odpychający charakter. W czwartym, **kulturowym**, centrum definiowane jest jako obszar i miejsce zarazem, w których mieszczanin czy mieszkaniec oczekiwać może szczególnie istotnych i ważnych dlań zdarzeń kulturowych lub – przeciwnie – zastać przestrzeń kulturowo pustą. Ład piąty, **estetyczny**, określony jest przez piękno centrum miasta albo jego brzydotę. Kolejny, **ekologiczny**, od starogreckiego *oikos*, oznacza dom lub miejsce, w których człowiek pragnie żyć i pracować w zdrowym oraz bezpiecznym środowisku czy też – przeciwnie – jest skazany na otoczenie niezdrowe, niebezpieczne, niechciane w istocie. I wreszcie ład siódmy, związany z **inteligentną przestrzenią** eksponuje centrum adaptujące osiągnięcia współczesnej technologii i techniki lub, odwrotnie, je zaniedbujące.



Erwin Sówka „Barbara w dybach” (1978), św. Barbara zakuta w kościół na Nikiszu

Duchy światła i mroku

JACEK KUREK

Z tęsknoty za światłem wyłania się duchowa rzeczywistość Ślązaków, zamieszkujących przemysłową część Górnego Śląska; ich wrażliwość, cielesność, przywiązanie do niematerialnego wymiaru życia, stosunek do ciemności, śmierci i skłonność do mistycyzmu. Pytanie o duchowość tych ludzi, jej źródła, charakter, to fascynująca i wciąż nierozpoznana tajemnica, do której zbliżyć się można na różne sposoby...

Bóg jest ogniem we mnie, ja w Nim blaskiem jestem.
Czyż nie złączył nas na wieki płomienisty węzeł?

Angelus Silesius

Szlachetne dzieło żelazne

Ludy górnicze od starożytności wierzyły, że wydobywanie kruszców było działaniem magicznym i związanym z tajemnicą życia. Było niczym przyjmowanie porodu z wnętrza Matki Ziemi. Wedle Platona, poczynając i rodząc, kobieta naśladowała Ziemię, której minerały to płody, pozyskiwane z głębi, jakby z macicy... Wierzono, że górnik, ale także hut-

nik – o czym pisał w *Kowalach i alchemikach* Mircea Eliade – to akuszerzy wchodzący przez swoją pracę w rolę Czasu, bo tak jak on wydobyte z wnętrza ziemi rudy przekształcali wedle siebie tylko znanych „alchemicznych” sposobów. Czasowi zajmuje to tysiące lat, górnik i hutnik potrzebują jednego dnia albo nocy, choć pracą tą trują się zazwyczaj całe życie. Wspominałem już o tym kiedyś na łamach „Śląska” w tekście *Poród w kuźni, czyli Śląska z ognia i ciemności*

(nr 5, 2011). Kowale – o czym wiedzieli także natchnieni autorzy Biblii – wnieśli do kultury ludzkiej szczególnie ważne *novum* – miecz, który odmieniał historię ludów i nigdy nie przestał być pokusą złego. Jak dowodził Eliade, „najstarszy wyraz określający żelazo, sumeryjskie słowo *an. bar*, złożony jest z piktogramów oznaczających „niebo” i „ogień”, „Badacz nieśmiertelności pisał: „Podobnie jak piorun i meteoryty, topory «rozrąbywały» Ziemię; innymi słowy, symbolizowały zespolenie Nieba i Ziemi”. Hutnik i poeta Walenty Brusek *vel* Brusiek, który znany jest pod nazwiskiem Roździeński (ok. 1570 – 1640/42), w słynnym i pionierskim poemacie dydaktycznym, eposie hutniczo-górnictwem wydawnym w krakowskiej drukarni Szymona Kempiniego w 1612 roku pt. *Officina ferraria abo Huta i wárstát z kuźniami szláchetnego dzieła żeláznego* pisał o tym, że:

Ruda, metal na świecie jest między wszystkimi
Metalami najprzedniejszy, co się rodzą w ziemi
Którą Bóg wszechmogący zaraz w pierwszym wieku
Świata sprawił i podał k żywności człowieku.

Roździeński zatem wprost uważał, że metale **rodzą** się w ziemi. Na kartach *Officyny*... przyznawał, że praca kuźnika jest ciężka i bolesna:

Jestem właśnie jakoby murzyn uczerniony
Po wszem ciele i ogniem srodze popalony.
Wstąp jeno (obaczysz tu) do nas, jako każdy
Musi się w naszej hucie z ogniem biedzić zawždy!

Patrzajże, jako się to mnie skwarzy ciało!
Aż tu nas w tym ogniu mamy męki mało?
Płomień leci z iskrami w oczy jak perzyny,
Piekę się ustawicznie ogniem z każdej strony!

Przede wszystkim jednak ów hutnik-poeta dawał w swym dziele świadectwo umiłowania zawodu kuźnika, który wpiśnięty w przestrzeń poezji, i choć robił to językiem chropowatym, niczym Hefajstos kulawym, to przecież z wybornym znawstwem hutniczej profesji i nieklamany uczuciem. Zbyt poważne są sprawy, o których pisał, by mógł zrezygnować z rymów i poetyckiej formy. Jeden z fragmentów dzieła, zatytułowany *O żelazie, które mocą swoją w cnotcie a w godności każdy metal na świecie przechodzi*, jest prawdziwą afirmacją żelaza, którego moc, cnota i godność wynoszą nad inne metale.

Żelazo jest własności swojej najmocniejszy
Metal między metalami i najpotrzebniejszy
Człowiekowi, którego bojem ostrej siły
Monarchie na świecie wielkie upadały.

Dzieło pisane wierszem (w zgodzie z duchem epoki) nabiera wymiaru symbolicznego. Jako poeta-kowal Roździeński nie miał sobie równych. Traktaty i teksty o hutnictwie pisane były wówczas raczej przez filozofów, uczonych i pisarzy, nie praktyków hutniczego rzemiosła. W czasach późniejszych, w wieku XIX, znajdzie Roździeński śląskiego kontynuatora sztuki poetyckiej w osobie innego hutnika-poety – Juliusza Ligonia urodzonego w 1823 roku w Prądach koło Koszęcina, hutniczego kowala z Królewskiej Huty. Co ciekawe, z Koszęcinem związany był też Roździeński. To przecież „Panu na Koszęcinie” – Andrzejowi Kuchcińskiemu dedykował swój utwór. Jakub, ojciec Walentego pochodził z Bruśka koło Kalet. W średniowiecznych Kaletach, wedle legendy, Czech Hyncz Pavaviogocz miał rozpalić pierwszy ogień w piecach dymarskich. Ów czesko-niemiecko-polski kontekst śląskich korzeni Roździeńskiego ma przecież symboliczne znaczenie. Autor *Officyny*... był pierwszym, który pisał o „szlachetnym dziele żelaznym” w języku polskim i najpewniej także pierwszym, który w tym języku i w tak obszernym dziele uczynił pochwałę nierolniczej pracy fizycznej. A robiąc to dotykał i łączył sprawy ciała i ducha... Fach swój wywodził od starożytnych Tubalkaina (Tubala), Wulkanu i cyklopów, tym

samym widział go jako wyjątkowy i w pełni zasługujący na najwyższe uznanie.

A gdy się to szlachetne Wulkanowe dzieło
Niewymownie na świecie wszędy rozstawiło
Poczęli naśladować w tym mistrza Onego
Drudzy, chcąc się okazać jeden nad drugiego
[...]
Od tych Niemców Polacy tu się nauczyli
Naprzód robić żelazo i w tym sposób wzięli
Od nich do takich kunsztów, a stąd i ich mową
Jeszcze każde naczynie w swoim dziele zowią
[...]
Ze Szląska potym do Polski zaś żelazne dzieło
Przez niejaki Myszny przyniesione było.
Z których jeden u Krzepic na Kostrzynie rzecze
Naprzód – warchoł rzeczony – zbudował kuźnice.

Tygrys

Tekst Roździeńskiego inspiruje do tego, by na ogień związane z kowalstwem spojrzeć z perspektywy, uniwersalnej. Wtedy okazuje się, jak rozległy to horyzont. Jeden z najsłynniejszych wierszy Williama Blake’a *Tyger* doczekał trudnych do policzenia interpretacji i wielu polskich tłumaczeń. Jak pisała tłumaczka biografii Blake’a pióra Petera Ackroyda – Ewa Kraskowska, wszystkie mają swoje wady i zalety; sama przytacza cztery z nich, ja proponuję uwzględnić jeszcze jedną, piątą. Zwróćmy uwagę na czwartą zwrotkę wiersza, która w oryginale brzmi:

What the hammer? what the chain
In what furnace was the brain?
What the anvil? what dread grasp,
Dare itts deadly terrors clasp!

W różniących się między sobą wieloma niuansami tłumaczeniach na język polski za każdym razem plastycznie uwadniona została potęga zdumiewającego i niepojętego kowala, który w kuźni – owej stwórczej przestrzeni – dokonuje aktu powołania do życia dobra i zła. Oto pięć tłumaczeń, kolejno: Stanisława Barańczaka, Zygmunta Kubiaka, Krzysztofa Puławskiego, Jolanty Kozak i Tadeusza Sławka.

Jakim to młotem kuł zajadłe
Twój mózg, na jakim kładł kowadłe.
Z jakich palenisk go wyjmował
Cęgami wszechpotężny kowal.

Jakie przeżyły się powrozy?
Jakie tam piece ogniem ziały,
Gdy mózg śmiertelnej pełen grozy
Strasliwie palce kształtowały?

Jaki młot twój mózg formował?
W jakim żarze się hartował?
Któż go ujął w mocne cęgi,
Grozy nie zląkł się potężny?

Jakich młotów dziki szal?
W jakim kotle mózg twój wrzał?
Jakich kleszczy moc zuchwała
Grozę jego okiełznała?

Jaki był to młot? Okowy?
Jaki to ogień mózg hartował?
Czyja ręka siłę miała,
By kuć grozę twego ciała.

W tygrysie ujawnia się kusząca siła i zatrważająca ambivalencja. Zdefiniowany jest przez przeciwstawne, niejako sprzeczne cechy (wartości): piękno – okrucieństwo, groza – za-

chwyt, dzikość – regularność idealnych rysów itd. Mamy tu do czynienia z „przerazliwym pięknem”, które „jasno płonie w puszczech nocy”, i jest „błyskiem w gąszczu mroku”. Kluczowe pytanie pada w zwrotce piątej. W tłumaczeniu Stanisława Barańczaka brzmi ono:

Czy się swym dziełem Ten nie strwożył,
Kto jagnię – lecz i Ciebie stworzył?

A w przekładzie Tadeusza Sławka:

Czy On śmiał się widząc ciebie?
To On jagnię stworzył w niebie?

W komentarzu do wiersza Tadeusz Sławek pisał: „O ogniu i pytaniu. O ogniu pytania, który przepala wszelkie możliwe odpowiedzi. I zmienia ich zadufaną mądrość na popiół. Krótki a wielki traktat językozawczy: język jest pytaniem, odpowiedź jest językiem, a więc jak możemy mówić w ogóle o odpowiedzi?”

Adekwatny do podejrzeń Blake’a, który opisuje pięknego i morderczego zarazem tygrysa, jest tytuł obrazu malarza intuicyjnego z Janowa Pawła Wróbla *W pięknie tkwi zło*. Zresztą niemało podobnych dylematów i odniesień znaleźć można także w dziełach innych janowskich malarzy, poczynając od Teofila Ociepki, a kończąc na Erwinie Sówce. I warto też zwrócić uwagę na zdanie Ślązaka Jakuba Boehmego (1575–1624), który inspirował Blake’a. Odnajdujemy bez trudu liczne tropy wskazujące na fascynację Boehmem autora *Jeruzalem*. Szewc-filozof z Görlitz wypowiada frazę, którą bez ryzyka popełnienia błędu odnieść można do wiersza Blake’a, ale także do twórczości wspomnianych śląskich malarzy, i ostatecznie przecież także do tematu, który tu rozważamy: „Niebo jest w piekle, a piekło jest w niebie, lecz żadne z nich nie jest drugiemu objawione... Tedy aniołowie nie widzą ciemności; widzą jeno światło boskiej mocy. Diabły zaś widzą jeno ciemność Bożego gniewu”. Słowa śląskiego filozofa i mistyka styku XVI i XVII wieku wybrzmiewają niemal proroczo, gdy zestawić je z pytaniami o kulturę na przemysłowym Śląsku przełomu wieków XIX i XX.

Skarbnik i inne demony

Znamy pocztówki z dawnego Śląska przedstawiające modlących się górników w cechowni kopalni przed obrazem św. Barbary, wszak, każdy zjazd pod ziemię poprzedzony był modlitwą, sama zaś cechownia z modlącymi się mężczyznami przyjmowała funkcję i wygląd kaplicy. Anton O. Klausmann pisał o pobożności górników w drugiej połowie XIX wieku: „W wielkiej hali każdej cechowni znajdowała się zwykle zamknięta szafa, w której po otwarciu drzwiczek ukazywał się wizerunek św. Barbary albo Najświętszej Marii Panny. Czasami obraz ten był otwierany. Gdy się go rozkładało, powstawał tryptyk. [...] Wcześniej rano przed rozpoczęciem pracy i wieczorem po szychcie górnicy modlili się i śpiewali wspólnie przed świętym obrazem. [...] Górnicy bardzo też dbali o porządek i właściwe zachowanie. Starannie przestrzegano dobrych obyczajów na dole w kopalni. Pod ziemią nie wolno było przeklinać ani wyzywać. Rękoczynny wobec towarzyszy pracy karano bezwzględnie i sami ludzie oceniali je bardzo surowo”. Gustaw Morcinek pisał o górniku: „Sam moment zjazdu do kopalni przeistacza go i zmienia w innego człowieka. A potem ta olbrzymia suma doznań i przeżyć, ta świadomość, że staje się podobny do jakiejś mitycznej postaci podziemia, że wędruje godzinami i grzebie się w tym ponurym i tajemniczym labiryncie chodników i ganków, że bywa ze śmiercią za pan brat, że ją musi umieć przechytrzyć i wykpić, że wydobywa węgiel, który gdzieś tam napuszeni oratorowi i kliwie wierszoklety nazywają z emfazą >czarnym diamentem< i >czarnym złotem<, a który jest dla niego tylko węglem, niczym więcej, i że owym wylupanym z caliny węglem, a raczej swoim wysiłkiem włożonym w ową pracę decyduje o losie całego społeczeństwa a może i państwa – wszystko to musi kształtować

jego psychikę na odrębną miarę, na miarę inną niż ją zwykliśmy stosować do spotkanych codziennie ludzi”.

Zarazem jednak, jak pisał Seweryn A. Wislocki, „wszelkiego rodzaju czary, gusła i magia były wszechobecne i w przedziwny sposób koegzystowały z powszechnym dla ludu Śląskiego katolicyzmem, jak i nielicznie reprezentowanym (poza mniejszością niemiecką) ewangelizmem, tworząc wraz z nimi rozbudowaną szeroko sferę sacrum. Właściwy dla niej świat mityczny zaludniany był takimi stworami, jak: kobl-

Jak pisał Seweryn A. Wislocki, „wszelkiego rodzaju czary, gusła i magia były wszechobecne i w przedziwny sposób koegzystowały z powszechnym dla ludu Śląskiego katolicyzmem, jak i nielicznie reprezentowanym (poza mniejszością niemiecką) ewangelizmem, tworząc wraz z nimi rozbudowaną szeroko sferę sacrum. Właściwy dla niej świat mityczny zaludniany był takimi stworami, jak: koboldy, utopce i ich zaczarowane żaby, wilkołaki, Skarbnik, topielce, zielone duchy leśne i inne fantastyczne byty”.

dy, utopce i ich zaczarowane żaby, wilkołaki, Skarbnik, topielce, zielone duchy leśne i inne fantastyczne byty”.

O podziemnych demonach, zwanych skarbnikami i ich relacjach z górnikami pisał już wspomniany Rożdzieński:

Są też jacyś duchowie dziwni w ziemi
Pospolicie bywają więc między kruszcami.
Ci z Górniki przy kruszczach jakby cech trzymają.
A gdzie kruszców najwięcej, tam radzi mieszkają.

Nie widzący oczami ciała predestynowany był do tego, by widzieć więcej oczami duszy. Starcy-ślepy w tradycji ludowej uważani byli za proroków, Śląsk miał swojego Wernyhore. Wawrzyńca Hajdę, który jako niespełna trzydziestoletni górnik stracił w kopalni wzrok. Jego ukochanie muzyki, wyobraźnia i przenikliwość uczyniło go już za życia legendą. Mieszkał w Wielkich Piekarach (dziś Piekary Śląskie), niedaleko miejsca urodzenia (Bobrowniki pod Tarnowskimi Górami). Niespełna rok przed śmiercią mając 78 lat przeżywał spełnienie jednego ze swych proroctw, witał w Piekarach polskie wojsko.

Z tej rzeczywistości wyrosło malarstwo Teofila Ociepki i adeptów jego alchemicznej wyobraźni, ale nie tylko ich. Smoków, bazylijszków, wiedźm, poędnic nie brakuje także na współczesnych śląskich obrazach i rysunkach m. in. Teresy Bigos, Sabiny Pasoń, Czesława Fojejka, Maksymiliana Lipusa, Marka W. Judyckiego, Józefa Kłyka, Stanisława Borowca, Romualda Nowaka, Władysława Lucińskiego. Całą galerię śląskich demonów autorstwa tyskiego rzeźbiarza Tomasa Wenklara postawiono w otoczeniu zamku w Chudowie. Znane na różnych terenach błędne ognie (ogniki), demony z torfowisk, pól, błot, łąk i bagien, na Górnym Śląsku określone były najrozmaitszymi nazwami, których wielość uderza do głowy... Bandurka, bioło baba, bogunia, bołgoń, bołgunia, duch ogniowy, duch ognisty, fajerman, jajerman, fojerman, fojermón, drwisz, kleklimanka, kłęknicza... Barbara i Adam Podgórcy, autorzy *Mitologii Śląskiej*, wymieniają jeszcze blisko 50 najrozmaitszych określeń owych ognia. Pisał o tych przeróżnych dziwadłach Walenty Rożdzieński w swojej słynnej pochwałce „szlachetnego dzieła żelaznego”. Uważano je dość powszechnie za dusze pokutujące po śmierci. Na Śląsku wierzono w złe i dobre błędne ognie. Pierwsze prześladowały ludzi złych, drugie dobrym pomagały, oświetlając drogę, towarzysząc w ciemności. Także wszelkiej maści beboki mieszkwały nie tylko w szopach i chlewikach, ale i pod ziemią. W okolicach Zabrze, Bytomia i Rudy wiadano o innym jeszcze duchu podziemnym – a mianowicie bracie św. Barbary. Ta święta męczennica z Nikomedii, czczona była już w VII wieku, a legendy mówiące o niej są o wiele



Erwin Sówka „Barbara z górnikiem” 1990

jeszcze starsze. Zamknięta w wieży, zamordowana przez własnego ojca, przede wszystkim była patronką dobrej śmierci, chroniła od śmierci gwałtownej i niespodziewanej, więc najpierw uznali ją za swoją opiekunkę przedstawiciele zawodów najwyższego ryzyka: żołnierze, marynarze i – co oczywiste – także górnicy, ale czczona jest przez przedstawicieli wielu innych profesji (np. ludwisarzy, architektów, murarzy). Modlili się do niej kowale i ostatecznie również więźniowie.

Cała ta sakralna rzeczywistość, ortodoksyjna i nieortodoksyjna, ziszczała się w cytowanych już słowach Jakuba Boehmego: „Niebo jest w piekle, a piekło jest w niebie, lecz żadne z nich nie jest drugiemu objawione... Tedy aniołowie nie

Pisał Józef Chałasiński: „Zjeżdżał górnik do szybu, zegnając się uroczyście krzyżem świętym. Pod ziemią zaczynał się bowiem inny świat. Na każdym kroku czyhała tutaj śmierć. Mimo to coś ich pchało do podziemia. Nie tylko zarobek, lecz także nieprzeparty urok tej ciężkiej pracy wydzierania żywiołowi jego skarbów, wbrew jego woli i z narażeniem własnego życia”.

widzą ciemności; widzą jeno światło boskiej mocy. Diabły zaś widzą jeno ciemność Bożego gniewu”. Bo ciemność, podziemie stanowiły siedlisko zła i jego królestwo. Diabeł był duchem ciemności i jej panem. Zwłaszcza na Śląsku Cieszyńskim diabeł nieraz nazywano czornym. A górnik zjeżdżając do pracy, nie miał nigdy pewności, że bezpiecznie wróci do domu, zobaczy światło i gołębie... Pisał Józef Chałasiński: „Zjeżdżał górnik do szybu, zegnając się uroczyście krzyżem świętym. Pod ziemią zaczynał się bowiem inny świat. Na każdym kroku czyhała tutaj śmierć. Mimo to coś ich pchało do podziemia. Nie tylko zarobek, lecz także nieprzeparty urok tej ciężkiej pracy wydzierania żywiołowi jego skarbów, wbrew jego woli i z narażeniem własnego życia”.

Anton O. Klausmann: „Każdy człowiek na Górnym Śląsku na pamięć znał wszystkie cechy i kaprysy Skarbnika, uchodzącego w zasadzie za przyjaciela górników. Stawał się on niemiły tylko wtedy, gdy używało się przy nim wulgarnych słów lub wprawiło w złość gwizdaniem. Mogło się wtedy zdarzyć, że pojawiał się w postaci sztygara czy innego urzędnika nadzoru i ciskał człowiekiem o ścianę chodnika tak moc-

no, że delikwent na długo pamiętał lekcję”. I nieco dalej: „Gdy robotnicy stali lub siedzieli wokół potężnego ogniska z brył węgla, służącego równocześnie do ogrzewania i do oświetlenia, często widywali pojawiającego się nagle nadsztygara siedzącego obok nich przy ogniu, milczącego, wpatzonego w żar. Gdy mu się potem bliżej przyjrano, odkrywano, że rzeźkomy nadsztygar ma zielone oczy. Jak powiadano, któryś z robotników niepostrzeżenie składał wtedy dłonie do modlitwy, odmawiał jeden ojczenaszek i postać zniknęła”.

Główny demon kopalnianych podziemi, Skarbnik, już w samej określającej go nazwie miał wpisana funkcję stróża podziemnych skarbów. To dawna tradycja. Walenty Rożdzieński pisał o duchach kopalni (kuźniczych duchach) wskazujących człowiekowi, gdzie znajdują się bogate pokłady kruszcu, ale też w różnych sytuacjach sprowadzający na górników nieszczęścia.

Barbara i Adam Podgórcy swoją *Mitologię śląską czyli Przywiarki śląskie. Leksykon i antologia śląskiej demonologii ludowej* zaczynają od dowcipnego i głęboko zanurzonego w kulturę śląską wiersza Mariana Makuły:

Jak Ślązek nasz długi, jak Ślązek szeroki,
To straszą po chałupach, to straszą beboki.
I skarbek berkmonów tu straszy pod ziemią,
A sztajger na wirchu to straszy ich premią.
Przy stawach nos straszą zielone utopki,
Po polach zaś strzygi się chowią za snopki.
I diabeł postraszy, jak keryś nabroi.
I człowiek normalnie wszystkiego się boi.

Duch ze światła i mroku

Bogactwo duchowej wyobraźni Ślązaków wpisanej w znaki światła i ciemności zdaje się być niewyczerpane. Ortodoksja sąsiaduje tu niemal bezkolizyjnie z bajkową fantazją, magią i alchemią. Głęboka wiara i przywiązanie z buntem, „wadzeniem się” z Bogiem a nawet odchodzeniem od Niego. Związki te dla śląskiej kultury są tak samo nierozzerwalne, jak praca kuźnika i opisujący ją język poezji Walentego Rożdzieńskiego. Próbując dotknąć (wszak nie zrozumieć) tajemnicy losu człowieka, który w ogniu przetapia a z ciemności wydobywa kruszce, zbliżamy się do ciała i ducha, widzialnego i niewidzialnego, tego co było, co jest i co będzie... do przestrzeni, w której rodzi się i istnieje śląska duchowość.



17 października 2015 r. o godz. 10.00 pod Halą Wystaw Kapeluszy w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie (al. Generała Jerzego Ziętka) odbył się charytatywny „Bieg dla Rodziny”. Wydarzenie zorganizowano w ramach jubileuszu 15-lecia Instytutu Pamięci Narodowej

Przystanek: Pamięć

BEATA TOMANEK

Najlepiej wysiąść z tramwaju w Katowicach przy ul. św. Jana. Potem wystarczy kilka kroków, by znaleźć się na przystanku, z którego można podróżować dalej wehikułem czasu. Tak znajduje się na trzecim piętrze budynku pod numerem 10. Trzeba tylko jeszcze pokonać przestrzeń małego, zabytkowego korytarza, który prowadzi na „zaczarowane podwórko”. W pewnym sensie ono rzeczywiście takie jest, bo łączy dwa światy: przeszłość z nowoczesnym podejściem do architektury, które pozwala na odważną inwazję współczesnych technologii w starą tkankę mieszkalną. Przeszkłone galeryjki nad głowami, dach nie zasłaniający nieba ani słońca zachwycają i zachęcają, by wsiąść do windy, która na trzecim piętrze zabierze każdego przechodnia w świat przeszłych zdarzeń. To tam właśnie mieści się Przystanek „Historia” działający zgodnie z planem, który ustalili badacze dziejów ze katowickiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej.

Mieszkańcy Śląska są bardzo przywiązani do swojej historii, podkreślają swoje pochodzenie i przyczyniają się do tego, że poczucie tożsamości wciąż jest tutaj bardzo silne. Do niemal każdego śląskiego domu historia wdierała się wiele razy wywierając piętno na całych rodzinach, często zamieniając ich życie

w pasmo cierpień. Najpierw przez 600 lat Ślązacy pielęgowali w zaciszu domostw swoją kulturę, mowę, poczucie przynależności do polskiej ojczyzny, żeby wreszcie o nią zawalczyć. Powstańcy Śląscy są wciąż żywą historią dla coraz młodszych pokoleń. Pobudzają wyobraźnię i serca powstańczych prawnuków. Prawie każdy ma tutaj w rodzinie powstańca. Również spory pomiędzy piłsudczykami i zwolennikami Korfańskiego pomimo upływu wielu lat wciąż trwają i zajmują nie tylko historyków, ale też zwyczajnych mieszkańców tego regionu. Żołnierze Wehrmachtu wyszli z wielu śląskich domów, podobnie jak deportowani po II wojnie światowej górnicy, którzy – jak ci żołnierze – ginęli w nieznanym miejscu, daleko od swoich bliskich. Przeszłość czeska, niemiecka, pruska, czy austriacka mieszają się, ale mimo tego żaden rdzenny mieszkaniec tej ziemi nie ma problemu z określeniem tego kim jest. Ślązacy zbyt gadatliwi nie są i nigdy nie byli. Więc kiedy trzeba było milczeli, ale w razie potrzeby wiadomo było, że wezmą za broń, będą działać. Tak jak na „Wujku”. Burzliwa, niejednoznaczna historia naszego regionu dla wielu jest trudna do zrozumienia. Dla nas, jego mieszkańców była i jest po prostu wymagająca. Wiele jej meandrow i zdarzeń

wymaga wciąż wyjaśnienia, poznania, a nawet odkrycia. Historyczne epizody, ich fragmenty rozproszone istnieją jeszcze w pamięci Ślązaków, często zapisane w dziennikach, listach, dokumentach. Utrwalone na fotografiach. Zapomniane, czasem przemilczane. A ten otwarty niedawno Przystanek „Historia” jest właśnie miejscem, w którym można ożywić przeszłość. Jest to przestrzeń otwarta dla tych wszystkich, którzy pragną uzupełniać albo poznawać historię swojej ziemi. „W naszym zamiarze ma to być takie miejsce, z którego patrzymy w przyszłość poprzez przeszłość” – takie słowa podczas otwarcia Przystanku wypowiedział dyrektor katowickiego Oddziału IPN Andrzej Sznajder. Ze względu na datę tego wydarzenia można powiedzieć, że ten obiekt jest swoistym prezentem dla mieszkańców Katowic upamiętniającym

15-lecie Instytutu Pamięci Narodowej

Jubileusze są okazjami, które łączą przeszłość, zwykle przywołującą przełomowe, ważne wydarzenia z przyszłością, czyli nowymi wyzwaniem i planami. W ciągu 15 lat katowicki oddział IPN wydał 92 książki naukowe, popularnonaukowe i albumy, trzy teki edukacyjne, 6 numerów periodyku *Czasypismo*, dziesięć katalogów wystaw. Łącznie IPN w Katowicach zorganizował 30 wystaw, prezentowanych w 440 miejscach, głównie na Śląsku, ale także w całym kraju, a 4 razy za granicą. Teraz na Przystanku „Historia” w Centrum Edukacyjnym im. Henryka Sławika będą odbywały się lekcje historyczne dla młodzieży, ale także wykłady, konferencje oraz wystawy otwarte dla wszystkich mieszkańców. Centrum nosi imię do niedawna zapomnianego bohatera, uczestnika powstań śląskich, dziennikarza, a w czasie II wojny światowej organizatora pomocy dla internowanych wojskowych oraz uchodźców cywilnych. Szacuje się, że uratował życie prawie 30 000 ludzi, wśród których było ok. 5000 Żydów. Sam zginął. W latach 30. Sławik mieszkał w Katowicach, w kamienicy vis a vis Centrum, które nosi jego imię, przy ul. św. Jana. Znajduje się tam dzisiaj tablica pamiątkowa. Tak przeszłość żyje w teraźniejszości. Z tego względu niezwykle ważna jest edukacja młodzieży, pokolenia, które zdobytą dzisiaj wiedzę poniesie ku przyszłości.

– Stawiamy na młodych. Mamy w tym miejscu sale wykładowe i konferencyjne, a naszą działalność edukacyjną adresować będziemy do uczniów i nauczycieli pobliskich szkół – podkreśla w swoich wypowiedziach Andrzej Sznajder. – Jednak chcielibyśmy bardzo, żeby Przystanek był miejscem spotkań i rozmów o historii, zwłaszcza tej najnowszej dla tych wszystkich, którzy tej wiedzy poszukują. Wiemy, że wiele jest takich osób, gdyż Centrum powstało właśnie w wyniku sygnałów, które odbieraliśmy, że mało

jest miejsc, w których można kupić książki historyczne i jednocześnie zdobyć dodatkowe informacje, uzupełnić własną wiedzę lub się nią podzielić, gdzie zawsze jest ciekawa wystawa do obejrzenia, gdzie odbywają się ogólnie dostępne konferencje. Teraz takie miejsce mamy i każdy może przyjść i zapytać np. czy mój pradziadek był deportowany, czy jest na liście ofiar obozu pracy w Świętochłowicach itd.

Historycy wychodzą z zaszisa

Naukowych gabinetów i pracowni. Coraz częściej prezentują publicznie swoje osiągnięcia na konferencjach, sympozjach, spotkaniach z mieszkańcami w bibliotekach czy domach kultury. Ponad 60 razy archiwiści opowiadali uczniom i studentom o archiwach podczas lekcji w ramach projektu „Co kryją archiwa IPN?”. Coraz częściej też pracownicy korzystają z wiedzy świadków historii. Inicjują projekty angażujące w historyczne dociekania lokalną społeczność i młodzież. Szacuje się, że łącznie w lekcjach, warsztatach i projektach edukacyjnych wzięło udział prawie 63 tys. uczniów i ponad 3200 nauczycieli. Prawie 2500 uczniów uczestniczyło w konkursach, a 2700 zaangażowało się w rajdy historyczne. W turniejach debat oksfordzkich organizowanych przez IPN udział wzięło dotąd 6580 uczniów. W ubiegłym roku powstał pierwszy w Polsce pilotażowy edukacyjny projekt, w ramach którego rudzcy licealiści z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 2 zostali objęci patronatem IPN. Przez trzy lata kilkudziesięciu uczniów będzie ściśle współpracowało z pionem naukowo-edukacyjnym. Ta współpraca to eksperyment edukacyjny, który ma przynieść obopólne korzyści.

– Dla uczniów to możliwość spojrzenia na historię z zupełnie innej strony – wyjaśnia dr hab. Adam Dziurok, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej w Katowicach – bo mogą wejść do archiwum, zobaczyć dziesiątki tysięcy dokumentów, na podstawie których pisze się historię. My natomiast liczymy na wsparcie młodzieży

w naszych przedsięwzięciach, w dotarciu do środowisk uczniowskich i poznaniu, która forma przekazu jest dla nich najciekawsza.

IPN propagując modę na docieranie do swoich korzeni, poznawanie historii miejsca urodzenia czy życia swoich przodków tworzy młodym ludziom warunki do kształtowania właściwej postawy obywatelskiej. Uczy, że pogłębianie wiedzy na temat Polski XX wieku jest wyrazem współczesnego patriotyzmu. Z tych wszystkich względów uroczysta gala z okazji jubileuszu 15-lecia otwarcia katowickiego oddziału IPN odbyła się właśnie w Rudzie Śląskiej wśród młodzieży. To właśnie młodzi zorganizowali to święto. Można było uczestniczyć w koncercie uczniów rudzkiego liceum im. Gustawa Morcinka zatytułowanym *Jest na mapie świata małeńki znak*. W czasie tej uroczystości nagrodzono 15 szkół oraz 15 nauczycieli zasłużonych dla edukacji w dziedzinie najnowszej historii Polski. Oczywiście w świętowaniu jubileuszu zaplanowany został również udział wszystkich sympatyków zdobywania wiedzy historycznej oraz ich rodzin. Dla nich katowicki oddział IPN stworzył swoje archiwa. Można było przeżyć w nich prawdziwą przygodę, np. wziąć udział w aranżowanych przesłuchaniach i przekonać się, czy łatwo jest utrzymać tajemnicę albo odwrócić uwagę agenta. Najodważniejsi mogli wcielić się w rolę „towarzyszy z bezpieczki”, a nawet wykonać zadanie operacyjne, mogli też sprawdzić, co można schować do martwej skrzynki. Przede wszystkim każdy zwiedzający mógł z bliska zobaczyć jak wygląda instytucja zajmująca się wyjaśnianiem historii i ściganiem zbrodni przeciwko narodowi polskiemu. Każdy mógł z bliska zobaczyć osławione teczki w przepastnych archiwach. W ten sposób też każdy mógł skonfrontować się z własną wiedzą na temat współczesnej historii. Ocenieć jej stan, ale także zastanowić się, czy może wzbogacić zasoby IPN-u swoim doświadczeniem lub rodzinnymi wspomnieniami. Ta prowadzona przez tę instytucję polityka „otwarcia” zaowocowała już nie raz. Wyraźnie widać było jej

efekty podczas tworzenia Centrum Dokumentacji Deportacji w Radzionkowie w 2014 roku. Wiele osób oddawało wtedy swoje rodzinne pamiątki, decydowało się opowiedzieć o wywózkach i dramatach najbliższych. Ten czas w historii Górnego Śląska to jedna z wielu „białych” jeszcze „plam” wymagających badań i opracowań. Warto jednak wiedzieć, że w ciągu 15 lat pracy IPN w Katowicach nagrano 70 notacji, czyli relacji ze świadkami dziejów.

Pięć i pół miliona rekordów

Opisujących posiadane dokumenty wpisano do elektronicznej bazy danych. W celu ułatwienia dostępu do materiałów archiwalnych zdigitalizowano 30 terabajtów danych, dodano 5 tysięcy fotografii z dokładnym opisem. Oddziałowe Biuro Udostępniania i Dokumentów w ciągu 15 lat udostępniło 11,8 km bieżących akt, a archiwiści uratowali ponad 16 tysięcy jednostek akt i 170 mb kart kartotecznych, które funkcjonariusze SB potargali i zamierzali przerobić na makulaturę; zużyto do tego ponad pół kilometra specjalnej, archiwalnej „taśmy klejącej”. Ponad 48 tysięcy razy zwrócono się do archiwum z prośbą o odnalezienie interesujących materiałów, a czytelnię akt jawnych odwiedziono prawie 15 tysięcy razy.

Na finał bieg

Uroczystości jubileuszowe 15-lecia IPN zakończył bieg rodzinny. Odbył się w Parku Śląskim aleją Generała Jerzego Ziętka. Mieszkańcy Katowic oraz pracownicy Instytutu pokonali wspólnie 1500 m. To niewielki dystans, ale jego wymiar był głównie symboliczny. „Piętnastka” przypominała o jubileuszu, a prawdziwymi beneficjentami tego biegu były dzieci pracowników, na co dzień dzielnie stawiające opór ciężkim chorobom, którymi są dotknięte. Jednoczący trud, wspólnie działanie charytatywne przyniosło konkretny dochód, z którego sfinansowano rehabilitację oraz leki dla Tadzia Celucha, Malwinki Niewolnik oraz Wojtka Przewłoki. Tadzium jest autystycznym dzieckiem, które żyje z połową serca, Malwinka urodziła się z wadami genetycznymi, nie widzi, nie słyszy, nie chodzi, leży. Wojtuś ma zaburzenia koordynacji mięśniowej, obustronny niedowład spastyczny- efekty mózgowego porażenia dziecięcego. Na starcie stawili się biegacze od lat trzech ze swoimi rodzicami, babkami i dziadkami. Pierwszy wystartował Tadzium. Był szczęśliwy, że dotarł do mety. Poczul się zwycięzcą. Podobnie jak wszyscy, którzy w jesienią, ponury dzień postanowili poświęcić swój czas, by pomóc chorym dzieciom. Ludzi, których łączy historia miejsca, w którym żyją, w tym dniu połączyła również szlachetna idea.



Dr Andrzej Sznajder, dyrektor katowickiego Oddziału IPN

Słynąca cudami manekinowa, XVI-wieczna figurka Matki Boskiej Zbroślawickiej. Monumentalny obraz „Przekazanie władzy świętemu Piotrowi” Friedricha Bouterweka – malarza nagrodzonego Wielkim Złotym Medalem na paryskiej Wystawie Światowej w 1841 r. „Święta Anna nauczająca Maryję” – dzieło namalowane przez Johanna Baptista Reitera – jednego z najwybitniejszych przedstawicieli wiedeńskiego biedermeieru. To tylko niektóre zabytki sztuki sakralnej, które skrywa ziemia powiatu tarnogórskiego.

Śląsk czci Maryję

Niewiele osób zdaje sobie sprawę, że w Tarnowskich Górach i wielu sąsiednich miejscowościach znajduje się wiele pereł sztuki sakralnej. Najstarsze obiekty pochodzą z czasów średniowiecza, tak jak gotycka „Tronująca Madonna z Dzieciątkiem” z 1380 r. z Miasteczka Śląskiego. Rzeźba należy do kręgu tak zwanych „Madonn na lwie”. Lew, leżący pod stopami Maryi symbolizować miał szatana (w figurze pochodzącej z Miasteczka Śląskiego lwa zastępuje pagórek). Ten typ przedstawienia był charakterystyczny dla Śląska, rzadziej występował też w innych regionach – wyjaśnia Zofia Krzykowska, dyrektor Muzeum w Tarnowskich Górach, autorka albumu „Zobaczyć niewidzialne. Zabytki sztuki sakralnej w powiecie tarnogórskim.” – Niezwykle urokliwy wizerunek Maryi znajduje się również na gotyckim retabulum pochodzącym z ok. 1420 r. Dzieło „Matka Boska z Dzieciątkiem i dwunastoma apostołami”, niegdyś znajdujące się w ołtarzu głównym w kościele w Szalszy, dziś po renowacji podziwiać można w Pocysterskim Zespole Klasztorno-Pałacowym w Rudach – dodaje.

Na tarnogórskiej ziemi dobrze reprezentowana jest sztuka baroku, powstająca na fali kontreformacji, w której istotną rolę odegrały zakony dominikanów, franciszkanów i jezuitów. W Tarnowskich Górach duże zasługi miało Towarzystwo Jezusowe, które przyczyniło się nie tylko do rozwoju szkolnictwa, ale też upowszechnienia kultu maryjnego i świętych, czego wyrazem są licznie powstające dzieła.

Przykładem sakralnej sztuki baroku jest piękna rzeźba Matki Boskiej Bolesnej z Żyglina, prawdopodobnie z warsztatu Melchiora Österreicha, przedstawiająca Maryję cierpiącą, której pierś przebija miecz. Ok. 1669 r. powstał też obraz Matki Boskiej Siedmiobolesnej ze srebrną, złotoną sukienką z Miasteczka Śląskiego. Serce Marii przebija siedem srebrnych mieczy – opowiada Zofia Krzykowska. – Na uwagę zasługuje również rzeźba Matki Boskiej Zbroślawickiej z luźno przyczepioną do ręki figurką Dzieciątka. Podobno około 1707 r. odkryta została pod podłogą zakrytą klasztoru w Imbach koło Wiednia przez księżną Petronelę Hessen von Darmstadt. Figurkę ukryto tam przed najazdem Szwedów. Rzeźba stała się

Piękno ukryte w sacrum

ŁUKASZ KARKOSZKA

własnością księżnej. Jej późniejszym spadkobiercą został Ernst von Stockmans, właściciel Zbroślawic. W XIX wieku rzeźbę umieszczono w kaplicy grobowej Stockmansów przy kościele zbroślawickim. Według legendy słyszano dobiegający stamtąd płacz dziecka. Znalazoną tam figurkę przeniesiono do kościoła i płacz ustał. Obecnie znajduje się ona w głównym ołtarzu. Co charakterystyczne rzeźba ma postać manekina: ręce ruszają się w barku i łokciu, a nad łonem Maryi znajduje się otwór wycięty w kształcie serca – tak przedstawiono Marię w stanie błogosławionym. Rzeźbę, otoczoną szczególną czcią przez kobiety oczekujące potomstwa, oglądać można w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Zbroślawicach – dodaje.

Bouterwek – zapomniany mistrz

Na tarnogórską ziemi przez wieki docierały dzieła zamawiane także u zachodnich twórców. Tam bowiem działały najlepsze warsztaty rzemieślnicze i tworzyli najzdolniejsi artyści. Francuskie, niemieckie i austriackie akademie przez wieki były gwarancją jakości i precyzji wykonania. Do Wiednia, Paryża, Berlina swoje kroki kierowali też śląscy młodzi adepci sztuki, którzy zdawali sobie sprawę, że tylko tam mogą nauczyć się fachu od najlepszych. Taką drogą podążył Friedrich Bouterwek, urodzony w Strzybnicy (dzielnica Tarnowskich Gór) malarz, przedstawiciel nazarenizmu – kierunku, którego twórcy wzorowali się na malarstwie dawnych mistrzów renesansu, m.in. Rafaela i Dürera. Dziś w Polsce o Bouterweku mało kto pamięta, ale świat sztuki jego dzieła ceni, o czym świadczą ceny, jakie jego obrazy osiągają na światowych aukcjach sztuki. Bouterwek wykonał kilka obrazów, które do dziś można podziwiać w śląskich kościołach. Jeden z najznamienniejszych znajduje się w kościele pw. Świętych Piotra i Pawła w Tarnowskich Górach. Jest to monumentalne dzieło „Przekazanie władzy św. Piotrowi”.

Unikatowe dzieła

W mieście gwarków odnaleźć można również obraz innego mistrza – Johanna Baptista Reitera, jednego z najlep-

szych wiedeńskich malarzy biedermeieru, początków realizmu.

– Obraz „Święta Anna nauczająca Maryję” znajduje się w ołtarzu głównym w kościele pw. św. Anny w Tarnowskich Górach. W swej stylistyce nawiązuje do reprezentacyjnego malarstwa portretowego, podkreślającego dostojność i znaczenie przedstawianych osób. Z kolei w kościele w Nakle Śląskim odnaleźć można dzieło innego wiedeńskiego malarza tego okresu – Alexandra Pocka: „Ukrzyżowanie” z 1894 r. Co ciekawe, obraz znacznie odbiega od stylistyki i tematyki pozostałych dzieł Pocka, co może sugerować, że powstał specjalnie na zamówienie we wczesnym okresie twórczości malarza – mówi Zofia Krzykowska. – W nakleńskim kościele kryje się jeszcze jedna niespodzianka – przepiękny obraz „Matka Boska z Dzieciątkiem” pochodzący z 1931 r. Autorem dzieła jest o. Notker Becker z opactwa Maria Laach – główny przedstawiciel tamtejszej szkoły artystycznej, powstałej pod wpływem znanej szkoły w Beuron – znany malarz i twórca mozaik, witrażysta. Obraz zakupiony został przez Lazarusa Donnersmarcka i przekazany do kościoła. Przedstawia kłęzącą na łące Madonnę z Dzieciątkiem. Jej szaty namalowane zostały w nietypowym fioletowym kolorze, a welon w jasnozielonym, co tworzy ciekawe, niezwykle zestawienie kolorystyczne. Dekoracyjność, symetria, wysmakowane barwy kompozycji są charakterystyczne dla sztuki art déco, rzadko obecnej w naszych kościołach – dodaje.

Na uwagę zasługują jeszcze obrazy innych nazareńców, jak Johanna Bouchena, Juliana Wałdowskiego, a także katowickiego malarza międzywojennego – Otto Kowalewskiego, których prace można oglądać w kościołach tarnogórskich i okolicznych miejscowości.

– Na Górnym Śląsku odnaleźć można wiele cennych i ciekawych przykładów sztuki sakralnej. Niezależnie od tego, jaką mają wartość artystyczną, są świadectwem wiary mieszkańców tego obszaru. Zachęcam do wyruszenia szlakiem zabytków tarnogórskiej sztuki sakralnej. Będzie to ciekawa i inspirująca podróż przez epoki, style i dzieła, które poruszają maestrią wykonania – przekonuje Zofia Krzykowska. – Zapraszam także do tarnogórskiego Muzeum, gdzie do końca stycznia 2016 roku oglądać można ekspozycję „600-lecie Parafii św. Marcina w Starych Tarnowicach”. Nie zabraknie na niej zabytkowych obiektów a wśród nich znajduje się obraz Matki Boskiej Piekarskiej z drugiej połowy XVII w., pacyfikał św. Gaudentego z XVIII w., rzeźby świętych Stanisława i Wojciecha z XVII w. – podsumowuje.

* * *

Źródło: Zofia Krzykowska „Zobaczyć niewidzialne. Zabytki sztuki sakralnej w powiecie tarnogórskim”, Wyd. Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, Muzeum w Tarnowskich Górach.



Matka Boska z Dzieciątkiem,
ok. 1510 r., kościół pw.
Przemienienia Pańskiego
w Bobrownikach Śląskich



**Notker Becker, Matka Boska
z Dzieciątkiem**, 1931,
kościół pw. Najświętszego Serca
Pana Jezusa w Nakle Śląskim

ZABYTKI SAKRALNE ZIEMI POWIATU TARNOGÓRSKIEGO



**Krąg Francesca
Albaniego,
Chrzest Chrystusa**
1 poł. XVII w.,
zakupiony
przez babkę
Zygmunta
Kraśnińskiego
– Antoninę
Kraśnińską
z Czackich,
później w kolekcji
ks. dr. Michała
Lewka, obecnie
wł. Muzeum
w Tarnowskich
Górach



**Friedrich August
Bouterwek,
Przekazanie władzy
św. Piotrowi**
(Tu es Petrus), 1841,
kościół
pw. Św. Apostołów
Piotra i Pawła
w Tarnowskich Górach



z cyklu **Materia ciszy** /olej, płótno 110/100 cm, 2014



z cyklu **Neuralne przestrzenie** /olej, płótno 100/130 cm, 2014



z cyklu **Opowieści pejzażu** /olej, płótno 160/200 cm, 2006



z cyklu **Materia ciszy** /olej, płótno 150/180 cm, 2015



fotografia z cyklu „NO comment”

EWA ZAWADZKA

MALARSTWO
2003 – 2015

W listopadzie w Galerii Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki mieliśmy okazję po raz kolejny spotkać się z artystyczną propozycją Ewy Zawadzkiej. Świadomie pominęłam na początku słowa: wystawa, twórczość, dzieła, kładąc nacisk na słowo – propozycje, ponieważ tytuł ekspozycji: „Malarstwo 2003–2015” jest wielce mylący. Dwanaście lat w życiu artysty może bowiem gromadzić dość różnorodne prace, inspirowane różnymi bodźcami. W przypadku tej wystawy nic takiego nie obejrzymy, przeciwnie, zestaw swoich prac artystka dopracowała w najmniejszym szczególe, dowodząc bardzo konsekwentnego drażenia tematu. Stworzyła łańcuch niepowtarzalnych znaków, które niczym klucz pozwalają otwierać i odczytywać kolejne dzieła. Obrazy dopełniają się uruchamiając nie tylko wyobraźnię i intuicję widza, ale także jego wiedzę i doświadczenie.

Takie wystawy ogląda się najlepiej samotnie, ponieważ w nawiązaniu „rozmowy” z dziełem artysty tłum oraz głośne konwersacje (nie zawsze na temat) rozpraszają i przeszkadzają wsłuchiwanemu się w komunikat artysty a przecież on zawsze (czasami głęboko ukryty) – jest. Tym razem Ewa Zawadzka zaprosiła nas na niezwykłe spotkanie, tworząc z pozoru przestrzeń niemą i zdawać by się mogło na pierwszy rzut oka – oschłą. Czym bowiem mogą zachwycać chropowate powierzchnie betonowych brył? Jedna, druga, kolejna... a jednak po kilku minutach te bezduszne zimne kamienie, w magiczny niemal sposób, zaczynają przyciągać. Chłód pierwszego wrażenia ustępuje naturalnej ciekawości, by za chwilę ulec fascynacji. Ciekawość zaspokaja analiza techniki, barwy... dzięki, którym twórczość Ewy Zawadzkiej jest tak szybko i bezbłędnie rozpoznawalna. Kompilacja bieli transparentnej farby offsetowej (pozostałość mariażu artystki z grafiką), czerni i brązu tworzy na obrazach świat kojącej, pozbawionej agresji rzeczywistości, a raczej jej mikroskopijnego elementu. To jednak zdecydowanie za mało, aby przyciągać niczym magnes. Niemal jak w grze komputerowej wchodzimy na drugi poziom wtajemniczenia, by dostrzec, to co najważniejsze – światło! To właśnie tu zaczyna się niesamowita przestrzeń porozumienia. Czasami struga, innym razem wążutki promień czy delikatny błysk światłocienia otwierają niedostrzeganą wcześniej rzeczywistość. To magiczne światło współlistnie nie tylko obok, ono wylewa się z obrazu a zarazem zmusza do wnikięcia w jego wnętrze, wciąga w swoistą grę osvajania „obcego”, w myśl łacińskiej sentencji (motto wystawy) *Sufficit unum lumen in tenebris* – wystarczy jedno światło przeciwko ciemności.

Artystka dzieli się swoim doświadczeniem, które towarzyszy jej od wczesnego dzieciństwa, kiedy z powodu przeprowadki rodziców musiała pożegnać się z „rajskim pejzażem rozległych ogrodów, lasów i pól pod Sochaczewem” i po raz pierwszy w życiu zmierzyć się ze światem żelaznych konstrukcji, betonowych blo-



Fot. Maria Sztuka

Oswajanie świata

MARIA SZTUKA

ków, dymiących kominów. Nie liczyła wówczas, że kiedykolwiek pokocha krajobraz kopalń, hut i potężnych fabryk, skoro jednak z siermiężnym Śląskiem miała wiązać się na dłuższą, postanowiła go ... oswoić.

Ewie Zawadzkiej udało się tego dokonać niezwykle skutecznie. Jej industrialna przestrzeń przestała straszyć i odpychać. Przeciwnie, wnikliwa obserwacja, fotograficzna dokładność otwierają nieznane dotąd obszary, budują kombinację skojarzeń, która dzięki zabiegom artystki, wyzwala uczucie ciepła, przyjazności i bezpieczeństwa.

Fotografia pojawiło się w tym zestawie nie przez przypadek. Bo to ona była pierwsza, nie grafika, nie malarstwo ale właśnie zauroczenie zatrzymaniem w kadrze obrazów ulotnych, skomponowanych przez naturę, przypadkowych. Ponieważ jednak Ewa Zawadzka wszystko, co robi, czyni z ogromną pasją, kiedy więc bierne fotografowanie rzeczywistości przestało ją inspirować, postanowiła nie porzucając aparatu aranżować plener zdjęciowy.

Efekty tej aranżacji możemy zobaczyć w części zatytułowanej „No comment” w środkowej części ekspozycji. To pierwsze postaci na wystawie. Niby-ludziki, wyjęte z teatru makabreski, szare, ponure, smutne i dramatyczne, które reżyser-scenograf-twórca zatrzymał gdzieś na skraju tragedii, może antycznej, może teraźniejszej rozgrywającej się na wodach Morza Śródziemnego... Te fotografie to kolejny etap osvajania otaczającego świata, który tak tłumaczy: *Kontynuując moje „opisanie świata”, jego osvajanie i próbę zrozumienia, spreparowałam te człekopodobne postacie, tworzące raczej tłum niż grupę indywidualności – podobne do siebie, prawie jednakowe, ale nie identycz-*

ne. I jak to bywa w tłumie, zawsze znajdzie się jakiś przywódca oraz grupa absolutnie mu oddana – tak było, jest i będzie.

Jeżeli nauczyłam się żyć w miejscu nie najładniejszym, kiedyś odpychającym, a teraz tak mi bliskim, to może i ten świat, obecnie tak niezrozumiały, nabrzmiały emocjami, zdołam kiedyś pojąć.

Moja „rozmowa” z Ewą Zawadzką przywołała „Małego Księcia” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego i pojękującego rozmazonego Lisa: *Życie jest takie jednostajne (...) To mnie trochę nudzi. Lecz jeśli byś mnie oswoił, moje życie naraboby blasku.*

Ewa Zawadzka ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie Wydział Grafiki w Katowicach. Przez wiele lat zajmowała się grafiką i rysunkiem. Jest laureatką najbardziej prestiżowych nagród w tej dziedzinie. Była członkiem rady programowej Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie, kuratorem Triennale Grafiki Polskiej oraz polskim kuratorem na biennale grafiki w Lublanie i Miskolcu. Pisała o grafice oraz brała udział w konferencjach i międzynarodowych spotkaniach graficznych (Kanada, Węgry, Słowenia i Francja). Jej prace znajdują się we wszystkich znaczących kolekcjach sztuki na świecie. Ewa Zawadzka jest profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, prowadzi Pracownię Działłań Multigraficznych.

Wystawa Ewy Zawadzkiej w Galerii Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki było wydarzeniem artystycznym wpisany w ramy Festiwalu Ars Cameralis 2015.

Opowieść górnośląska

Fragment
niedrukowanej powieści

Mój Górny Śląsk. Ziemia, kierej nad zyci przaja. Tu ujrzałam świat – hań! – w tej wsi pod Pszczynom. Mianujom mie Hanka. Ojcowie nauczyli mie roboty, porządku, śląskij mowy, rehtory w szkole czytania i pisanio, a ludzie we wsi – zgodliwego zycio.

Jak po szkole zrobiła sie zy mie wychowało dziywczycza, ciotka Jadwiga z Katowic wzyni sie mie za swoja. I tam sie wtynczos poczła prowodziwo historio mojigo zycio.

Miałał u ciotki wszystko, co duszka roczy, bo jich było stykać. Ujek Karlik Glomb byli sztajgrym na „Ferdinandzie”. Żyłach tu z miejska, ale oblykać sie musiałach, jak mi matka przykozali – dalij po chłopsku.

– Tyś jest Ślązoczka! Niy możesz sie sprzedawać światu za bele jaki cici-delka! – tuplikowali mi. – Mijj swój honor!

No, tóż byłach wierno starej tradycji.

*

W piyrszych tydniach mej służby toch niy poradziła przybadać do miejskiego zycio. Jak sie widniło, a zaczęły zwonić tramwaje, fukać lokomotywy, odzywać sie jedyn po drugim buczuki, to mi sie aże w gowie miyszało. Ale potym mi to nic a nic niy wadziło.

Wczas rano, jak sie ino odezwol buczek z „Ferdinanda”, jo wstawałam piyrso i składałam ognie w piecach. Potym budziła sie ciotka i strojiła śniodani. Ostatni z łózka dźwigali sie ujek i pomału rychtowali do wyjście na szychta. Przy tym radzi sie podśpiywywali po niymiecku:

*Już sie rozlega miły głos
dzwoneczka z naszej wieży,
więc śpieszmy wraz, jak każe los,
pod szyb niech każdy bieży.
Ciałuska lubej śpiesznie daj
i śpiesz w podziemny grodów kraj,
nas czeka praca tam,
szczęść nam, szczęść Boże nam...*

Ciotka wtynczos wkłódałi ujkowi śniodani do szakieta, a oni na chwila przyciskali ciotka ku sia. Potym zapolali lampka przy figurce św. Patronki i wymowiali zawdy jedno i to samo:

– Strzeż mie Barbörko od wszystkiego zlego.

*

Ach! Jak szczyśliwe były to lata! W niedziela śpacyrowali my zawdy do rynku. Ciotka w purpurce wyglądali, jak żywo róża. Ujek – chop wysoki, sztram – krokali w jasnym ancugu i w modnym hucie, jo w biolutkim kabotku, czerwonych pociórkach, niydbownej zopasce. Szumnie my wyglądali.

Spacyrujemy, podziwiomy... Pod wieczór zachodzimy pod wanielicki kościół, bo tam na Rawą gro muzyka. Mie sie nogi same rwią, co by już chciały tańcować jakigo waloszka abo rajlyndra.

I roz, w jedna majowo niedziela, mie tam spotkało szczyści. Trefiłam na wojoka – Michała, synka jak świycza. Powiyom wom, że ani niy wiym, kiej on znod sie w mojim sercu. Wielgo miłość rozpoliła sie miyndzy nami. Anich se niy myślała, że to przóni może być taki piykne. A ino mi sie śpiywać chciało. Jak potym mój roztomiły wyjyżdżoł do kaserny ku Gliwicom, toch z cliwoty za nim głośno wołała:

*Zielone zasiolach, zielone mi weszło,
Kandy sie obróca, wszandy jest mi tynskno.
Tynskno mi jest, tynskno, sama niy wiym po kim,
Po szwarym syneczku, co jest za potokiym
Co jest za potokiym, tam miyndzy łakami,
Żodyn sie niy dowiy, co jest miyndzy nami.
To jest miyndzy nami, że sie radzi momy,
I z całego serca szczyrze sie kochomy.*

*

Weseli mieli my skromne, ale niczego my niy podeptali ze starej tradycji śląskij. Goście zebrali sie w naszym familoku, czynstowali sie kołoczym i bonkawą, przygrywała muzyka, starosty wygłoszali swoji egzorty. A jak sie już wszyscy zebrali, moji prawowici ojcowie spod Pszczyny, Michałowo oma, no i ujkowie dali nom błogosławiństwo. Niy uwierzycie! Jak nom dowali to błogosławiństwo, ani jedna kapka płaczków niy wypłynęła z mych oczów! Ale jak druhny smutno mi zaśpiywały – toch dopiyo zaczęła ślimtać.

Po tej pieśni landauery zawiozły nos do boguckigo św. Szczepona, kaj nom ślub dowali farorzyczek Skowronek. Po ślubie, już jako mąż i żona, udali my sie do pobliskij karczmy, kaj uciechom niy było końca. Bawili my sie wesoło, ale niy utratnie.

Starzy mieli rację: *Dwa dni weselynio – reszta życie usmono.* Czy jo se wtynczos pomyślała, że mie sie to w życiu wystusuje?

*

O tej wojnie dużo godali i se jom wygodali. Nawet komete sie pokozala. Jo miała chopa bergmóna, jednak szkolonego przy wojsku, tóż musiała sie liczyć, że jak sie ta pierzińsko zawierucha zrobi, to mi go weznóm pod broń. Tak sie stało. Niy rachowala se jednak, że sie to stanie tak drab. Syneczka, kierego powitała w 1913 roku, już z najgorszego odchowala, już se bajtel z ojcem porozprowiwał jak przychodził ze szychty, już miała, co chciala – rodzina... A tu mosz! Trombiom wszyndy: *Mobilmachung! Mobilmachung!*

Dziwne, żodnego płaczu po familiach! Za to bez całej lipiec radość po miastach, że niypodoba. Grały muzyki, maszynowały wojoki – infanterio, kawalerio, marina, landwera – śpiwu przy tym wiela, wiwatów, kwiotków...

– Zrobimy z pieronami porządek i na godni świynta przyjademy do dom – wołali.

Jo odprowadziła mego Michała na banhof. Mały Wiluś chyćił ojca za kark, pościokoł i doł mu swoja fotografio zalono w porcelanie (dałach tako zrobić).

– Tatulku, a powróćcie z tej wojny? – prosił.

– Powróca, niy starej sie – odpodził mu. – Jak ino dojada, napisza wom pismo.

Dość długo czekała na to pismo. Dopiero w połowie września ono przyszło, urzyndowe. Otwiyrom: *Sterbefall!* Chytmom dalej słowa nojważniejsze: *Michael Richter, zginął 23 sierpnia 1914 roku, wieś Longuyon, Francja.* Czytom drugi roz, niy dowierzom zapisanemu papiórowi...

Zaczła na głos ryczeć – mało pedzić! – dric sie wniebogłosy. Musiało sie to rozniysz po familoku, bo wazły ku mie po cichu ciotka i staro Ferdynioczka.

– Ady niy płacz, dziolcho – zaczęły mie pocieszać. – Anis piyrszo, anis ostatnio. Jeszcze niy taki krzyże przyjdzie ci niysz.

Dziynkuj, że mosz choć tego syneczka. On ci bydzie po ciechom.

*

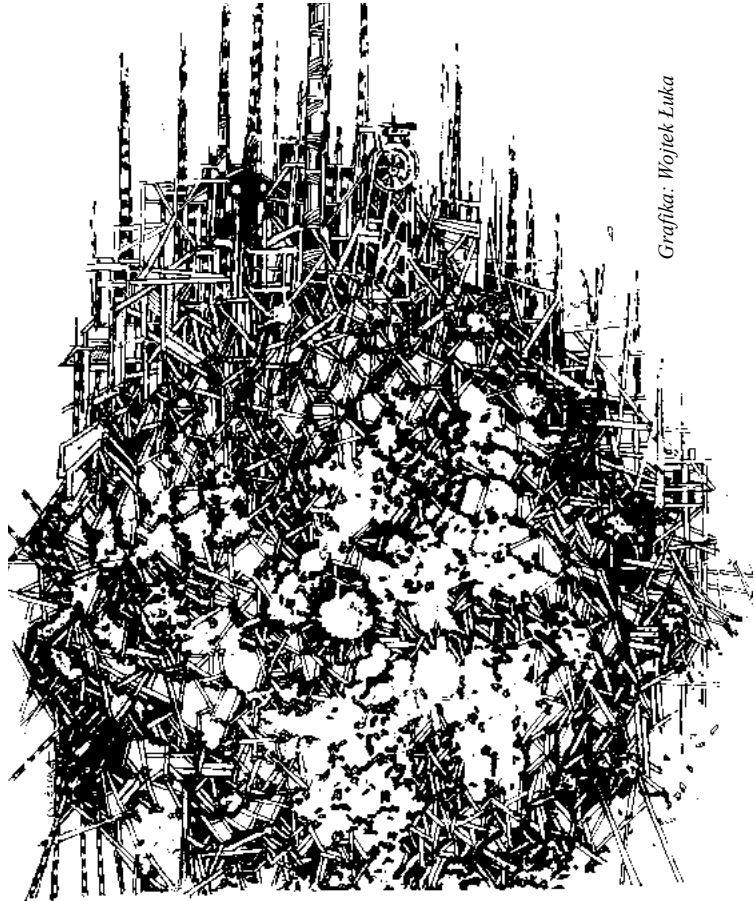
Jak mój ślubny na wojnie pominón, zostalach gdowom z dzieckiyim. Bez fynika w portmanyju. A tu sie trzeja oplacic, odzioć na zima, coś do gymby wrazić. Coch miała robić? Chyćilach sie gruby.

Podwiyl była wojna, wszyndy było sztryng. Porządek był, bo sie wszyscy boli. Jak to za Niymca. Ale jak sie wojna skończyła, zrobiło sie niymożebne zamiyszani. Wszyscy bij-zabij na siebie: zgupiyini ludzie z pyskami na wojoków za to, że niby oni ta wojna podpolili, na beamtrów, że niy poradzóm niczego załatwić, dzieci na rechtorów, komunisty na katolików, katoliki na Żydów, chachary na porządnym, Poloki na Niymców... Wszyscy sie o coś hapelowali. A tu szmaciejom piniądze, choróbska sie jakiś ciśnom, chleba brakuje...

Jak sie ino wadzili i skokali do oczów – niy było jeszcze nojgorzyj, ale jak zaczęli do siebie strzylać, morzyć sie – świat sie tymu niy mógł spokojnie przyglądać. Zjechało sie wojsko francuski, włoski, angielski, żeby zaprowadzić tu jako taki ordnung. Ogłosili, że bydzie plebiscyt: – Wto za Niymcami, a wto za Polskom?

Bez jedna niedziela przyjechali do mie mama i przywiózli mi trocha świeżego masła i jajek. Pedzieli, że po wsiach dużo ludzi rychtuje sie na głosowanie za Polskom. Korfanty też przekonywał, żeby oddać głos Polsce, bo przy Polsce Śląsk bydzie przedsia. Tóż na tym plebiscycie zech ciepła kartka za Polskom. Ledwiech jednak wylazła ze szkoły, kaj sie odbywało to głosowani, a tu jakiś gisz chlast mie bez gymba i zadar sie na całe gardło: – Ty hadro polsko! Popamiyntosz!

W doma zech sie dowiedziala, że całej familok głosował za Niymcami, krom starej Ferdynioczki, kiero miała pedzić: – Baby niych sie niy wroźajom do polityki! Niy uczyli wos: „kościół-dzieci-kuchnia”? Jo ta tako gupio niy jest! Jo niy głosowała.



Grafika: Wojtek Łuka

Za Niymcami głos oddali tyż ujek. Tak bez ogródek sztyje mi powtorzali: – Polska Śląskowi nic dać niy może, bo nic niy mo, dopiero powstała. Polska chce ze Śląska brać! Tóż po co jom tu sprowadzać?

Tyn plebiscyt to dopiero pohatrusił ludzi! Zdało sie, że sie pozabijomy. Zrobiło sie powstani, podhajcowano młodź pojechała pod Anaberg bić sie z Niymcami, a tak richtig to pojechała pod śmierć. Mie wyciepli z roboty, bo sie skądś dowiedzieli, zech za Polskom była, a co za tym szło wyciepli mie z familoka.

Nazod przygarnyli mie mama.

*

Jo to mom cheba uczynione... Zaś mi sie trefił grubiorz. I to z naszej wsi. Roz w niedziela przy odpusćie trefilach sie z Augustym Jonakiym, moim równiokiym. Znali my sie od malutkości. Robił teroz na „Richtongu” w Jonowie, za mulorza, ale na dole.

– Jo jest kawaler – pedził prosto z mostu. – Jakbyś mie chciala, tobych cie se wzion.

Na zolyty przyszeł ino roz. Raczyj to smowy były, bo już na Gody wzyjni my ślub. Bez żodnego hukowiska.

Okozało sie, że tyn mój drugi chop dobrze stoł w robocie. Miał obiecane, że jak ino założy rodzina, dostanie na Gieschwaldzie pół chałpki z ogródkiyim. Rodzina założył, tóż na wiosna 1922 roku jo sie nazod znodła przy Katowicach.

Pedziałach se, że byda żyła, jak Ferdynioczka powtorzała: „kościół-dzieci-kuchnia”. Ale czy to idzie tak żyć na Śląsku? Tu polityka włazi ci nawet do łóżka. August chioł być na grubie widziany, tóż mie namówił żeby jechać do Katowic witać ta Polska.

Ale starzy padali – Wszystko do czasu. Wy sie ta chneda prowdy dowycie... No i niy czekać wiela – hurma ludzi z Polski zwaliło sie na Śląsk. Gibko wyźgali Niymców, nos tyż na bok, a sami pochytali nojlepsze stołki i zaczęli sie panoszyć.

Straśnie nos bolało, jak zaczęli nami potrać i pouczać, jak momy godać, jak sie oblykać, jak żyć. Zaczli gardzić wszystkim, co było niy niymiecki, a przeca było to nasze, z naszych głów, rąk, serc, tradycji... A już serce sie kroło z boleści, jak wojewoda – tyn samozwaniec Grażyński – pedził ofyn: – Na Górnym Śląsku mogą być albo Polacy albo Niemcy! Żadnych pośrednich typów tu nie uznajemy!

Co za pycha nysłychano! My, Ślązoki, co tu od wieków żyli – pośredni typy! Przeca my tu som nojważniejsi! Straśnie mie to fechtło, bo było obiecywane, że Śląsk bydzie przedsia, że Polska bydzie nos szanować. Jo bez plebiscyt dostała za to bez pysk. A co sie pokozalo?

Straciłach serce do takij Poloki! Ale August – polskiego ducha niy doł ze siebie wykrzesać. Zawsze był za Polskom! I usłuchliwy był – robił, co mu kozali. Niy dziwiłach sie mu. Miał dobro robota, dach na głowom, rodzina na utrzymaniu... Co dużo godać – przychybił sie.

Nom sie w tych latach urodziło dwóch synków: Lorenc w 1923 roku i Jorg w 1925. Jo niy robiła. Zganobiałach w doma i w ogródku. August po szychie dużo wyjżdził na kole na Nikisz i pomogł tam przy budowie kościoła. Jako mulorz był tam fest przydatny. Broł ze sobom czasym Wilusia, kiery u niego halangrowoł. A jak zaczęli stawiać katedra, to zaś ku Katowicom pydalowoł – tam pomagać. Ja, mój August był uczynny, robotny, ale może za fest gorliwy.

W doma w chopskich robotach wyrzyncoł ojca Wilus – mój syn piyrworodny. Jak sie zrobił majerantny, chcioł sie chyć roboty. Cóż kiej przyszeł tyn siaroński kryzys.

Niy czekać długo – tydziyń, może dwa – pedzioł: – Mutter, z Panym Bogiym. Biera sie do Niemiec za jakom porządnom robotom...

*

W 1934 roku wydarzyło sie nom jeszcze dwóch synków – Bolesław i Kazimierz. Miana jim wybroł – no, przeca! – mój stary, zażarty Polok.

Jak syny byli bajtlami, toh jim dużo naszych pieśniczek śpiywała. Tyn starszy ino sie prosił, żebych mu śpiywała o tym *koniczku, kiery stoi we krwi pod kosteczki*. Śpiywałach, boch tych pieśniczek dużo wyniosła z doma. Toh zaś roztomaję bery boji jim rozprowiała, przeważnie o stworokach. Nic zech niy musiała znokwiać, boch z pszczyńskich stron, kaj dużo stawów i lasów, wyniosła moc starych opowieści. Słuchali mie, aże niy dychali, patrzeli wy mie, że sie zdało, iż mie oczami przebodom. Wyrostali w śląskij tradycji, boch tego pilnowała.

Jak doszli do szkolnych lot, posłałach jich do polskij szkoły. Była jeszcze na Gieschewaldzie niemiecko szkoła, ale chodzyły tam dzieci od takich lepszych. Śląskich dzieci tam było mniej niż dziecków od polskich urzynczników. Bo jak sie śląski dziecko uczyło po niemiecku, to to był sprzedawczyk, a jak sie uczyło polski dziecko, to sie godało, że trzeja znać jynzyk wroga.

A w tej polskij szkole był rehtór, kiery umioł przyciągnąć do harcerstwa. Naszych tyż zapisoł. Mie sie to nawet podobalo, bo jo tego za dziolszki niy zaznała. Ale roz somsiadka mie zastawiła i pado:

– Hanka, a niy bydziecie wy kiej ciyrpieć za to? To niy som niywinne igraczki, to jest polityka!

– Ady! Chopcom sie przydo trocha wyćwiki – odparłach.

Na podobno wyćwika zgodził sie tyż mój nadgorliwy August. Jedni widzieli, że mo trocha polskij duszy, tóż go zwobili do Związku Rezerwistów. Dostoł szykowny mundur, paradził sie w nim, wychodził na ćwiczynia. Jak przyszło 3 Maja – to cało Augustowa rodzina, krom mie, z portretem Piłsudskiego maszyrowała bez osiedle.

Po ulicach paradowali Poloki, a w murekowskim lesie zbierali sie Niemce – volksbundowce! Może był tam wśród nich jaki Niemiec, ale we wyńkszości były to nasze chopy, biydoki, bez grosza w kabsach. Coś kaś głośnij na Polska pulkli, krzywo wejrzeli, niy umieli sie władzy przychybić, niy wywiesili polskij fany – starczyło, żeby niy dostać roboty. A z czegoś musieli żyć. Polsko repeta, kiero wydowali elwrom, to niy była żodno pomoc. Jo sie niy dziwiła, że przywstali do Niemców, kierz jim dowali co tydziyń wsparci w markach.

August miał dobry cył, dobrze strzyłoł na ćwiczyniach i niy wiedziol, że już mu jedni przyrychtowali przyszłość. W 1939 roku, jak ogłosili mobilizacja, Augusta piyrszego ściagli do polskiego wojska. To było do przewidzynio, bo sie za fest przyklejoł do wszystkiego, co było polski. Jak odjyżdził, to zamiast mi pedzić „Z Panym Bogiym”, to w nerwach wyciepoł: – Ani guzika niy domy tym przejyntym Germanom!

W nocy wtoś zaklupoł do okna: – W lazarecie na Francuskij leży wasz Wilym – ino tela pedzioł jakiś chop. Na drugi dziyń wybrałach sie ku Katowicom. Richtig! Trefiłach sie z synym i zrobiłach wielgi oczy – Wilym w mundurze Werhmachtu! Dostoł w ręka, jak przebijali sie do katowickigo rynku.

– Mutter, roz na zawsze wykurzymy stąd Poloków – tak w godce pedzioł! Trocha mie to ubodło, alech niy dała znać po sobie.

Chneda Wilyma wyłczyli i dalij ruszył z niemieckim wojskiym na wschód.

Polska sie skończyła. Nowo władza – na powrót niemiecko – zaczęła rządy od tajlowanio. Tyś taki, a ty owaki... Przy volklskie dlo nos, Jonaków – zrobiły sie pieruchowe mecyje. Beamtry dumały, co nom dać za nomera. Wziyni mie na przesłuchy na magistrat. – Kaj jest chop? – spytali. – A czy wiyim! – odpediałach. – Poszeł na polsko wojna i bez śladu sie stracił.

Niy trwało wiela... Znodli Augusta. Wyrobiol za parobka u jakigoś bauera w Bawaryji. Ściagli go na Gieschewald i kozali sie wybrać: – Lager abo gruba? Wybroł gruba. Ale już niy za żodnego mulorza, ino za ślepra folował.

A wtynczos na Ostfroncie wszystko sie poburdało. Tóż na gibko dali nom „trójka”. Było to do przewidzynio, że starszych chopców ruknom na wojna. No i richtig! W 1943 roku Jorgi ciepli do Rusa, zaś Lorenca nojprzód do Francyje, potom do Włoch. Mój lipling – Jorgus wiela sie niy nawojowoł, bo już w lutym 1944 roku podł pod Czerkassami. A Lorenc? Dostałach pismo, że vermisst – zaginał. Ale po wojnie sie okazało, że w tych Włochach uciyk do Andersa i z polskim wojskiym zdobywoł Monte Cassino. Tam podł jako Wawrzyniec Kalinowski.

Wiedziały hitlerowe gizdy, zech poświęciła synów Niemcom, to mogli Augustowi dać pokój. Ale niy! Jedyn tu miejscowy Judosz stoł Augustowi na zdradzie. Opedziol wszystko na gestapo, kim August był za Polski, jak sie udzieloł i jaki korzyści czerpoł. Tyn wichlyrz mioł w tym interes, bo przed wojnom pożyczoł od Augusta dużo piniyndzy, a długi włośnie niy mioł chyni spłacać.

Przyjechali po mojigo chopa w jedna noc i wziyni do lagru. Auschwitz! Mie sie aże gorko zrobiło, zdało sie, że zymdleja. Pora dni chodziłach struto, na pół żywo. Jakech trocha otuchła – zawziynach sie.

– Wy, diobły sapramancki – padom se – synów żeście mi wziyni na wojna, chopa do lagru na ponywywyrka – to jo wom niy dom młodszych smykać po hajotach. Niy pójdom tam i fertig!

Za kora kozali mi sie stawic na policyje. Niy wiyim śkad zech dostała tela odwogi. Wszystko zech jim wygodala po niemiecku, co mie boli. A na koniec i to: – My som Ślązoki, szanujcie nos, a niy prześladowajcie! Przed wojnom Poloki nos ubijali, terez wy nos ubijocie... Jak my tu momy żyć?

Słono zech zapłaciła za te słowa. Zawarłi mie do katowickigo heresztu, a chopców wywiozli kaś do siyrczińca. No, dobrze, że ujeł – terez już obersztajger na „Ferdynandzie” – przejrzeli wreście na oczy i ujyni sie za mnom. Jakech już była fraj, po kryjomu mi pedzieli: – Wybocz dziolcha, takich Niemców zech niy znol...

Jakech wyszła z heresztu, to już dudniło, Rusy już były pod Krakowym. Wto mioł ciyżki grzychy na sumiyniu, uciekoł „nach Vaterland”. Zrobił sie popłoch. Jo w tym zamiyszaniu zaczęła szukać synków. Bołach sie, że mi jich kaj wywiezom. Straśnie byłach przelynkniom. A tu w nocy wtoś grucho do okna. Odślaniom verdunkelom – August! Uciyk z transportu lagerników pod Mikołowym. Zmarzniynty, chudy – bardzij do śmiertki podobny, niż do czleka.

Nad ranym byli już Rusy. Ci piyrsi, to były nawet fajne chopy i to mie skusiło, żeby pojechać do Bytomia, bo ponoś tam miały być jakiś siyroty.

Chopców znodłach w klosztorze. To, coch tam zastała, wołało o pomsta do nieba. Słów niy ma, żeby to opedzić: sromota, pohańbiyni człowieka, okrucyństwo bez miary... Żeby

zbeszcześcić zakonne siostry? Wielu trzeja mieć dzikości, żeby tak sponiwywierać te, z kierych pochodzi życi i miłość.

Uciyklach z tego miejsca. Kozalach chopcom niy patrzeć, żeby se niy ranili duszy. Bez ustanku rzykałach do Niebieskiej Zasłony, boch sie boła, żeby mie jaki pijany kaban ruski niy dopod.

Cudym my dotarli do ciotki na „Ferdinand”.

Starzy padali, że ciyrpiyni wymazuje grzychy. Dużo w tym prowdy. Jak wloz Hitler, nazywało sie to wojnom i bez ta wojna my, Ślązoki dużo wyciyrpieli, bo byli my inno rasa. Jeśli to, co za Hitlera nazywało sie wojnom, to jak nazwać ruski wyzwołyni? Przeca świat niy widzioł jeszcze takigo szataństwa: ohydy ludzkij natury, zepsucio, rozpasanio... Wylazły z ludzi nojgorsze instynkta, niyznane dotąd szkaradziystwa. Istne piekło sie otwarło! Niy szło uwierzyć, że Pon Bóg do tego dopuścił. Przeca na to wszystko patrzoi! A może chcioł nom pedzieć: – Tacyście som, jak niy przestrzegocie moich przykazow. Poznejcie swoja nyndza, dno swojego upadku... Posyłam Anioła Śmierci, żeby zielaznom mietłom wymiotł całe to światowe plugastwo...

W tym 1945 roku Rusy robili z nami co chcieli, bo tako zwola dali jim Stalin i jego kamraty. Gwołcili, rabowali, zabijali... Nadskakiwali jim różni przeniwyiercy z bioło-czyrwonymi szlajfkami. Chałpa w chałpa szli i wyluskiwali „giermańców”, bo nos do nich zaliczali. Wynuchtali tyż Augusta, kiery ukrywół sie na górze w naszej chałpie na Gieschewaldzie.

– Sanacji służył, werhmachtowców wychowół, hajotów uklejił... Teraz niech to odpokutuje – oskarżali go. A wszystko to była robota tego Istnego – niyrobisia i wichlyrza – na kierym wisiół dług. Chcioł bez moc Augusta zgładzić.

Wywiozli mi chopa kaś do Rusyje i wszelki słuch po nim zaginał. Ujka Karlika tyż wziyni, a nos chcieli wyzgać do Niy-miec, jak wyzgali połowa naszych ludzi w Katowicach. Przeca musieli zrobić miejsce dlo swoich z Polski. Ale jo sie niy dała! Wziynach na przeczekani. Po poru tydniach wiedzili, że zy mnom niy przewiedom – wezwali mie na ta weryfikacyjo, żeby zbadać wto jo richtig jest: Polka czy Niy-mka? Jo jim tam pedziała gynał to samo, co Niy-mcom na gestapo: – My som Górnosłazoki. Za starej Polski nos ubijali, za Hitlera nos ubijali, to czemu teraz nowo Polska nos ubijo? Za co? Czy mu nos niy szanujecie. Czy my som winni tyj wojnie?

Dwa dni miałach spokój. Za dwa dni Istny – teraz już w mundurze UB – ze swojimi jegrami przyjechali po nos.

– Pojedziesz z synami do sanatorium!

I tak zech sie znodła w lagrze we Świyntochłowicach. Niy byda godać, wiela mi tam bicio dostali, głodu i pragninyo zaznali, poniżnyio. Jo te przejšcia i straszne obrozki chneda wezna do grobu, ale moji synowie... Przeca oni tam zniynawidzili Polska do końca życie. Jo tam w tyj Zgodzie przeklyna cały świat, nawet Śląsk, nawet swoich ojców.

Jak mie puścili z obozu, przyszlach na „Ferdinand”, a tam pozamykane na wszystkie spusty. Rozpytuja sie po somsiadach i słysza, że ciotka dostali na gowa i som w jakimś przytułku przy katowickim wanielickim zborze. Znodła zech jich, ale wiela z nimi niy pogodała. Udałach sie na Gieschewald do naszej chałpy. Była zamiyszkalo przez jakichś cudzych ludzi. Pedziałach, wto jo jest, że to jest mój dom. Już z oczów wyczytałach, że jich to ani ziymbi ani parzy.

– Tajoj! My zdies z prikazu – usłyszalach. Siadłach na progu i zaczęłach płakać! Jakech sie wyplakała, jeszcze roz zaklupała do dzwiryzi.

– Wyboczcie... Jo se wezna mamin krzyż i swe śląski lachy.

– Tajoj! Bieri skolko ugodno.

Nazod na „Ferdinand”. Tam teraz bydzie nasz dom! Niy ruszymy sie stamtąd, choćby przyszło tam życie stracić!

Co sie to człowiek nacyrpi, zanim umre – drynczyłach sie myślami. – Żodyn niy wiy, co sie dzieć może ze sercem matki w takij chwili. Jak boleje nad utraconym domym, nad zaginionymi synkami, nad zabranym chopym...

*

Kaźmyrz – ino mi tyn synek ostoł. Wyuczyl sie za inżyniera, dostol dobro robota w biurze, miol ludzi pod sobom.



Grafika:
Wojtek Łuka

Niy miolbytej roboty, jakby sie niy sprzedol. Musiol sie zapisać do partyje. Niy byłach tymu rada. Padałach mu: – Pamiyntosz, co znami pochali? Uciekej od takich ludzi! Wywiedom cie na zło droga...

Ale cóż... Niy doł se pedzieć: – Mamo, jeśli jo do nich niy przystapia, pójda na dół fedrować i skończa jak Boles...

Rozumiałach go. Taki nastol świat, taki porządek... Głowom muru niy przebijesz – wmwowiałach se, choć myśli miałach inne.

Posprawiol se lachy, noczyni, znod se dziolcha, ale niynasza, spod Lublina, ożynil sie z niom. Zaroz po ślubie webrali sie do fajnego pomiyszkanio we bloku. Nawiydzalach jich czasym, czasym oni mie.

A padajom, że matka widzi wszystko. Co dużo godać: od samego początku niy było miyndzy nimi zgody. Miarkowalach, że to może skiz dzieci, kiere sie jakoś niy pokazowaly. Jednak prawda była inno. Ponoś opedzieli se kiejs zyciorysy i od tej chwile wszystko sie popsmiło. Miłość poszła fórt. Co se ta wygodali – niy dochodziłach. Wiym ino jedno: ognia z wodom niy pogodzisz. Śląskij historyji z polskom tyż niy!

*

Życi przeminyło jak mgniyni oka. Niy byda sie oglądała za siebie, bo serce boli na myśl, co sie przeżyło. Wszystko, co mi było nojdroższe – utraciłach. Ale Pon Bóg to mi doł, zech wszystko przetrzymała. Wiedzioł, co robi, bo dzisio moga wom zaświadczyć, co wyrobiali z tym naszym ukochanym Górnym Śląskijm bez miniony wiek.

– To przeklynto ziymia! – słysza dzisio wreszczyni. – Skiz tego wyngło przeklynto!

Juści, przeklinajom ci, co sie tu już najedli, za tela nahaibili. My jom za tako niy momy.

– To niy jest przeklynto ziymia – to jest ziymia świynto!



Z najlepszymi...

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Wstęp (a jakżeby inaczej)

Dobiega końca jubileuszowy, „odświętny” rok 25-lecia odrodzonego samorządu terytorialnego. Czy aby na pewno odczuliśmy, że to było wielkie święto samorządu? Czy w tzw. świadomości powszechnej istnieje wiedza, panuje przekonanie, że samorząd to naprawdę fundament demokracji? Możemy wyobrazić sobie wiele różnych odmian demokracji. Z jedno- czy dwuizbowym parlamentem (czyli z Senatem lub bez), z systemem parlamentarno-gabinetowym, prezydenckim, kanclerskim i Bóg wie jeszcze jakim... I wszystko to będzie demokracja. Ale bez samorządności, bez władzy lokalnej wybieranej tu i teraz, w lokalnej wspólnocie – nigdy nie będzie to Demokracja przez duże D. Dlatego, gdy nieraz słyszę jakieś obawy i ostrzeżenia, że oto ktoś szykuje jakiś zamach na demokrację – osobiście zawsze się upieram, że dopóki funkcjonuje w naszym kraju samorząd, o takich choćby kompetencjach, jak do tej pory – to Demokracja nie jest i nie będzie zagrożona.

I może nie całkiem precyzyjnie i zgodnie z doktryną, ale w tym znaczeniu utożsamiam Demokrację z Wolnością...

Tyle uroczystego (może aż nazbyt) wstępu, a teraz wypada przypomnieć, że nie tylko kończy się jubileuszowy rok, ale przed nami Nowy Rok, a przedtem – Święta. Skoro tak, to nie ma siły, żeby nie było życzeń...

Jeszcze tylko przypomnę, że wszystkie artykuły z tego 12-miesięcznego już cyklu opatrzone są klauzulą, że „*opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora...*”. W takim razie korzystając z tego przywileju autor teraz przekaże wszystkim samorządowcom swoje autorskie życzenia świąteczno-noworoczne.

Przy urnach...

Niech ktoś wreszcie wyjaśni sprzeczność między dwoma zjawiskami. Z jednej strony wybory samorządowe mają w naszym kraju najniższą frekwencję ze wszystkich wyborów. A z drugiej strony – właśnie władze lokalne cieszą się najwyższym zaufaniem spośród prawie wszystkich instytucji państwa, a już na pewno wszystkich organów wybieranych. Życzę Wam, moi drodzy, żeby kiedyś frekwencja sięgnęła poziomów zaufania. Zjawisko odwrotne raczej Wam nie grozi. Tak na marginesie... teraz skojarzyłem, że to nie bardzo życzenia na Nowy Rok, bo ten 2016 będzie jednym z niewielu spokojnych, bez żadnych wyborów... Ale może to i lepiej, bo mamy aż trzy lata na spełnienie tego życzenia...

Co prawda, oprócz normalnych wyborów jest jeszcze zmała samorządowców w postaci wszelkiego rodzaju referendum odwołujących. Szumnie zapowiadane przez poprzedniego Prezydenta zmiany w ustawach samorządowych wlokły się tak niepoemiernie, że nic z tego nie wyszło, ale życzę Wam, żeby mimo to w miarę bezboleśnie przebiegały te akcje, które organizowane są przez grupki tyleż krzykliwe, co nieliczne.

Wykluczenie cyfrowe?

Nowoczesność ma ułatwiać życie i przyspieszać pracę. Banał i oczywistość? To niech ktoś odpowiedzialny weźmie na siebie winę za to, że na metrykę w USC trzeba teraz czekać nieraz tygodniami? A wszystko dlatego, że skomputeryzowano cały system i jest on teraz supernowoczesny. Dobrze by było tylko jeszcze, żeby ktoś w tę nowoczesność uwierzył.

I życzę także Wam wszystkim, żeby w następnych wyborach nikt nie

miał nawet cienia podejrzeń co do prawidłowego policzenia głosów. Ale skoro system zadziałał w tym roku już dwa razy i raczej sprawnie, to jest jakaś nadzieja, że życzenie się spełni.

Tony papieru, terabajty danych...

Ponad 750 ustaw uchwalili posłowie w minionej kadencji. Pod tym względem rekordowy był ten rok – ponad 260 nowych aktów prawnych. Do tej pory rekordowy był 2008 rok, kiedy uchwalono 250 ustaw. Oznacza to, że Polska bije swoje własne rekordy tempa produkowania prawa. To kilkakrotnie więcej nawet niż w latach 90., kiedy zmienialiśmy cały ustrój państwa.

Przed wszystkim zatem życzę, żeby było mniej. A po drugie – żeby nowe ustawy, które dają samorządom nowe uprawnienia, nie oznaczały chyrego przetrzucania problemu. Ot, np.:

- Po tzw. rewolucji śmieciowej, żeby nie można było mówić: samorządy wołały o nową ustawę, a popatrzcie: dzięki wysypiska nie znikły!

- Po tzw. ustawie antysmogowej, żeby nie mówić samorządom: chciecie czystego powietrza? To sami nakazcie ludziom, żeby kupowali lepszy (czytaj: najdroższy na świecie) polski węgiel.

- Po tzw. ustawie krajobrazowej, żeby zainteresowani przyjęli do wiadomości, że to ma nie być dodatkowe źródło ściągania z ludzi pieniędzy do gminnego budżetu, ale rzeczywiste sposób na walkę ze szpetotą i kiczem...

Pomarzyć zawsze można...

Teraz dwa życzenia, które na pewno się nie spełnią, ale cóż to było by za życie bez marzeń? Na pewno obecne pokolenie samorządowców nie doczeka chwili, gdy budżet Państwa zagwarantuje niezbędne minimum środków na oświatę (choćby na pensje pracowników). Redukujemy zatem nasze życzenia. Żeby przynajmniej procentowo nie dokładać coraz więcej.

I jeszcze tzw. zadania zlecone. Życzę Wam, samorządowcy, żeby Państwo nadal przekazywało i zlecało Wam zadania, z którymi samo radzi sobie, hmm... delikatnie mówiąc – średnio. Przecież to oznacza, że ja naprawdę niezłomnie wierzę, że Wy zrobicie to lepiej, sprawniej i taniej. Ale taniej, nie znaczy, że za darmo lub za tzw. psie pieniądze. Uczciwego rozliczania się z administracją

rządową życzę. Cokolwiek by to miało oznaczać.

Jeszcze życzenie trzecie – ponadnormatywne. Doczekania chwili, kiedy samorząd terytorialny będzie miał uprawnienia do kierowania wniosków przed Trybunał Konstytucyjny. Nie wiem, jak Państwo, ale moim zdaniem obnażyłoby to bardzo jakość stanowionego w Polsce prawa... Aż strach się bać!

A ja bym sobie życzył...

Acoby, mnie nie wolno? Życzyłbym sobie, jako twórcy internetowej bazy biogramów „Samorządowcy województwa śląskiego 1990 – 2015” (www.samorzadowcy.silesia.org.pl), żeby obecnie urzędujący w komplecie okazali szacunek wobec swoich poprzedników, niezależnie od przynależności i opcji politycznych i przysłali choćby najszczuplejsze wykazy tych, którzy samorzady tworzyli przez 25 lat. Wciąż jest trochę takich gmin, które nie wykazały zainteresowania tym, żeby „ocalić od zapomnienia”...

Pozostało nam jeszcze kilka dni tego roku, może zatem warto jeszcze „rzutem na taśmę” przypomnieć sobie,

że ta rocznica zobowiązuje? Także do pamięci. Pamięci o tych, którzy tworzyli samorząd, walczyli o jego rolę w Państwie. Nieraz poświęcali mu znaczącą część swojego życia.

Obowiązkowy akcent optymistyczny

Jednak Święta powinny przynosić też dobrą nowinę. A ta jest dobra po wielokroć. Na dniach dosłownie zostanie oddana do użytku Drogowa Trasa Średnicowa. Już do końca, przez całe Gliwice. To oczywiście dobra nowina dla samych Gliwic, które mając także skrzyżowanie autostrad A4 i A1 stają się chyba najlepiej skomunikowanym miastem w Kraju. Ale równie dobra jest to wieść dla wszystkich mieszkańców śląskiej aglomeracji, którzy przemieszczają się między jej najważniejszymi miastami.

A z tzw. perspektywy historycznej? Oto dobiegła końca ostatnia wielka budowa... właśnie, jaka? Nie waham się użyć określenia „ostatnia wielka budowa socjalizmu”. Starsze pokolenie pamięta, że pierwsze przymiarki do budowy to jeszcze lata, gdy komuna wydawała się „stanem zasta-

nym i wiecznym”... Ale mówiąc poważnie, zakończyła się ostatnia drogowa inwestycja centralna. Centralna, czyli finansowana przez budżet państwa. Kto śledził uważnie, ten wie, ile razy budowa stawała lub zwalniała na długie miesiące, a nawet lata, bo „pieniądze z Warszawy się spóźniały”, a ludzie klepli. Cóż, państwo powoli, ale budowało jednak tę DTŚ-kę. „I chwatić” – jak w starym dowcipie...

Na początku tego tekstu powołałem się na stałą formułę, że „opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora”, stąd życzenia są mojego autorstwa. Ale pozostaje jeszcze druga część tej klauzuli: „i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim”. Mam nadzieję, że tym razem są absolutnie tożsame. Czego i Państwu, i sobie życzę. ■

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.

www.poradniajezykowa.pl

Kto może witać?

Do naszej Poradni często trafiają pytania, czy rozpoczynanie listu elektronicznego formułą *Witam* jest poprawne. Odpowiadamy wtedy, że nie idzie w tej sytuacji o **poprawność**, lecz o **stosowność**. Grzeczność językowa wymaga, abyśmy swą wypowiedź dopasowali do rangi osoby, z którą korespondujemy. Od wieków forma *witam* była zarezerwowana dla gospodarzy, którzy witali gości, czy dla osób, które przyjmowały interesantów (petentów), z czasem także dla gospodarza studia radiowego lub telewizyjnego, portalu internetowego, firmy, instytucji. Dziś można by odnieść wrażenie, że witać może każdy.

Zmiana, którą obserwujemy, nastąpiła, gdy rozkwitła korespondencja elektroniczna, a godziny i warunki pracy (np. biurowej) znacznie się zmieniły w stosunku do czasów choćby powojennych; w życiu społecznym narastała także m. in. tendencja do skracania dystansu między uczestnikami komunikacji. Warto zauwa-

żyć, że w polszczyźnie nie było neutralnego powitania, którego można by używać wobec każdego i o każdej porze dnia. W tej właśnie funkcji zaczęło się pojawiać *witam*: bezosobowe, poza czasem, niewskazujące na hierarchię. Zwroty adresatywne *Szanowna Pani, Szanowny Panie, Szanowni Państwo* czy *Dzień dobry* wydają się wielu współczesnym Polakom albo zbyt oficjalne, zbyt podniosłe w korespondencji firmowej czy handlowej, albo też niewłaściwe, jeśli nie wiadomo, do kogo konkretnie się zwracamy ani o jakiej porze nasz e-mail będzie odczytany. *Witam* natomiast – zwłaszcza w korespondencji internetowej, która często jest anonimowa – ma tę zaletę, że obejmuje osoby obojga płci, w różnym wieku, a także wszelkie pory dnia.

Moje wcześniejsze słowa nie są bynajmniej radosnym wyrazem akceptacji dla nowej funkcji *witam*, a jedynie stwierdzeniem faktu, że konteksty używania tego powitania się zmieniają. Zmiany w ortografii, odmianie wyrazów czy zmiany znaczeń potrzebują niekiedy wielu lat, a nawet wieków, aby się upowszech-

nić. Obserwując współczesną korespondencję, można się przekonać, że wielowiekowa ewolucja nie jest potrzebna, gdy istnieją nowoczesne i coraz bardziej powszechne formy komunikacji między ludźmi, które są **przyczyną** zmiany, a jednocześnie także **sposobem** (medium) powielania „nowego” *witam*.

Na problem ten warto także spojrzeć z perspektywy przemian w polszczyźnie XX wieku. Skonwencjonalizowane formy zachowań słownych związane z etykietą towarzyską niejednokrotnie poszły w niepamięć po wybuchu II wojny światowej, a zmiany w konwencjach grzecznościowych i w systemie adresatywnym utrwaliła sytuacja Polski po roku 1945. W dawniejszej polszczyźnie zwracano się w określony sposób do kobiet, ludzi starszych, przełożonych, czyli używano form językowych różnicujących płeć, wiek, status społeczny. Dziś piszące do naszej poradni młode osoby nieraz rozpoczynają pytanie od powitania *cześć* czy *hejka* i już choćby z tego powodu *witam* wydaje się dość neutralne stylistycznie (!). *Witam* może oczywiście razić i wiele osób nie jest w stanie tego użycia zaakceptować, ale widać wyraźnie, że zostanie ono z nami na dłużej...



Lasy nad lasami

JOLANTA KARMAŃSKA

Śląsk w dziejach Ziemi był mocno zielony. Najbardziej przed ponad 350 milionami lat, gdy i jego powierzchnię porastała tropikalna dżungla. Ślady tej przeszłości przetrwały do dziś. W węglu. Tym, który powstawał w beztlenowych warunkach z potężnych bylin, tworzących karboński las. Nawet dziś na wypalonych hałdach kopalnianych, choćby tych z okolic Rybnika, można odnaleźć zwęglone odciski fragmentów skrzypów, widłaków i trafi się – paproci z tamtego okresu. Paradoksalnie, ten węgiel, największe, stworzone przez naturę bogactwo Śląska, obrócił się przeciwko niej samej.

Widać to najlepiej po osłabionej, nie tylko działalnością przemysłu, kondycji lasów. Ostatnie kilkadziesiąt lat jest żywym zapisem walki leśników o ich przetrwanie na Górnym Śląsku, w Beskidach. Wobec obciążeń przeszłości, ciągłych zagrożeń ekologicznych, ocieplania się klimatu, nagłych ataków żywiołów walka ta stała się zawsze aktualnym wyzwaniem. Na stałe wpisany w gospodarkę leśną Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach, która jesienią br. świętowała swoje siedemdziesiąte.

Gospodarowanie w śląskich lasach jest trudne. Do dziś ciąży na nich piętno przeszłości. Już w XVI wieku na terenach Górnego Śląska i Zachodniej Małopolski rozpoczęło się ogromne wylesianie. Szczególnie w rejonie Bytomia, Tarnowskich Gór i Ślawkowa pozyskiwano na potęgę drewno dla górnictwa, hutnictwa i kuźnictwa. Skutkiem tych wylesień, pozbawiona osłony lasu piaszczysta gleba okolic Bukowna i Olkusza, zamieniła się z czasem w Pustynię Błędną i Starczynowską. Moż-

na powiedzieć: była to pierwsza na Śląsku katastrofa ekologiczna.

Spokojnie, bez większych przeszkód, aż do końca XVIII wieku rosły sobie naturalne lasy górskie, beskidzkie. Zmienił to nasilony rozwój przemysłu około połowy XIX wieku. Zapotrzebowanie na drewno rosło. Wycinane na ogromnych terenach, metodą zrębów zupełnych różnorodnych, naturalne lasy górskie, zastępowano prawie wyłącznie świerkiem. Najczęściej z nasion obcego pochodzenia, głównie z Austro-Węgier. Nowy, mo-

nokulturowy, jednowiekowy i jednopiętrowy las, bez naturalnych dla siebie gatunków puszczańskich (jodły, buka i innych domieszkowych gatunków) rósł szybko, ale stawał się coraz słabszy. W zderzeniu z ich nadmierną eksploatacją w okresie zaborów, w latach II wojny światowej, z wciąż rozwijającym się przemysłem, wielką urbanizacją i przeludnieniem – nie wytrzymał.

Zmiany organizacyjne

Wraz z powołaniem 8 lutego 1945 roku przez wojewodę śląsko-dąbrowskiego Dyrekcji Lasów Państwowych Okręgu Śląskiego wiadomo było, że poprawa kondycji leśnego gospodarstwa także na Śląsku nie będzie łatwa. Stopień trudności, jak się okazało po latach, przerósł chyba wszystkie przewidywania.

Nie miała na to wpływu organizacja Lasów Państwowych. Jej kształt, co oczywiste, w latach powojennych zmienił się po wielokroć. Dyrekcja LP Okręgu Śląskiego mieściła się początkowo i w Bytomiu i w Opolu. Sytuacja zmieniła się dopiero po nowym podziale administracyjnym kraju oraz utworzeniu województwa opolskiego. W 1950 roku w stolicy powołano Katowicki Okręg Lasów Państwowych. W lipcu 1975 roku włączono do niego Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Opolu. Od 1992 roku, wraz z nowym prawem leśnym Katowicki Okręg Lasów



Państwowych przemianowano na Regionalną Dyрекcyję Lasów Państwowych w Katowicach.

Wszystkie lata ostatniego siedemdziesięciolecia były dla śląskich lasów trudne z wielu powodów. To potężne gospodarstwo, drugie pod względem wielkości w kraju (po RDLP w Szczecinie) rozciąga się na terenach o różnych warunkach przyrodniczych, na ogromnej powierzchni około 752 tysięcy hektarów. Obejmuje obszary nie tylko województwa śląskiego i opolskiego. Częściowo także małopolskiego, łódzkiego i świętokrzyskiego.

Ciągłe zagrożenia

Jednak nie rozległość leśnych terenów, którymi zarządza Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Katowicach, czy ich różnorodność jest problemem, lecz utrzymanie lasów w warunkach ciągłych zagrożeń.

Śląskie lasy rosną pośród gęsto zaludnionej przemysłowej aglomeracji, przytłaczającej obecności infrastruktury przemysłowej, kolejowej, linii energetycznych. Rosną pod bezustannym naporem toksycznych pyłów i gazów. Na zatrutej glebie i pośród takich wód. Rosną też na węglu, cynku i ołowiu czyli na zapadającym się górnym terenie, co kończy się przedsięwzięciem śmiercią drzewostanów. W ostatnich latach trwają atakowane przez żywioły, nasilające się wraz z ocieplaniem klimatu i co za tym idzie – obniżaniem lustra wód gruntowych. Niszczą je nie tylko susze czy powodzie, trąby powietrzne i huragany, zimowe zjawiska szadzi i okiści oraz gradacje szkodników, atakujących osłabione drzewa. Także ludzie, którzy najczęściej są sprawcami pożarów.

Ponad siły dzisiejszych lasów jest obrona przed tymi klęskami. To one w ostatnich dziesięcioleciach zmusiły śląskich leśników do poszukiwania nadzwyczajnych rozwiązań i działań.

Odsłony dramatu

Pierwszą wielką klęską było zamieranie już w latach pięćdziesiątych ub. wieku najbardziej wrażliwych na zanieczyszczenia z przemysłu, monokulturowych lasów iglastych. Na oczach ludzi „rdzewiały” i ginęły nie tylko lasy świerkowe. Inne drzewa pod naporem zanieczyszczeń traciły liście już w środku lata.

Śląscy leśnicy nie czekali bezczynnie. W latach 60. ub. wieku rozpoczęli na dużą skalę przebudowę lasów iglastych, zastępując je w dużej części liściastymi. Wokół miast przemysłowej aglomeracji



utworzyli Leśny Pas Ochronny. To oczywiście, popełniali błędy wprowadzając i do tego lasu obce gatunki drzew, ale... nigdy nie rezygnowali. Proces ratowania, przebudowy lasów wówczas ruszył i jest nadal z wsparciem nauki doskonalony. I na nizinach i w górach. Już w rytm scenariuszy samej natury, z uszanowaniem jej przyrodniczych, a nawet lokalnych wymagań. Dzięki wykorzystaniu nowoczesnych technik i technologii; banku najlepszych, rodzimych genów leśnych; przechowania nasion, szkółek kontenerowych, produkujących sadzonki z zakrytym systemem korzeniowym i laboratorium, wytwarzającym żywą grzybnię (szczepi się nią korzonki sadzonek przeznaczonych do zalesiania zdegradowanych gleb), przebudowa lasu przynosi coraz lepsze efekty. Wzmacnia go i czyni bardziej odpornym, a więc i trwalszym.

Wydawało się, że po upadku starego przemysłu lasy, jak ludzie, złapały oddech. Tak było krótko. Słabe, stały się łatwym łupem dla pożarów. W lasach RDLP w Katowicach odnotowywano ich setki rocznie. Najtragiczniejszy wybuchł w Kuźni Raciborskiej w 1992 roku, pochłaniając bez mała 9, 5 tys. hektarów lasu. Ogień wypalił las do samego dna. Zginęły drzewa, zamartwiała żywa leśna gleba.

Dziś w tym miejscu zieleni się piękny, młody las. I nie jest to jedyne zwycięstwo leśników po tej zagładzie. Równie ważne po tragicznym pożarze było stworzenie nowoczesnego systemu ochrony przeciwpożarowej w lasach w całym kraju, choć śląski system pozostał wzorcowym.

Wobec nawałnicy żywiołów przyrody leśnicy są bezsilni. W ostatnich latach miliony drzew z gospodarstwa leśnego RDLP w Katowicach zmioły tornada, trąby powietrzne, huragany. Leśnych drzewostanów nie oszczędzały powodzie czy okiści lodowa. To zimowe zjawisko fizycznie zniszczyło ogromne połacie lasu w Nadleśnictwie Herby i połamało las jak zapałki w przestrzeni od Olkusza po Olesno.

Wydawało się też, że całkowitą katastrofą zakończy się atak kornika drukarza w lasach beskidzkich, że szkodnik ten bezpowrotnie uśmierci wszystkie świerczyny jak w Lesie Bawarskim.

I ta katastrofa z pomocą naukowców, przy morderczym wysiłku ludzi, została powstrzymana. Lasy beskidzkie są skutecznie, dalej przebudowywane. Odradza się. Ale jak wszystkie osłabione i atakowane zanieczyszczeniami, nadal wymagają ciągłej ochrony, doglądania i ratowania.

Zagrożeń nie ubywa. Walka z tymi, które zdarzyły się w ostatnim ćwierćwieczu oraz odbudowa zdegradowanego bądź zniszczonego lasu w RDLP w Katowicach, pochłonęła dotąd 2,3 miliarda złotych. Nie byłoby to możliwe, gdyby leśnictwo nie mogło samodzielnie pokrywać tak ogromnych kosztów własnymi przychodami. To jest warunek zachowania ciągłości i trwania lasu w epoce narastających klęsk, wynikających z nadmiernej eksploatacji i zanieczyszczenia środowiska naturalnego, ocieplania się klimatu.

Mieszkańcy województwa śląskiego dramat swojego lasu obserwowali od lat w wielu różnych odsłonach. Dziś cieszą się, że ich Śląsk, przestaje być postrzegany w jednym tylko, czarnym kolorze. Staje się bardziej zielony. Chociaż trzeba pamiętać, że nadal ponad 95 proc. leśnych drzewostanów rośnie w otoczeniu szkodliwego oddziaływania pyłów i gazów z przemysłu. Ponad 18 tysięcy hektarów lasów znajduje się w strefach oddziaływania górnictwa, gdzie teren nie tylko osiada, ale i zapada się, tworząc zalewiska i topiąc drzewa.

Statystyki jednak potwierdzają lepszą kondycję śląskiego lasu. Jest go w Polsce coraz więcej. Przeciętna lesistość w naszym regionie, dochodząca do 30,5 proc. znacznie przekracza średnią krajową. Dzięki bardziej zrównoważonej gospodarce leśnej w ciągu ostatnich 20 lat wydłużył się o 3 lata średni wiek leśnych drzewostanów. Obecnie wynosi 58 lat. Więcej jest w lasach odporniejszych drzew liściastych, takich jak dęby, buki, jesiony, klony, jawory, wiąz, brzozy czy daglezie.

Las, także ten śląski, stoi otworem dla ludzi. Jest przecież naszym dziedzictwem i prawdziwą skarbnicą bioróżnorodności – największej wartości środowiska naturalnego. I ratunkiem dla ludzi, oddychających skażonym powietrzem. Jeszcze nie tak dawno wydawało się, że będzie trwał zawsze. Dziś nie jest to takie pewne. Lasy są i pozostaną zagrożone. Powinniśmy więc z nich coraz mądrzej korzystać. Lepiej je poznawać, rozumieć i lepiej chronić. Razem z leśnikami.



Miejska Biblioteka Publiczna w Piekarach Śląskich od 2013 roku realizuje projekt Europejskie Forum Kreatywności Kulturalnej, finansowany przez Komisję Europejską. Jest on jedną z ciekawszych form budowania społeczeństwa obywatelskiego – aktywnego, otwartego, dbającego o wspólne dobro – i przynosi korzyści wolontariuszom z różnych krajów, lokalnej społeczności oraz samej bibliotece.

Głównym celem projektu jest tworzenie przestrzeni międzykulturowej, w której wolontariusze z państw europejskich, pracując w naszej bibliotece, poznają ludzi nie tylko z Polski, ale również z innych krajów, wspólnie poszerzają horyzonty, zaznajamiają się z kulturą, językiem i aktywnie włączają społeczność lokalną w nurt swoich działań. Stwarza to nieopowtarzalną szansę do ćwiczenia się w codziennej komunikacji na styku kultur, do ustalania i przestrzegania wspólnych zasad, a także respektowania odmiennych poglądów lub wartości. Poprzez udział w projekcie jego beneficjenci – wolontariusze, bibliotekarze, społeczność lokalna – pracując razem, uczą się otwartości na różnorodność kulturową i jej poszanowania. Wszystko to pomaga zapobiegać uprzedzeniom, rasizmowi i wszelkim postawom prowadzącym do wykluczenia.

To już trzecia tura europejskich wolontariuszy w naszej bibliotece i obserwujemy coraz większe zainteresowanie społecznością lokalnej ich działaniami. Różnorodna oferta edukacyjna i kulturalna stanowi doskonałą podstawę do podejmowania wspólnych przedsięwzięć i wzajemnej edukacji wolontariuszy, bibliotekarzy oraz użytkowników biblioteki. Wszyscy mamy równe szanse i wszyscy jednakowo się staramy. Nowa grupa wolontariuszy, przygotowując swoje aktywności, uwzględnia preferencje społeczności, korzysta z doświadczeń poprzedników, ale proponuje też własne działania.

Nasi goście integrują się z piekaczami (i nie tylko), wprowadzając ich w świat swojej kultury narodowej. Są ambasadorami kraju, z którego pochodzą – prowadzą prelekcje dla lokalnej społeczności, popularyzując literaturę, sztukę i tradycję (organizując np. wystawy, lekcje gotowania czy prowadząc warsztaty z wybranej dziedziny), a chętnym dają lekcje swojego języka ojczystego. Sami z kolei uczą się języka polskiego pod okiem fa-



Charlotte i język francuski dla dzieci

Miejska Biblioteka Publiczna w Piekarach Śląskich

Wolontariat Europejski (EVS) w bibliotece

chowców, ale to nasza społeczność jest najlepszym środowiskiem do nieustannego treningu. Wolontariusze integrują się z nią i nawiązują trwałe przyjaźnie. Biorą także udział w organizacji wydarzeń w bibliotece, takich jak: warsztaty, konkursy, spotkania, wernisaże. To u nas zostają wyposażeni w nowe kompetencje, które stanowią atut na rynku pracy. Jako potwierdzenie osiągnięć otrzymują od nas certyfikaty Youthpass.

Przepustką do Wolontariatu Europejskiego (European Voluntary Service – EVS) jest akredytacja Agencji Narodowej (w Polsce tę rolę pełni Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Edukacyjnego w Warszawie) – obowiązkowa dla każdej organizacji zamierzającej wysłać lub przyjmować u siebie wolontariuszy EVS. Dzięki temu procesowi wszystkie zaangażowane strony są świadome wartości, celów i zasad Wolontariatu Europejskiego, a akredytowane organizacje muszą wykazać się zdolnością realizowania projektów zgodnie z regulami programu Erasmus+. Uzyskanie akredytacji nie prowadzi jednak automatycznie do otrzymania dofinansowania. Należy najpierw zgłosić

plan przedsięwzięcia – w trybie konkursowym – do programu Erasmus+, akcja 1. Po przyznaniu dofinansowania można przystąpić do rekrutacji wolontariuszy.

Wybieramy uczestników na podstawie przesłanych listów motywacyjnych i CV, a także rozmów z organizacjami polecającymi kandydatów. W oparciu o zdobyte w ten sposób dane typujemy osoby, które przekonująco uzasadniły zgłoszenie, a ich umiejętności i zainteresowania są zgodne z charakterem naszego przedsięwzięcia. Nawiązanie dialogu międzykulturowego zawsze wiąże się z pewnymi trudnościami. Na początku obie strony podchodzą do siebie z ciekawością, ale też jednocześnie – z rezerwą. Jednak dzięki naszemu wsparciu, dużej motywacji wolontariuszy i obowiązkowym szkoleniom organizowanym dla nich przez Agencję Narodową pierwsze lody szybko zostają przełamane. Jak dotąd gościliśmy w piekarskiej bibliotece 13 wolontariuszy z 6 krajów: Danii, Francji, Hiszpanii, Turcji, Ukrainy i Włoch.

A co oni myślą o EVS? Oto cytat z wypowiedzi jednej z uczestniczek: „Nazywam się Morgana, jestem 20-letnią Włoszką i jestem szczęśliwa. Jestem szczęśliwa, ponieważ w zeszłym roku powzięłam najlepszą decyzję w moim życiu, postanowiłam zdobyć trochę doświadczenia, zanim rozpocznę naukę na uniwersytecie. Zaczęłam szukać projektów w ramach EVS. Znalazłam kilka, ale jeden w szczególności przykuł moją uwagę. Być wolontariuszem w Polsce, w bibliotece publicznej”¹.

Patrząc z perspektywy Biblioteki, była to także jedna z najlepszych decyzji. Warto dodać, że za projekt Europejskie Forum Kreatywności Kulturalnej jesteśmy nominowani do nagrody EDUinspiracje 2015, przyznawanej w konkursie organizowanym przez Fundację Rozwoju Systemu Edukacji, Narodową Agencję Programu Erasmus+. Jego celem jest wyłonienie najbardziej wartościowych przedsięwzięć, szczególnie w zakresie upowszechniania rezultatów oraz dzielenia się swoimi doświadczeniem i sukcesem z innymi.

ALEKSANDRA ZAWALSKA-HAWEL

¹ Wypowiedzi Morgany oraz innych wolontariuszy: <<https://sisterlibrariansnaple.wordpress.com/2015/06/30/my-evs-experience-in-municipal-public-library-in-piekary-slaskie-poland-iv/>>.



Duygu prowadzi warsztaty 3D



Jesus prowadzi lekcję języka hiszpańskiego dla dzieci

Był czas kiedy czerwoni przed imieniem dodawali słowo „towarzysz” – towarzysz Zdzisław, tow. Edward, tow. Marian, tow. Wiesław...

W wojsku mówiono „Wy” – Wy mi tu nie p..., Wy jesteście łajzą... Wy Kowalski...

W stowarzyszeniach twórczych używano określenia „kolego”, my studenci poszliśmy jeszcze dalej mówiąc do siebie „Dziadek”.

Przyniósł to ze sobą Genio Rzeżucha – grafik i kalamburzysta, wraz z jego wkroczeniem do uczelni.

Poszło tak daleko, że zniknął Marek, Acio, Andrzej, Hander... wszyscy zostali zastąpieni tym tytułem, bez imion. Dziadek idziesz... cześć dziadek, co u ciebie... dziadek masz na piwo?

Ten obyczaj zaistniał w gronie osób sobie bliskich, żytych i lubiących się...

Dobrze nam z tym było, jakoś tak swojsko, blisko i nikt nas nie mógł identyfikować.

Było tak, do czasu kiedy pojawił się taki na uczelni, który jeszcze tytułu Dziadka nie dosięgnął, a już był dziadkiem, bo nazywał się Franciszek Dziadek.

Objawił się w pracowni profesora Jana Dutkiewicza i od razu zadarł z prawie wszystkimi jej uczestnikami.

Stosując zasadę „bo nie ważne czyje co je...” brał co mu się podobało.

Dorocie papier do rysunku, Jackowi biel tytanową, Dianie umbrę paloną, mnie mój ulubiony i jedyny pędzel...

Anekdoty

HENRYK BZDOK



Tak było w budzie, później związany był przez lata z etatami w prasie i przemyśle, dopiero na emeryturze rozpoczął własną pracę twórczą, dał się poznać jako bardzo sprawny i uzdolniony artysta, był mistrzem akwareli i pasteli.

Jego prace urzekały świeżością, lekkością i poletem.

Kiedy na plenerze Bieszczadzkim jego pastele zobaczył Edward Dwurnik, to radził Frankowi malowanie farbami olejnymi, jako dającymi większe możliwości...

Franek – nieskory do wypowiedziania dłuższych tekstów odpowiedział krótko:

– Oleju, używam wyłącznie do smażenia frytek.

Inną pasją Franka był rower, jako przeciwwaga zmotoryzowanej rzeczywistości.

Kiedy go raz spotkałem nad Rawą, zademonstrował mi swój bicykl z tyłoma zębatkami i możliwościami ich użycia, że zaniemówiłem.

– Ukradli mi rower pod sklepem z rowerami... ale żem ten złożył, jeszcze lżejszy o półtora deko”...

Sam byłem od dziecka fanem dwu kółek.

„Wyścigówkę” po ojcu z drewnianymi felgami schowaną na strychu dopadli Ruscy i rozwalili na pierwszym zakręcie z góry.

Później sam składałem rower z posiadanych części, zardzewiałą kierownicę z wyścigówki znalazłem w szopie a za opony robił w tym czasie gruby wąż gumowy.

Franek przechwalał się, że pokonuje drogę z Bystrej, gdzie czasowo przebywał z szybkością samochodu, jadąc dodatkowo na skrót.

O jego klasie jako cyklisty świadczy zdarzenie jakie miało miejsce na dwupasmowce w Beskidy, opowiedziane przez siwowłosego Franka:

– Jechałem do Bystrej w sobotę po robocie, gnałem pięćdziesiątką, a może i więcej, za Tychami zobaczyłem grupę ścigających się kolarzy amatorów, którym towarzyszył trener na motocyklu.

Kiedy śmignąłem obok nich usłyszałem jak trener ryknął do pedałujących kolarzy:

– Gonić dziadka...

– Te, skąd on wiedział, że się tak nazywam?

m:k

*W muzeach
nie wszystkie
eksponaty
można zawsze
oglądać.
Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych
łamacz.
Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.*



Początkowo miało tu być zdjęcie ośnieżonego drewnianego kościółka z Parku Kościuszki. Zdecydowaliśmy się jednak na pocztówkę przedstawiającą fragment Katowic w zimie, bo jest w nim pewna tajemnica. Otóż w Dziale Fotograficznym Muzeum Historii Katowic istnieje dokładnie to samo zdjęcie, ale... bez śniegu. Miasto z pocztówki zostało przez fotografa sztucznie naśnieżone!

Fot. ze zbiorów MHK

Trzy wieczory, jedno południe

Pierwszy

Po wakacyjnym oddechu, w czwartek, 10 września, w katowickiej kawiarni „Ćma” zainaugurowano nowy sezon kulturalny organizowany pod patronatem Portu Poetyckiego. Gościem Ewy Olejarz i Sabiny Waszut był Bogdan Prejs – mikołowski poeta, autor kilku arkuszy poetyckich oraz trzech tomów wierszy: *sms do ludożerców*, *ce ha*, *biernik*. Ponadto autor książek: *Mały przewodnik po Górnym Śląsku*, *Dawno temu w Starych Tychach*, *Tyszenie nie z tej ziemi* oraz *Subkultury młodzieżowe*. *Bunt nie przemija*.

Autor podczas odczytywania wierszy bardzo poruszył publiczność.

ten wiersz zawiera lokowanie produktu

podobno była już noc, ale my nie jesteśmy gwiazdami, więc ciemność rozjaśnił jedynie płomień zapalniczki. podarty człowiek przed żabką przy piotrkowskiej postanowił zostać

moim serdecznym przyjacielem, jednak ewa, która niedawno dowiedziała się, że bob dylan wciąż żyje, wspomniała coś o hotelu, dlatego nastąpiło kolejne w moim życiu rozstanie. liczę, że pan z windy nie pisze pamiętników. łóżko okazało się głębokie aż do rany.
(z tomu *biernik*)

Towarzyszący spotkaniu Turniej Jednego Wiersza wygrała Jucyta Ciszewska. Nagrodę wręczył juror – Bogdan Prejs.

Drugi

Ćmy Portowe nie boją się prozy. Na mapie Śląska zauważamy Sabinę Waszut. Pisarkę, która wie: „Wiem, gdzie jest moje miejsce. Nie w Stanach, nie w Australii, choć ponoć tamtejszy klimat jest dobry dla starych ludzi, nawet nie w Niemczech, kilkaset kilometrów stąd. Mój dom to te mury, choć spod osiadającego latami pyłu trudno już dostrzec czerwień cegieł, z których powstał”.

22 października w podziemiach Teatru Śląskiego Waszut opowiadała o historii i tożsamości swoich bohaterów, o powojennych losach Zosi i Władka Zaleskich. Tego wieczoru rozmawialiśmy z autorką nie tylko o jej najnowszej powieści *W obcym domu*, o książce, która w kategorii „Pióro” zwyciężyła w tegorocznym Festiwalu Literatury Kobiecej „Pióro i Pazur” w Siedlcach. Rozmawialiśmy z kobietą, która dotyka: „- Pójdiesz dziś pod kopalnię? – pytam nieśmiało i czuję, jak nerwy zaplątują mi węzeł w żołądku. – Po co? I tak niczego dla mnie nie będą mieli – odpowiada, nadal nie otwierając oczu” (z powieści *W obcym domu*).

Jedne takie południe

Podium: Łukasz Gamrot, Arkadiusz Kremza, Adam Marek.

Wyróżnieni: Daria Dziedzic, Roma Jegor, Włodzimierz Szymczewski.

Upadek II

Upadliśmy. Upadliśmy pijani i upaleni. Upadliśmy z rękoma wykręconymi w tył, byle na twarz upaść i wpić się każdą chrząstką w ciepłą, parującą ziemię, którą obracaliśmy, której brzuch, kanały, głębię i podglebie wypełnialiśmy mlecznymi oparami słowa – zduszony jak dzikie zwierzę, lęku.

Upadaliśmy i przelewaliśmy gorzką krew, jak z dawien dawna zapomniany śpiew,

z ust do ust, z ziemi do siebie przelewaliśmy, bo tak trzeba, bo ponad rwącymi aortami ziemi tylko zimna, szara skóra miast, ludzie, Polska. Polska co się jej wymówić już nie da, Co się skurczyła jak skrzep i czeka, i czeka. Polska, chory talizman z siekaczy bezdomnych psów co jeszcze pachnie głodem i wyciem z bólu. Polska, co to opila się benzyną i wyświeca gwiazdą samczego potu spod naszej śliny, spod naszych przekleństw i nieprzyjaciół.

Upadamy przyjaciele, upadamy po raz wtóry, upadamy na pocięte policzki i zmieszaną z gliną krew, której gorzkie ziarno toczymy z siebie, do siebie nawzajem i czekamy, czekamy, aż pęknie ta Polska, to miasto, ten zduszony jak dzikie zwierzę, lęk.

Upadek II to wiersz Łukasza Gamrota, zdobywcy pierwszej nagrody i statuetki ufundowanej przez córkę Barbary Dziekańskiej – Aleksandrę Stańczyk.

„Nigdy nie było takiego lata”, dlatego jesienią (oficjalnie) jest tak:

W środę, 25 listopada, w chorzowskim Muzeum odbył się wieczór poetycki pt. „Wiersz nie pyta o pogodę”. Gospodarze wieczoru – Barbara Janas-Dudek i Jacek Dudek – do poetyckiego stolika zaprosili rudzką poetkę Mirosławę Pajewską oraz poetę i dyrektora Instytutu Mikołowskiego Macieja Meleckiego. Zasadniczym punktem wieczoru był III Otwarty Turniej Jednego Wiersza im. Barbary Dziekańskiej. W turnieju swoje wiersze przeczytały 23 osoby. Jury w składzie: Maciej Melecki, Jacek Dudek i Anna Piontek postanowiło przyznać nagrody i wyróżnienia. Wieczór muzycznie wzbogacił recital Martyny Kwolek przy akompaniamencie Piotra Matusika. Muzyka tego duetu to kwintesencja wrażliwości muzycznej i poetyckiej.

Nieoficjalnie? Poeci szukają. Znajdują dobre chwile. Dobre miejsca. Nie jest ich od groma. Więc jeśli po wszystkich krajowych i zagranicznych perturbacjach – znajdziecie ich w Chorzowie, to znaczy jedno, to znaczy, że chcą być razem; w domu. Na Śląsku. Dla Barbary Dziekańskiej, pamięcią i dobrym południem.

Trzeci

27 listopada katowicka Ćma gościła warszawską pisarkę – Magdalenę Tarasiuk. Autorka przyjechała do Katowic, aby promować powieść *I nie mów do mnie Dżordżyk*, która wygrała Konkurs Literacki Miasta Gdańska im. Bolesława Fecka (2013).

„*I nie mów do mnie Dżordżyk* to napisana świetną nowoczesną polszczyzną, niebanalnie skomponowana, a do tego skrząca się inteligencją opowieść o uczuciu, które rodzi się ze zderzenia rzeczywistości i literatury, kiedy życie płynnie przechodzi w tekst, w fikcję, a fikcja niepostrzeżenie obleka się w ciało. To także portret mieszkańców rozpedzonej, poddanej dyktatowi zysku i sukcesu, współczesności, w której – jak się szczęśliwie okazuje – bliskość wciąż jest możliwa” (Tadeusz Dąbrowski).

Rozmawialiśmy również o *Tarze*, książce Tarasiuk, wydanej w Krakowie (2011). Autorka przybliżyła nam klimat warszawskich ulic i miejsc, z którymi jest silnie związana.

Rozmawialiśmy o Bogdanie Zdanowiczu i Leszku Żulińskim, ponieważ – bez pozytywnej motywacji – nie ma nic. Ani w prozie, ani w poezji.

Magdalena opowiadała o sukcesach i porażkach, których doświadczyła, a także o planach na przyszłość. Punktem kulminacyjnym listopadowego spotkania było odczytanie fragmentu książki napisanego śląską gwarą. Niebywałym talentem Tarasiuk jest dialogowość. Doświadczaliśmy jej, słuchając fragmentów *Dżordżyka* – w wykonaniu autorki oraz Jacka Dudka i Sabiny Waszut.

W Częstochowie o muzyce słowiańskiej

14 i 15 listopada w Instytucie Muzyki Akademii im. J. Długosza w Częstochowie po raz drugi obradowano na temat muzyki słowiańskiej. Podobnie jak w przypadku zeszłorocznej konferencji, temat został potraktowany przez uczestników bardzo szeroko – poruszono najrozmaitsze tematy związane z twórczością i kulturą muzyczną Polski, Rosji, Ukrainy, Czech i Słowacji oraz z działalnością słowiańskich artystów w ośrodkach zagranicznych. Słowiańszczyzna południowa nie doczekała się omówienia, nie mówiono też o muzyce słowiańskiej jako takiej ani nie próbowano się – poza kilkoma wyjątkami – doszukać słowiańskiej specyfiki badanych dzieł i zjawisk. Zaczynając od owych wyjątków – Michał Jaczyński, reprezentant Uniwersytetu Jagiellońskiego podjął odważną próbę rozpatrzenia szczegółów nieudanej kariery Władysława Żeleńskiego w Wiedniu, uwzględniając m.in. nastawienie tamtejszych krytyków do kultury krajów słowiańskich. Niżej podpisana kontynuowała ten temat, odkrywając szczegóły recepcji muzyki Chopina w Wiedniu w okresie międzywojennym. Magdalena Stochniol z katowickiej Akademii Muzycznej zinterpretowała twórczość rosyjskiej emigracyjnej kompozytorki Sofii Gubajduliny jako fenomen egzystujący na styku kultur, a Liubow Nazarova z Hradec Kralove zaprezentowała ukraińskie, czeskie i polskie konteksty twórczości Wasyła Barwńskiego – wybitnego ukraińskiego twórcy i działacza muzycznego, przed wojną silnie związanego z polskim życiem muzycznym Lwowa. Pozostałe referaty dotyczyły wybranych aspektów historii muzyki w konkretnych ośrodkach. Zaprzyjaźnieni z częstochowskim Instytutem badacze z Katolickiego Uniwersytetu w słowackim Ruzomberku zrelacjonowali aktualne wyniki badań nad tamtejszymi zabytkami muzycznymi oraz nowszą twórczością. Rastislav Adamko mówił o średniowiecznym graduale koszyckim, Zuzana Zahradnikova omówiła inspiracje biblijne w muzyce Lubosa Bernatha, a Peter Hochel zaprezentował twórczość słowackich kobiet kompozytorek. Szkoła rosyjska została przywołana dwukrotnie: w referacie Anny Stachury-Bogusławskiej (IM

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Częstochowa) na temat modernistycznych inspiracji Igora Strawińskiego i Wacława Niżyńskiego oraz w referacie Aleksandry Samoljenko z konserwatorium w Odessie na temat polskich wątków w twórczości tamtejszego twórcy Mikołaja Wilińskiego (niestety autorka nie dojechała, wskutek czego usłyszeliśmy tylko abstrakt wystąpienia). Z referatu Katarzyny Pietroni reprezentującej Warszawską Operę Kameralną dowiedzieliśmy się nowych szczegółów na temat życia muzycznego w Częstochowie. Pierwszy dzień konferencji zakończyły wystąpienia Moniki Karwaszewskiej z Akademii Muzycznej w Gdańsku oraz Joanny Piszczelok ze Szkoły Muzycznej im. M. Karłowicza w Katowicach na temat muzyki Góreckich – ojca i syna. W dniu drugim poznaliśmy przede wszystkim prace na temat historii muzyki polskiej – grupa autorów reprezentujących częstochowski Instytut Muzyki (Maciej Zagórski, Maryla Renat, Barbara Karaśkiewicz, Katarzyna Suska-Zagórska) zreferowała problemy dotyczące polskiej twórczości XIX i XX wieku (Paderewski, Statkowski, Pankiewicz, polska muzyka skrzypcowa), Hubert Miśka z Instytutu Muzyki UŚ w Cieszynie przypomniał sylwetkę Jana Sztwiertni, Danuta Zoń-Ciuk reprezentująca tę samą instytucję omówiła opracowania muzyki ludowej Stanisława Hadyny, Agnieszka Waśniewska z Akademii Muzycznej w Gdańsku mówiła o twórczości pieśniowej w swoim regionie, a Katarzyna Babulewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego przedstawiła studium na temat kadencji do *Koncertu fortepianowego d-moll* Mozarta. Konferencję zakończył referat Leszka Podolskiego z częstochowskiego



Instytutu Muzyki na temat problemów wykonawczych utworów na orkiestrę dętą. Gościnni gospodarze zapewnili uczestnikom dodatkowe atrakcje w postaci koncertu i zwiedzania Biblioteki Jasnogórskiej.

Śląscy muzycy w Gdańsku

Miło przekonać się „nausznie”, że muzyka śląskich kompozytorów podbija krajowe estrady. Na I Festiwalu Muzyki Współczesnej „Nowe Fale”, który odbywał się w Gdańsku 14–22 listopada wystąpił lubiany katowicki duet fortepianowy Gabriela Szendzielorz-Jungiewicz – Andrzej Jungiewicz. W programie wykonanym częściowo solo przez Gabrielę Szendzielorz, a częściowo przez oboje artystów w duecie, znalazły się m.in. wczesne kompozycje H. M. Góreckiego (*Quasi valse* i *Toccata* na 2 fortepiany) oraz świetnie przyjęte przez publiczność utwory młodych twórców z Katowic: Aleksandra Nowaka (*Green Mary Hill*) i Grzegorza Jurczyka (*Rozproszenia*). O mijającej właśnie piątej rocznicy śmierci H. M. Góreckiego pamiętali też występujący podczas festiwalu muzycy gdańscy. Prowadzony przez Annę Wilczewską Chór Kameralny „441 Hz” rozpoczął swój koncert, inaugurujący imprezę, wykonaniem pieśni *Szeroka woda*, a organową *Kantatę* włączył do programu swego koncertu znakomity gdański wirtuoz Roman Perucki. Ponadto w programie koncertu Chóru „441 Hz” znalazł się utwór Wojciecha Kilara *Apotheosis*, a młody, prężnie działający kwartet smyczkowy grający pod nazwą Neoquartet wykonał *VI Kwartet smyczkowy* Aleksandra Lasonia. Grano także utwory Andrzeja Dziadka – odbyło się m. in. prawykonanie jego nowej pieśni *Koniugacja* do słów Haliny Poświatowskiej, w ramach koncertu poświęconego pamięci poetki, przygotowanego przez grupę artystek z Łodzi pod wodzą pianistki Aleksandry Nawe. Last but not least – odbyła się także premiera nowego utworu orkiestrowego Zenona Kowalowskiego. W wykonaniu Orkiestry Kameralnej Akademii Muzycznej w Gdańsku pod kierownictwem Andrzeja Kacprzaka zabrzmiały uroczę *Pejzaże* – miniatury inspirowane rysunkami wnuczek kompozytora. Koncert akademickiej orkiestry zakończyła ciągle efektowna i świeża *Orawa* Kilara.

Znana publicystka muzyczna Dorota Kozińska w swoim tekście opublikowanym w internecie z wyraźnym żalem określa operę Leoša Janačka „Jenufa” Wielką Nieobecnością, która na polskich scenach zagościła po wojnie zaledwie dwukrotnie: w 1953 roku w Operze Wrocławskiej i ponad pół wieku później, w roku 2004, w Warszawskiej Operze Kameralnej, skąd zresztą – jak pisze red. Kozińska – znikła po kilku zaledwie spektaklach, bez większych szans na wznowienie.

Doliczmy do tego jeszcze trzy przedwojenne inscenizacje: 17 marca 1926 r. w Poznaniu i zaledwie dwa tygodnie później we Lwowie oraz w 1930 r. w Warszawie, które także nie utrzymały się dłużej na naszych scenach – M. Komorowska w książce „Za kurtyną lat” o międzywojennych polskich teatrach operowych i operetkowych ubolewa, że podczas Powszechnej Wystawy Krajowej w 1929 r. w Poznaniu nie udało się pokazać „choć kilku najambitniejszych przedstawień z poprzednich sezonów, w tym Jenufy”.

Aczkolwiek Opera Śląska „swojej” Jenufy nigdy nie zrealizowała, dwukrotnie gościła to dzieło w realizacjach zaprzyjaźnionych śląskich placówek „zza miedzy”. W listopadzie 1958 r. pokazał ją w Bytomiu Divadlo Zdeňka Nejedlého (obecnie noszące imię Antonína Dvořáka) z Ostrawy, a w listopadzie ub. roku Slezské Divadlo z Opawy. Dodajmy do tego kolejne akcenty bytomsko-katowickie. W dawnej inscenizacji ostrawskiej jednym z czterech odtwórców roli *Števy* był tenor Opery Śląskiej Sławomir Żerdzicki i właśnie on wystąpił w tejże roli w Bytomiu. W sławnym nagraniu „Jenufy” dla firmy „Decca” z 1983 r., dyrygowanym przez sir Charlesa Mackerrasę rolę *Lacy*, przyrodniego brata *Števy*, śpiewa Wiesław Ochman, który swą wielką karierę rozpoczął na początku lat 60. w Bytomiu. Notabene i Sławomir Żerdzicki i Wiesław Ochman byli nie tylko śpiewakami Opery Śląskiej, ale w późniejszych okresach swej działalności zawodowej, reżyserowali bytomskie premiery. Do obu „naszych, bytomskich” tenorów i równocześnie reżyserów dodajmy jeszcze odtwórcę roli *Lacy* w warszawskiej przedwojennej premierze z 1930 r. – Adama Dobosza, późniejszego reżysera premiery „Halki” 14 czerwca 1945 r. otwierającej historię Opery Śląskiej. Jak z tego widać wniesiliśmy wyraźny wkład w postacie obu braci: zdecydowanie złego *Števy* i szlachetnego *Lacy* – tak w każdym razie określały go muzykolodzy, a wśród nich autorzy przewodników operowych. Niemniej Dorota Kozińska uważa, że *Laca* aż tak szlachetny nie jest, a jako główny argument cytuje „pełne wzgardy” jego pytanie: *Mam się zaopiekować tym bachorem Števy?* W końcu, jakby nie było, chodzi o bratanek.

Wystawioną po raz pierwszy w 1904 r. w Brnie 12 lat później przed praską premierą Janaček, nakłoniony przez dyrygenta Karla Kovařovica, przerobił, a Kovařovic jeszcze przeinstrumentował i w tej nowej wersji opera była grana aż do czasu rekonstrukcji dokonanej przez Mackerrasę. Być może, w którejś z wersji libretta znajdują się słowa o bachorze, w każdym razie we wspomnianym nagraniu „Decci”, jak i wcześniejszym, z 1977 r. dla „Supraphonu”, dyrygowanym przez Františka Jilka ich nie odnalazłem. *Laca* pyta macochę Jenu-

Po blisko 60. latach druga wizyta „Jenufy” w Bytomiu



Scena z I aktu „Jenufy”. W środku Juraj Nociar w roli Števy

Zdjęcie ze strony internetowej Slezského Divadla z Opawy

Zbrodnia macochy

OPERA

fy – *Kostelníček* (Kościelnice, to przydomek, którym mieszkańcy wsi obdarzyli kobietę opiekującą się miejscową kaplicą): *A já bych si měl sebrat to Štefkovo děcko?* (chyba nie trzeba tłumaczyć tego zdania na polski). Tylko pyta, niczego nie sugerując.

Jednak to pytanie powoduje, że bezgranicznie kochająca swą pasierbicę (oryginalny czeski tytuł opery brzmi *Její pasierbica*) macocha postanawia usunąć przeszkodę, co pozwoli zhańbionej *Jenufie* wrócić do wiejskiej społeczności i zabija noworodka, okłamując pogrążoną wcześniej w gorączce pasierbicę, że w międzyczasie dziecko umarło.

Spektakl opawski okazał się przedstawieniem jak najbardziej rzetelnym, bez jakichkolwiek nowinek i reżyserskich i scenograficznych. Surowe i równocześnie wspaniałe dekoracje pokazują drewnianą ścianę morawskiej chaty, która raz jest zrębem, a innym razem krzyżem, już samą plastyką wskazując, że akcja przebiega w wiejskim środowisku, w którym obowiązuje zakłamaną, dewocyjną moralność. Muzycznie opawskie przedstawienie prezentowało rewelacyjnie wysoki poziom – gdyby go pokazano w cyklu wyświetlanych także w polskich kinach „żywych” transmisji bądź retransmisji z Metropolitan Opera chyba nikt, nie znający dokładniej twarzy nowojorskich chórzystów, czy tancerzy (bo soliści przecież się zmieniają) nie zauważyłby, że to przedstawienie przygotowała nie najsłynniejsza scena świata, ale jakby nie było, teatr prowincjonalny. A skompletowanie dwu świetnych sopranów i dwu tenorów w jednym spektaklu nie jest przecież zadaniem łatwym, o czym dobrze wiedzą dyrektorzy teatrów. W opawskiej „Jenufie” przynajmniej trójka była na najwyższym poziomie: Słowaczka Katarina Jorda, jako *Kościelníčka* i dwoje Morawian – Agneša Vráblová, o ciemniejszej, „mezzosopranowej” barwie, wychowanka sławnego Luciana Pavarottie-

go, w roli tytułowej i Jakub Rousek odtwarzający *Lacę*. Satysfakcję sprawiał również, aczkolwiek już nie taki zachwyty, jak wymieniona trójka, grający *Števu* Juraj Nociar, którego pamiętamy sprzed półtora roku, z poprzedniej wizyty opawian, z operą Dvořáka „Czarta i Kasia”.

Świetnie wypadł także chór, który ma tu dość wdzięczne zadanie, bo akurat jemu przypadły w tej mrocznej operze dwa epizody pozwalające na chwilę oddechu i uśmiechu, oba oparte na muzyce ludowej: wejście rekrutów w akcie I (tu prym wiodą siłą rzeczy chłopcy), jak i scena podczas zaślubin *Jenufy* z *Lacą* w akcie III, w której dziewczęta śpiewają piosenkę „Ej mamko, mamko”.

Podobnie jak w przypadku „Czarta i Kasia” dyrygował Petr Šumník, orkiestra wybornie prezentowała gestą instrumentację swego krajana z częstymi partiami skrzypiec solo, „rodem” z Richarda Straussa, ideału europejskich twórców operowych pierwszej połowy XX wieku.

Notabene twórczość Leoša Janačka mogłaby nam być bliższa choćby dlatego, że w roku premiery „Jenufy” – 1904, zaproponowano mu... dyrykcję warszawskiego konserwatorium. Gdyby podjął ofertę byłby w tej roli poprzednikiem, choć nie bezpośrednim, Karola Szymanowskiego. Pamiętam jak przed laty na jakiejś konferencji prasowej ktoś zaproponował festiwal muzyki Janačka i Szymanowskiego. Polacy, w tym ja także, zachnęliśmy się, chyba głównie dlatego, żeśmy Janačka nie znali. Upłynęło 30, 40 lat. Dziś Janačka już z nagrań znam. Ale „na żywo” z jego muzyką raczej się nie spotykam. Jak napisała Dorota Kozińska w cytowanym już tekście mimo że „grono «janaczekistów» systematycznie się powiększa beznadziejnie zakochanym w *Jenufie* pozostaje jeździć za ulubioną operą po świecie”.

MAREK BRZEŹNIAK

Tomasz Śpiewak – dramaturg, tłumacz, autor adaptacji – to jeden z najbardziej utalentowanych twórców współczesnego polskiego teatru. Widzowie Teatru Zagłębia w Sosnowcu znają go, jako autora głośnej sztuki „Koń, kobieta i kanarek” wyreżyserowanej perfekcyjnie przez Remigiusza Brzyka, nagrodzonej prestiżowym Laurem Konrada Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” w Katowicach (2014 r.). Wcześniej obaj twórcy (R. Brzyk – reżyseria, T. Śpiewak – adaptacja) zawojowali publiczność znakomitym „Korzeńcem” według powieści Zbigniewa Białasa. „Korzeniec” przyniósł Teatrowi Zagłębia godne miejsce w czołówce polskich scen.



„Kariera Romualda S., czyli ile jeszcze decybeli wytrzymasz, zanim nie wytrzymasz.”

Fot. Tomasz Stobierski

Polskie sprawy

TEATR

Trudno się dziwić, że Tomasz Śpiewak postanowił zadebiutować, jako reżyser, właśnie w Sosnowcu. Zrealizował tu własną sztukę „Sala Królestwa”. Jej bohaterami są Świadkowie Jehowy.

Wszyscy ich znamy, bo trudno znaleźć drzwi, do których nie zapukali, ale tak naprawdę kompletnie nas nie interesują ich problemy. Nasz dom upodobał sobie w sposób szczególny, bo ich nie obrażamy, nie zatrzaskujemy drzwi przed nosem, grzecznie tłumaczymy, że wiary ojców nie porzucimy. Tak zostaliśmy wychowani – w szacunku do drugiego człowieka – i nic tego nie zmieni. Tylko jeden raz wyprowadził mnie z równowagi i wcale nie byli tacy pastelowi, jak w sztuce Śpiewaka, byli czarni... Obudzili nas w mroźny świąteczny poranek o świcie. Małżeństwo po trzydziestce z małym, może czterolatnim dzieckiem. Małeństwo z czerwonymi od zimna rączkami jak nakręcone zaczęło deklamować jakiś trudny fragment Pisma Świętego. Na moje pytania o rękawiczki, o czapkę nie reagowali. To była czysta manipulacja, zerwanie na najniższych instynktach. Nie wytrzymałem i powiedziałem, co myślę o takich rodzicach.

Śpiewak z całym szacunkiem stara się ich zrozumieć: – *niech mi pani powie, a można być Świadkiem i nie głosić? – nie można. – a to fajne jest? to głoszenie? – ooo, tak... – serio...? – tak, tak... gdy spotyka się takich ludzi jak pan, to tak. – dziękuję. – przejdźmy na ty. Pokazuje nie tylko ich codzienne życie wśród nierzucających się w oczy ubrań, ale i wyrzucenie ze wspólnoty. Niezwykle bolesne i to z powodu dla nas nie do przyjęcia. No i problem najważniejszy i najbardziej przerażający. Oddają głos autorowi: – *halo? cześć, kochana, co u ciebie? – dwa dni temu zmarła moja siostra. (długa pauza) – wypadek? – nie, po porodzie, nie zgodziła się na przetoczenie krwi. – WTF? – była Świadkiem Jehowy. (długa pauza) – a dziecko? – przeżyło. Tomasz**

Śpiewak nie osądza, nie krytykuje, nie wiesza psów na tym okrucieństwie. On relacjonuje, sygnalizuje, przedstawia, jakby mówił: do was należy ocena. W ten dziwny świat osób posługujących się porażająco ugrzecznonym językiem, sztucznym jak na dzisiejsze czasy, wprowadza postać pełnokrwistą. Istne szaleństwo sprzeciwu i niemocy. Kolejna doskonała rola Doroty Ignatjew (*Pani Dorota*). To dla niej warto się troszeczkę ponudzić w teatrze. W tej jednej scenie aktorka, reżyser i autor wnieśli się na wyżyny sztuki. To jest właśnie teatr – takimi emocjami żadna telewizja ani kino nigdy nas nie obdarzą.

Podsumowując: jest to spektakl ważny, choć budzący bardzo sprzeczne opinie. Sprowokował nawet rodzinną awanturę, której byłem świadkiem. „Sala Królestwa” to sztuka świetnie napisana, wyreżyserowana bez zarzutu i doskonale zagrana. Chociaż, nie z mojej bajki... Oprócz wspomnianej Doroty Ignatjew podobali mi się: Maria Bieńkowska, Beta Deutschman, Edyta Ostojak, Michał Bałaga, Piotr Bułka. Scenografia i kostiumy to ciekawa propozycja znakomitej Anny Met.

Przed wyborami parlamentarnymi na afisz Teatru Zagłębia trafiała „Kariera Romualda S., czyli ile jeszcze decybeli wytrzymasz, zanim nie wytrzymasz” Jana Czaplińskiego. Zaczyna się bardzo śmiesznie, budząc żywiołową reakcję widowni. W telewizyjnym studiu doskonale znane i zgrane do cna dyskusje polityków: *Pan mi przerywa, proszę nie przerywać, ja panu nie przerywałem, kiedy pan mówił...* i tym podobne bzdety, które doskonale znamy, pokrywające kompletną niekompetencję dyskutantów, których jedynym zadaniem jest obrzydzenie i zakrzyczenie przeciwnika. Oczywiście wszyscy mówią jednocześnie – co równie doskonale znamy. Do tego nieustający taniec rąk i nóg według spisanych zasad: ręce splecione w koszyczek, ręce złożone jak do pacie-

na audycję nie wytrzymuje totalnej głupoty dyskutantów z prawa, lewa i centrum i wszystkich wyrzuca ze studia, a sam idzie w politykę i... wygrywa wybory. Czy wreszcie będzie mądrzej i lepiej? Nie będzie! Początkowo jest jakaś nadzieja, ale potem palma odbija... Ludzie są wszak tacy ludzcy, nieprawdaż? Nadzieja zamienia się w faszystowski koszar. Tytułowego *Romualda Szcza* wykreaował Grzegorz Kwas (w każdej chwili scenicznego żywota wyśmienity), Agnieszka Bałaga-Okońska (*Dziennikarka*) straszy, tumani, przeraża... Świetna rola. Maria Bieńkowska (*Polityk Nowej Lewicy*) przeabawna. Tomasz Muszyński (*Polityk PPZSu*) – czujny, choć całkiem pozbawiony własnej oceny rzeczywistości. Aktorstwo, jak zawsze w Teatrze Zagłębia, najwyższe próby: Edyta Ostojak (*Sandra*), Michał Bałaga (*Doradca Premiera 1, Polityk Demokracji Centrum*), Piotr Bułka (*Doradca Premiera 2*) Przemysław Kania (*Szef Kancelarii, Producent Płatków*), Krzysztof Korzeniowski (*Premier RP*). Spektakl wyreżyserował lekko, mistrzowską ręką Piotr Ratajczak. Dramaturgia ruchu to kunsztowne dzieło Arkadiusza Buszko. Mimo pokazanej beznadziei przedstawienie niesie ogromną dozę optymizmu. Kiedyś przecież musi być lepiej.

WITOLD KOCIŃSKI

Tomasz Śpiewak *Sala Królestwa*, reżyseria: Tomasz Śpiewak, scenografia i kostiumy: Anna Met, muzyka: Bartosz Dziadosz, konsultacje wokalne: Ewa Zug. Teatr Zagłębia w Sosnowcu. Prapremiera: 27 czerwca 2015.

Jan Czapliński *Kariera Romualda S., czyli ile jeszcze decybeli wytrzymasz, zanim nie wytrzymasz*, reżyseria: Piotr Ratajczak, scenografia: Matylda Kotlińska, kostiumy: Izabela Wądołowska, dramaturgia ruchu: Arkadiusz Buszko. Teatr Zagłębia w Sosnowcu. Prapremiera: 16 października 2015.



Uroczyste spotkanie z okazji 20-lecia istnienia „Śląska” odbyło się 25 listopada 2015 roku w Sali Parnassos Biblioteki Śląskiej. W części oficjalnej, w imieniu marszałka województwa śląskiego Wojciecha Saługi oraz własnym, głos zabrał Henryk Mercik, członek zarządu województwa śląskiego (na zdjęciu przy mikrofonie)

Świętowaliśmy nasze 20-lecie

Nie po raz pierwszy swoje gościnne progi otworzyła przed „Śląskiem” Biblioteka Śląska. Tym razem była to okazja szczególnie – 20-lecie naszej obecności na rynku wydawniczym.

Odbywając się 25 listopada w Sali Parnassos uroczystość otworzył, witając serdecznie przybyłych gości, prof. dr hab. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej, która jest współwydawcą „Śląska”. Następnie głos zabrał dr Tadeusz Sierny prezes Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, który przybliżył działalność stowarzyszenia oraz ogłosił ukonstytuowanie się Rady Patronackiej Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Śląsk”. Gremium, do którego swój akces złożyli m.in. reprezentanci władz samorządowych śląskich miast i gmin oraz środowiska naukowego, ma być głosem doradczym w sprawach wydawniczych, dystrybucyjnych jak również organizacyjnych i merytorycznych. Prezes Tadeusz Sierny podziękował wszystkim, którzy, mimo rozlicznych obowiązków, złożyli deklarację udziału w pracach Rady Patronackiej.

W dalszej części uroczystości Tadeusz Kijonka – twórca GTL-u i miesięcznika „Śląsk”, a także jego redaktor naczelny od pierwszego numeru aż do końca 2012 roku – wspominał początki działalności GTL-u, przywoływał ważne nazwiska dla literatury na Śląsku, związane z tą organizacją i miesięcznikiem przez wszystkie lata ich istnienia.

Jubileuszowe spotkanie było także okazją do złożenia przede mną podziękowań wszystkim współpracownikom, autorom, czytelnikom, członkom redakcji, którzy zostawili swój ślad w piśmie, a nade wszystko tym, którzy finansowo wspierają pismo. Następnie w imieniu marszałka województwa śląskiego Wojciecha Saługi oraz własnym wystąpił Henryk Mercik, członek zarządu województwa śląskiego.

20-lecie było okazją do uhonorowania przez Górnos Śląskie Towarzystwo Literackie i redakcję miesięcznika „Śląsk” tytułem *Amicus Silesiae – Przyjaciel „Śląska”* tegorocznych laureatów, którymi zostali: Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu im. G. Daniłowskiego, Muzeum Historii Katowic, Miasto Rybnik,

Śląski Związek Gmin i Powiatów oraz Piotr Zaczekowski – dyrektor Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów. Symboliczną, dedykowaną grafiką, podziękowaliśmy za wspieranie pisma i promowanie „Śląska”.

Z okazji jubileuszu nadeszło wiele gratulacji. W liście pisał Marka Wójcicka czytamy: „Na szczególnie podkreślenie zasługuje wkład pisma w debatę na tematy związane z historią i sprawami społecznymi naszego regionu, a także dbałość o najwyższy poziom każdego kolejnego numeru”. Dobre życzenia na przyszłość dla redakcji i wydawcy przekazali także: Wojciech Saługa – marszałek województwa śląskiego, Andrzej Buła – marszałek województwa opolskiego, Marcin Krupa – prezydent Katowic, który podkreślił, że „Poruszaną przez Państwa problematyka pozostają dociekania skoncentrowane na tożsamości śląskiej oraz perspektywach regionu, co niezwykle cenię. Przez ostatnie lata ukazują Państwo Śląsk zdumiewający swoją niespodziewaną różnorodnością”. Ciepłe słowa skierowali do nas także: Piotr Kuczera – prezydent Rybnika, Tadeusz Donocik – prezes zarządu Regionalnej Izby Gospodarczej, prof. Mirosław Jacek Błaszczak – dyrektor Filharmonii Śląskiej, prof. dr hab. Jan Miodek,



Wojtek Luka, prof. Marian Kisiel, który podczas jubileuszu wystąpił w roli prowadzącego spotkanie i Wiesława Konopelska – z pierwszego składu redakcji „Śląska”, tylko 20 lat później...

Rada Patronacka Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego „Śląsk”

**Prof. dr hab. KRYSZYNA
DOKTOROWICZ**

Dziekan Wydziału Radia i Telewizji
im. K. Kieślowskiego Uniwersytetu
Śląskiego w Katowicach

WIESŁAW JANISZEWSKI
Burmistrz Gminy

i Miasta Czerwionka Leszczyny
Prof. dr hab. MARIAN KISIEL

Wiceprezes zarządu Górnos Śląskiego
Towarzystwa Literackiego w Katowicach

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna miesięcznika
społeczno-kulturalnego „Śląsk”

DAWID KOSTEMPSKI

Prezydent Miasta Świętochłowic
PIOTR KUCZERA

Prezydent Miasta Rybnika
TOMASZ KOWALSKI

Prezes zarządu Ekoenergia Silesia SA
Katowice

RENATA LUCZAK

Sekretarz Miasta Piekary Śląskie

Prof. dr hab. JAN MALICKI

Dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach
DARIUSZ SKRÓBOL

Burmistrz Pszczyny

Dr TADEUSZ SIERNY

Prezes zarządu Górnos Śląskiego Towarzystwa
Literackiego w Katowicach

EDYTA SYTNIIEWSKA

Naczelnik Wydziału Kultury
Urzędu Miasta Katowice

Prof. dr hab. GRAŻYNA B. SZEWCZYK

Wiceprezes zarządu Górnos Śląskiego
Towarzystwa Literackiego w Katowicach

MALGORZATA MAŃKA SZULIK

Prezydent Miasta Zabrze

prof. WST dr hab. Andrzej Grzybowski – rektor Wyższej Szkoły Technicznej w Katowicach, Adam Pastuch – dyrektor Regionalnego Ośrodka Kultury i Krzysztof Karwat – redaktor naczelny kwartalnika *Fabryka Silesia*, a także Aleksander Spyra kustosz Muzeum Prasy Śląskiej i Grzegorz Cempura prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej. Bardzo dziękujemy!

Podziękowania kierujemy także do wszystkich, których mogliśmy gościć podczas jubileuszowego spotkania, oraz do tych, którzy nie mogli tego dnia być z nami, ale ich myśli kierowały się w naszą stronę. Dziękujemy zatem za obecność i za pamięć, za wszystkie serdeczne słowa i życzenia jaśniejszej przyszłości dla miesięcznika.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Laureaci tytułu
AMICUS SILESIAE – PRZYJACIEL „ŚLĄSKA” 2015



Tadeusz Kijonka w rozmowie z Martą Fox i Danutą Lubiną-Cipińską (w środku)



Abp senior Damian Zimoń z uwagą słucha Grzegorza Grzegorka



Są naszymi autorami od lat (od lewej): Agnieszka Sikora, Dagmara Drzazga i Janusz Wójcik.



Nad „Śląskiem” pochylają się (od lewej): prof. Józef Stempel, Józef Wróbel i Bogdan Kulański



Zawsze zaczytana Katarzyna Bereta – szefowa Działu krytyki literackiej „Śląska”



Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu – nagrodę odebrała dyrektor Elwira Kabat-Georgijewa



Nagrodę dla Muzeum Historii Katowic odebrał dyrektor dr Jacek Siebel



Nagroda dla Piotra Zaczekowskiego, dyrektora Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów



Prezydent Piotr Kuczera odebrał nagrodę dla Miasta Rybnik



Dyrektor dr Ferdynand Morski odebrał z rąk prezesa GTL dr. Tadeusza Siernego nagrodę dla Śląskiego Związku Gmin i Powiatów

Fot: Monika Wieczorek

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Stanisław i Halina Niciejowie na ławeczce przed słynną „Niciejówką” w Pępicach, gdzie gościli wielu luminarzy polskiej nauki i kultury, tam powstają kolejne tomy „Kresowej Atlantydy”



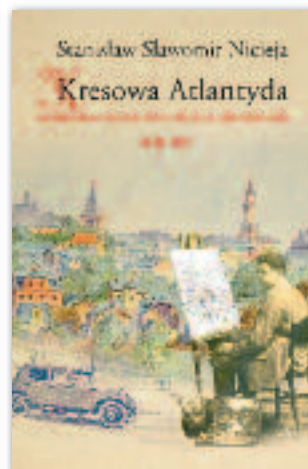
Profesor Stanisław Sławomir Nicieja – autor serii „Kresowa Atlantyda” i wydawca Bogusław Szybkowski podczas uroczystości wręczenia Nagrody KLIO na Zamku Królewskim w Warszawie



Nagroda KLIO dla „Kresowej Atlantydy”

Profesor Stanisław Sławomir Nicieja i wydawca Bogusław Szybkowski (Wydawnictwo MS Opole), zostali uhonorowani Nagrodą KLIO (zwaną polskim Noblem dla historyków) za serię „Kresowa Atlantyda – historia i mitologia miast kresowych”, wielotomowe dzieło ocalające od zapomnienia dzieje blisko 200 miast II Rzeczypospolitej, które pozostały za wschodnią granicą Polski po drugiej wojnie światowej. Do tegorocznej edycji Nagrody, przyznawanej przez Porozumienie Wydawców Książki Historycznej, nominowano 160 publikacji z ostatnich dwóch lat na rynku wydawniczym. Opolanie odebrali laury na Zamku Królewskim w Warszawie podczas Targów Książki Historycznej.

Obecnie ukazał się VII tom „Kresowej Atlantydy”, przedstawiający świat przemysłowców naftowych i artystów Drohobycza oraz Turkę – stolicę Bojków i Sławsko – „Bieszczadzkie Zakopane”. Dzieło Profesora już dawno przekroczyło wymiar literacki i stanowi dziś ogólnopolski fenomen społeczno-kulturowy, związany z przywracaniem pamięci kresowej, stanowiącej sumę biografii kresowych rodzin, zarówno znanych jak i zapomnianych na kartach historii. Na spotkania prezentujące tomy „Kresowej Atlantydy”, do sal metropolii i do wiejskich świetlic przychodzą tłumy czytelników, przynosząc rodzinne pamiątki i opowieści. W domu Państwa Niciejów powiększa się prywatne archiwum kresowe – tysiące zdjęć, dokumentów, teczek, filmów i listów, które niemal codziennie napływają z kraju i zagranicy. Nieodżałowany piewca Lwowa Jerzy Janicki, nazywając niegdyś Stanisława S. Nicieję „najmłodszym dzieckiem miasta Lwowa”, przekazał autorowi „Kresowej Atlantydy” przesłanie, aby ocalił rozbity witraż kresowej pamięci. Opolscy laureaci Nagrody KLIO pracują intensywnie, aby wypełnić zobowiązanie: powstają już kolejne tomy kresowej opowieści od Wołynia po Wileńszczyznę, ukazujące dzieje miejscowości i ludzi współtworzących fascynujące dzieje dawnej i współczesnej Rzeczypospolitej. jiw





ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK



Daniel Kadłubiec z Janem Miodkiem w Beskidzie Śląskim.

Fot.: Teresa Miodkówna

W październiku podczas uroczystej gali w Katowicach zaszczytny tytuł Ambasadora Polszczyzny poza Granicami Kraju za upowszechnianie i kultywowanie języka polskiego w środowisku Polaków na Zaolziu otrzymał jakże zasłużenie prof. Daniel Kadłubiec. Nie zapomnę do końca życia pierwszego spotkania z tym niezwykłym człowiekiem, prawdziwym guru zaolziańskich Polaków. Było to na granicznym moście w Cieszynie w kwietniu 1989 roku. To głównie za sprawą Daniela zakochałem się w tym zakątku Europy i jeżdżę tam co rok, co dwa lata, wracając zawsze do Wrocławia z sercem wypełnionym najcieplejszymi uczuciami wobec mieszkańców tego regionu i ich pięknej mowy.

Urodzony w Karpętnej, rodzinnej miejscowości także Stanisława Hadyny, wie prof. Kadłubiec o historii, folklorze i gwarach tej ziemi wszystko. A najbardziej ujmuje mnie w nim to, że widzi w tych ostatnich przede wszystkim staropolszczyznę, mowę Rejów i Kochanowskich, jak często się określa metaforycznie wszystkie śląskie gwary. Temu właśnie aspektowi gwar cieszyńskich poświęcił ostatnią swoją pracę, którą mogłem przeczytać jeszcze w fazie redakcyjnej. To prawdziwa kopalnia wiadomości o staropolszczyznach w mowie Cieszyniaków!

Oto na przykład stajemy przed *Wysznią Broną* w Cieszynie i Jabłonkowie. I mamy tutaj pierwotną *bronę*, która dopiero z czasem – pod wpływem czeskiego brzmienia *brana* – przekształciła się w języku ogólnym w *bramę*. Ale jeszcze Jan Kochanowski (1530-1584) pisał: „Puściły żelazne brony”.

Pierwotną, prapolską samogłoskę „o”, a nie wtórne „a”, słyszy się też na Śląsku Cieszyńskim w przymiotniku *włośny* (np. *włośny brat*; por. także nazwisko historycznej postaci – Piotra *Włosta*), który pod wpływem czeskiej postaci *wlastni* w polszczyźnie ogólniejącej przyjął postać *własny*.

Utrzymują się prymarne brzmienia *trzep* i *trześnia*, choć pod wpływem języków wschodniosłowiańskich mamy od dawna *czerep*, *czereśnię* oraz – dopowiedzmy – *czerechę*, a nie dawną *trzechę* (ślądem pierwotnego kształtu tych wyrazów są nazwy miejscowe: *Trześń* i *Trzemeszno*).

Daniela Kadłubca śląszczyzna cieszyńska

Doprowadzili Cieszyniaci w swojej mowie do prawidłowego przejścia „e” w „o” lub „a” przed „s” (na mocy tzw. przegłosu polskiego) w formach *czosać* „czesać”, *krzosać* „krzesać” i *krzasło* „krzesło”, utrzymali natomiast prymarne „e” w słowach *Pieter* „Piotr” i *mieśla* „miotła”.

Jak wszyscy Ślązacy dawne długo wymawiane „a” realizują dziś jak „o” – przed „m” zbliżone w wymowie do „u”: *zómek* „zamek”, *sóm* „sam”, *znóm* „znam”, *trowa* „trawa”, *ptok* „ptak”, *znosz* „znasz”, *bystro* „bystra”, *wysoko* „wysoka”, dawne zaś długie „e” – jak „y”: *mlyko* „mleko”, *łyżć* „leżć”, *plyść* „pleść”.

Rzeczownik *ojciec* to pierwotny *ociec* (jeszcze Jan Kochanowski pisał w „Odprawie posłów greckich”: „Będzieli chciał nieszczęsny ociec pochować?”) – w przypadkach zależnych: *oćca*, *oćcu*, *oćca*, *oćcem*, *o oćcu*, *oćcze!* Ponieważ grupy głoskowe *ćc*, *dźc* zmieniły się ostatecznie w *jc* (*zdradźca*, bo *zradził* – *rajca*), w odmianie wyrazu *ociec* – od dopełniacza do wołacza – pojawiły się warunki do powstania wtórnej zbitki spółgłoskowej *jc*: *ojca*, *ojcu*, *ojca*, *ojcem*, *o ojcu*, *ojcze!* W efekcie – zgodnie z tendencją do wyrównania postaci tematu fleksyjnego – wtórne „j” pojawiło się i utrzymało na dobre w pierwszym przypadku. Tak powstał nasz *ojciec*. Cieszyniaci – zwłaszcza w gwarach jabłonkowskich – często realizują brzmienie bez „j” i mówią *lociec*, *bez loćca*, a nie *ojciec*, *bez ojca*.

Wierni też są staropolskim brzmieniom *tesknić*, *tesknota* – z ustnym „e”, a nie wtórnym nosowym „ę” – dziś obowiązującym w polszczyźnie literackiej (przywołajmy znów Jana Kochanowskiego i fragment jego „Satyra albo Dzikiego Męża”: „A mnie tymczasem trapi teskność ustawiczna”;

w nim też mamy dawną *teskność*, a nie późniejszą *tęskność*).

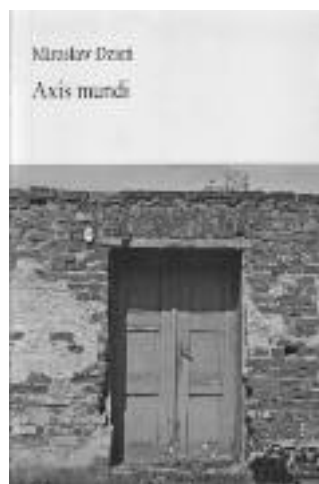
W języku ogólnym – pod wpływem fonetyki czeskiej – pierwotne brzmienia *wiesioły*, *wiesieli*, *wiesiele* przekształciły się w *wesoły*, *weseli*, *wesele*. A na Śląsku Cieszyńskim słyszy się do dziś staropolskie postaci *wiesioły*, *wiesieli*, *wiesiele* – tak jak *czyrwiony*, a nie *czerwony* oraz *gańba*, *gańbić się*, *gańbliwy* – z dawnym „g”, a nie wtórnym „h”.

Mamy też znane na większości terenów Śląska *zdradźło* „lustro” i *zdródło*, czyli „źródło”, tak jak utrzymują się prymarne postaci *mniszy*, *Czeszy*, *Włoszy*, *naszy*, *waszy* – w polszczyźnie ogólnej stosunkowo niedawno temu zmienione na *mnisi*, *Cze-si*, *Włosi*, *nasi*, *wasi*.

Dawny biernik rzeczowników żywotnych tak jak nieżywotnych równy mianownikowi mamy w zwrocie *wyjjść* (*wychodzić*) *za mąż* (bo poza nim mamy już czwarty przypadek równy drugiemu: *krzyć się za męża*, *ręczyć za męża*, *odpowiadać za męża*). Cieszyniaci do dziś powiedzą: *na Świynty Jón*, *na Świynty Michoł*, *modlić się do Pón Jezus*, czyli „na Świętego Jana, na Świętego Michała, modlić się do Pana Jezusa”.

Jak większość Ślązaków wierni są też końcówce „-e” dopełniacza liczby pojedynczej rzeczowników rodzaju żeńskiego: *ze studnie*, *z Olze*, *nie boł sie burze* „ze studni, z Olzy, nie bał się burzy” (u Kochanowskiego: „Nie chcę ją być tej krwi winien”).

Po każdej wizycie po obu stronach Olzy najdłużej zostają mi jednak w pamięci typowe dla tamtego regionu konstrukcje typu *widzym krowym*, *koszmy łonkym*, *zbiyromy trowym* – „widzę krowę, kosimy łąkę, zbieramy trawę”, którym odpowiadają, idąc na północ, warianty *widza krowa*, *koszmy łąka*, *zbiyromy trowa*, a na Śląsku Opolskim – formy z wygłosowym „a nosowym”.



Wróble nie czytają filozofów

KSIĄŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK

Już tytuł zbioru wierszy Mirosława Dnia *Axis mundi* narzuca sposób ich interpretacji. Nie sposób bowiem nie zauważyć, jak istotne dla poety jest poszukiwanie tytułowej osi świata. Autor pragnie w tym mitycznym, najbardziej stabilnym elemencie Wszechświata, nawiązać kontakt z zatrzymanymi na kosmicznej osi przeszłością i przyszłością. Od tego najświętszego – według wielu mniej lub bardziej barbarzyńskich wierzeń – miejsca zamierza stworzyć od nowa świat bardziej doskonały i przez to bliższy jemu i innym ludziom. Nie dziwi zatem apel zawarty w tytułowym wierszu o ponowne wymyślenie świata, bo tylko tyle może zdziałać poeta – stworzyć nowe pojmowanie zastanego świata. Z pewnością przypadkiem też nie jest, iż autor rozpoczyna poszukiwania kosmicznej osi od miejsc świętych w tradycji judeochrześcijańskiej. I niestety nie udaje mu się uniknąć sztafpowego wierszowania.

Tak się już jakoś bowiem ułożyło w dziejach literatury najnowszej, że jeżeli jakikolwiek współczesny poeta polski wybrał się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, to nie był to zwykły turystyczny wyjazd. Na pewno towarzyszyła mu myśl, żeby przynajmniej raz w życiu zmierzyć się z religijnym i kulturowym balastem niesionym przez wersety Pisma Świętego w miejscach jego napisania. Jeżeli przy okazji narodziły się w głowie poety mniej lub bardziej okolicznościowe wiersze, to wyprawę można uznać za udaną. Nie sposób uciec od takich refleksji po przeczytaniu kilku pierwszych wierszy zamieszczonych w tomiku *Axis mundi*, których autor na co dzień jest profesorem Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej, a od święta także poetą i krytykiem literackim.

Zaskoczeniem zatem jest to, że teksty napisane w Betlejem i Jerozolimie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, przypominają wierszowane zapiski turysty z cyfrowym aparatem w ręce. Poeta opisuje arabskich chłopców noszących walizki hotelowym gościom, izraelskich żołnierzy i wszechobecne sterty śmieci zalegające święte miasta. Nie byłby jednak pielgrzymem, gdyby nie narodziła się w nim historiozoficzna i metafizyczna refleksja. Wówczas w krótkich, jakby przytkowych strofach, pojawiają się obrazy Dawidowego miasta kamieni, bazyliki Grobu Pańskiego. I wtedy poeta staje się nie tylko poszukiwaczem powierzchownych wrażeń, stara się dotrzeć – niekoniecznie w sposób odkrywczy – do głę-

bi i istoty religijności, którą odnajduje w „nieskończonym życiu wiernych”.

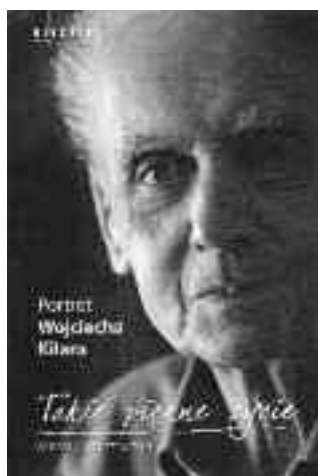
I chociaż w tomiku znalazło się zaledwie kilka niezbyt obszernych wierszy z peregrynacji autora po Palestynie, widać wyraźnie wpływ, jaki wywarły na tematykę pozostałych zamieszczonych w zbiorze tekstów, które skazane zostały poszukiwaniem własnego transcendentnego – umykającego zmysłom – skończonego jednak istnienia. Stąd biorą się ciągle prośby podmiotu lirycznego: „Zaznacz ten punkt, miejsce... Zaznacz swoje imię... To odcisnie niezatarty, twój jedynie, ślad”. Tej żarliwej chęci określenia własnego miejsca we wszechświecie myśli i idei towarzyszy zamiar utworzenia od nowa świata prawd moralnych: „Wymyślić świat od nowa... Dodać ludziom więcej rozumu zamiast gniewu i wyzwolić z jaskini ich Ducha”.

Tak wyraźna ochota na tworzenie nowych ludzkich struktur etycznych rzuca poetę w objęcia filozoficznych pojęć. W jego wierszach pobrzmiewają nawiązania do myśli Kanta o prawie moralnym w nas, ale nie brak i aluzji do mesjanistycznego piśmiennictwa Adama Mickiewicza, którego poetyckie słowa żyją – jak i on sam – „póki będą czytani”. Właśnie to przeświadczenie, iż to jednak w człowieku, jego myśli i duszy, zwłaszcza pamięci, przetrwa kultura, cywilizacja oraz religia, zdaje się dominować w tomiku Mirosława Dnia *Axis mundi*.

Narzucenie sobie takiej szerokiej perspektywy widzenia świata wpływa także na sposób jego ukazywania. Poeta lubuje się pod tym względem w kontrastach. Na przemian jego uwagę zaprzatają rzeczy bliskie naszemu życiu: „kolce dzikiej róży... chmury... pestki, śnieg, słońce, kamyki”. Opisuje pospolite codziennie widywane scenki, jak: „dwie śliczne prostytutki koło drogi / szybkiego ruchu. Jedna z nich (czarna) wsiadła do żółtego samochodu...” oraz nieoczekiwane żongluje górnolotnymi pojęciami: „Między ścianami labiryntu, gdzie światło / już oddało życie i tylko zapomnianych / imion dywan został – historia w skórze przechadza się”. Sięga także po motywy czterech żywiołów i związane z tym teorie wolnomyślicieli. Jednak rozważania kończy – jak choćby w wierszu *Poznanie ognia* – na pogodzeniu się z chrześcijańskim światopoglądem, co wyraża w aluzyjnej, pełnej boskich sprzeczności, puencie: „Nic nie wiemy o ogniu poza krótką wzmianką / Jana Chrzciciela... że poprowadzi nas wąską ścieżką / do źródła wody tryskającej z płomieni życia”.

Zmiana autorskiej optyki ma także wpływ na sposób poezjowania. Poeta na przemian posługuje się konkretnymi, prostymi epitetami, surowym językiem sprozaizowanym nadmiernie, aby w kolejnym wierszu sięgnąć po pulchrywystyczne metafory mocno wysterylizowane z doczesności językowej. Dwojakość tych wierszy aż nadto rzuca się w oczy, jakby autorowi zabrakło konsekwencji w dotrzymaniu wierności jednej poetyce, jakby zapomniał o istnieniu przeciwstawnych nurtów poetyckich, których nie da się pogodzić i będą jak mieszanie krwi z wodą albo światła z ciemnością. Chyba że właśnie takie łączenie sprzeczności przyświecało poecie, to przyznać trzeba, że udało mu się to pierwszorzędnie – ku zaskoczeniu czytelnika. Uwidacznia się to rozdwojenie twórcze poety i w wyborze rozmiarów wierszy. Raz są to przydługawe poematy, innym razem zaledwie kilkuwersowe teksty, jakby migawki zakończony – zazwyczaj udaną – puentą. Dlatego najbardziej podobać się może – i wart jest zapamiętania jako motto oprowadzające po tekstach Mirosława Dnia – fragment wiersza *Światy, które powstają*, poświęcony pospolitemu wróblowi w ogrodzie: „Ptaszek nie czytał filozofów i nie zna / kantowskich kategorii, a jednak w spokoju / jego drobnych skrzydeł trwa / wiedza o tym, co niezniszczalne”.

Mirosław Dzień: *Axis mundi*. Sopot 2014, ss. 112.



Portret Wojciecha Kilara

KSIĄŻKI

WIESŁAWA KONOPELSKA

Kluczem do próby stworzenia przez Barbarę Gruszkę-Zych portretu Wojciecha Kilara było zapewne pytanie, a właściwie refleksja, wypowiedziana przez kompozytora podczas jednej z przeprowadzanych przez autorkę książki rozmów: „Nie wiem, dlaczego to mnie właśnie spotkało takie piękne życie”. Wszystko, co zawarte zostało w kolejnych rozdziałach książki wydaje się być nanizowaniem na nitkę paciorków, przy czym tylko pozornie każdy z nich jest inną opowieścią. Paciorki to bardzo różnorodne osoby, z którymi Wojciech Kilar był związany: począwszy od tej najbliższej – ukochanej ponad wszystko żony Barbary, poprzez krąg licznych przyjaciół aż po pielęgniarkę, która opiekowała się kompozytorem w ostatnich dniach życia. Każde zanotowane zdanie, fragmenty rozmów, obserwacje, przybliżają postać Wojciecha Kilara, ale nie odsłaniają jego skomplikowanej osobowości. Dwie natury, które toczyły jakąś wewnętrzną walkę w nim samym, w pewnym momencie życia, w chwili wyboru drogi „ku świętości” stopiły się w jedno. I nie dokonało się to na drodze prostego wyboru, czy postanowienia zmiany, ale olśnienia, przejścia na drugą stronę lustra.

Czytając kolejne rozdziały książki zarówno autorka, jak i czytelnik zdają się zadawać nieustannie pytanie: jaki był Wojciech Kilar – jako człowiek, przyjaciel, kompozytor, dusza towarzystwa, obywatel świata, znawca poezji, miłośnik kotów, ale też wielkiej religijności wędrowiec jasnogórski, nie rozstający się z różańcem, wpatrzony w obraz Maryi. I im dalej w książkę, tym bardziej zamiast uzyskiwania odpowiedzi na pytania, brniemy w nieznanne.

Barbara Gruska-Zych – dziennikarka, reportażystka, ale przede wszystkim poetka, знаła Wojciecha Kilara przez dwadzieścia lat – rozmawiała z nim, słuchała, czasem prowokowała do takich czy innych wypowiedzi. Ale w rozmowach z Kompozytorem to właśnie jej wrażliwość poetki była przed skrupulatnością dziennikarską – bo fakty i słowa można zapisać, zdokumentować, ale trzeci wymiar rozmowy, czasem sprowadzający się do milczenia, zastanowienia, odczytania intencji zawartych pomiędzy słowami, w gestach, spojrzeniach – do tego potrzebne jest innego rodzaju porozumienie.

Rozmowy o poezji, malarstwie i muzyce nie sprowadzały się do pytania i odpowiedzi, a raczej do porównywania własnych upodobań, do formułowania myśli o tym, co sztuka może dać człowiekowi i po co ona w ogóle jest. Chociaż, jak powiada w jed-

nym z rozdziałów Kilar: „Społeczeństwo mogłoby się doskonale obejść bez artystów”, a muzyka „jest na drugim miejscu, najważniejsze jest życie” – to samo życie, które go tak pociągało, z którego czerpał pełnymi garściami, które – dzięki talentowi – otwierało przed nim drzwi na cały świat. Korzystał z tych otwartych drzwi. W jaki sposób? Opowiada o tym grono jego przyjaciół – ludzie różnych profesji: prof. Andrzej Jasiński, Krzysztof Zanussi, dr Jacek Bera, ks. Jarosław Paszkot, prof. Mirosław Jacek Błaszczyk, Marek Moś, prof. Stanisław Woś, prof. Marian Zembala, prof. Edward Wylęgała, Joanna Wnuk-Nazarowa, Elżbieta Grocholska-Zanussi i wielu innych. Osobną kartę w życiu Wojciecha i Barbary Kilarów zapisał Wojciech Krajewski i jego żona – przyjaciele, prawie domownicy, oddani Kompozytorowi do końca. Skoro więc tak różne osoby dzieliły się opowieściami, dowcipami i refleksjami o Wojciechu Kilarze, więc i kreślony portret stawał się coraz bogatszy w różnorodne niuansy i odcienie. Wplatają się w te zanotowane kwestie bardzo osobiste spostrzeżenia autorki, wielokrotnie odwiedzającej Kompozytora w jego mateczniku – domu przy ulicy Kościuszki w Katowicach, czasem przelotne spotykającej go w miejscach najzwyklejszych – w sklepie, przy okazji koncertów czy innych uroczystości, od których zresztą konsekwentnie stronił.

Prowadzi więc Barbara Gruska-Zych czytelnika poprzez życiowe meandry „swojego” Kilara, odsłaniając kolejne obrazy – od postaci do postaci, od jednego napisanego dzieła do kolejnego, od wierszy Petrarke i ks. Twardowskiego do prozy Iwaszkiewicza, przez Biblię, Psalm, do ulubionego malarstwa Vermera, od Bacha, Monteverdiego do Szymanowskiego i Ravela. I nie mogło w łańcuchu opowieści zabraknąć zasadniczego z paciorków: fascynacji filmem. Gigantyczny dorobek – największe dzieła polskiego kina i znakomite obrazy kina hollywoodzkiego. Muzykę do „Draculi” cenil najwyższ, bo reszta jakoś sama przychodziła. Funkcjonował więc i w obszarze muzyki w dwóch światach: muzyka filmowa i muzyka ta prawdziwa, zwana klasyczną. To znów dwa oblicza tego kompozytora. Barbara Gruska-Zych porównuje Kilara do św. Augustyna, a Krzysztof Zanussi mówi o „uosobieniu sprzeczności: wyrafinowany hedonista, a zarazem asceta”, który „Z jednej strony był próżny, a z drugiej przejawiał kompletną obojętność dla dóbr świata. Kochał drogie przedmioty i restauracje, ale też z wewnętrznej potrzeby oddawał pieniądze potrzebującym”. Ta Kilarowa bezinteresowność nie była na pokaz, wręcz niewiele osób o niej wiedziało, a ci co wiedzieli, nie opowiadali o niej.

Niezwykle ważną częścią książki jest rozdział o Katowicach – miejscu, obok Lwowa najważniejszym dla Kilara. Do rangi anegdoty urosła odpowiedź Kilara na pytanie zadane w Hollywood: co trzeba robić, żeby stworzyć tak świetne twory, odpowiedział, że wystarczy mieszkać w Katowicach. I w tym zdaniu mieściła się wielka fascynacja Śląskiem, ludźmi tu mieszkającymi, ich oddaniu pracy, rzetelności i prostocie – bo tę, obok prawdy cenil najbardziej.

I wreszcie ostatni rozdział opowiadający o śmierci Wojciecha Kilara w niedzielę Świętej Rodziny, 29 grudnia 2013 roku – przejmujący, bo dotyczący dramatycznego odchodzenia. Niezwykle, szczerze, bolesne zdania wypowiedziane przez najbliższych – Izabelę Pomianowską, pielęgniarkę Małgorzatę Śniadkowską i Wojciecha Krajewskiego, który – jak pisze autorka – nie wstydząc się łez, odpowiada na jej pytanie: „- Płakał pan? – „Wylem...”

Portret Wojciecha Kilara malowany słowem przez Barbarę Gruszkę-Zych jest jak zdjęcie opublikowane na okładce: na wpół rozjaśnione, na wpół ukryte w cieniu. Jest w nim i cisza, którą kochał na równi z życiem szalonym, i kontemplacja idąca w parze z wybuchowym charakterem, asceza krocząca obok wyrafinowanego gustu i potrzeby luksusu, jest dostrzeżenie zwyczajnego piękna, ale podanego w wysublimowanej formie.

Czy ostatnie zdanie książki jest jak ostatnie położenie śladu pędzla na płótnie, jak ostatni wyraz w ostatnim wersie wiersza? Zapewne nie, to zaledwie „dotyk piękna” w jego ziemskim i duchowym wymiarze.



Detektyw po przejściach

KSIĄŻKI

RYSZARD BEDNARCYK

Przynajmniej jeden trup pada w każdym z opowiadań Leszka Girtlera, które znalazły się w jego najnowszym zbiorze zatytułowanym *Miejsca rozstań i powrotów*. Jednak trudno – pomimo z lekką sensacyjnej akcji – uznać jakiegokolwiek z nich za tradycyjną nowelę detektywistyczną. Może jedynie pierwsze pt. *Przystanek Jamajka* ma charakter, ze względu na tematykę, a także swój przydługawy rozmiar, mikropowieści policyjnej. Główny bohater Jerzy, po powrocie po latach do Stanów Zjednoczonych na pogrzeb żony, wplątuje się – z powodu córki – w terrorystyczną intrygę ze służbami specjalnymi w tle. Niczym wprawny detektyw odkrywa tajemnicę tragicznej śmierci żony oraz przy pomocy amerykańskiej policji prawdziwą twarz córki, która zginęła w zamachu terrorystycznym.

Zaklasyfikowaniu *Przystanku Jamajka* do ściśle rozrywkowego gatunku sensacyjnej literatury przeczą jednak refleksje narratora oraz obyczajowa otoczka kryminalnej akcji. Najwyraźniej widać, że celem pisarza wcale nie jest zaprezentowanie tylko ludycznej sprawności w konstruowaniu zagadkowej intrygi detektywistycznej. Bardziej przyświeca mu idea rozliczeń z wydarzeniami z przeszłości. Chodzi raczej o ukazanie zawiłości osobistego życia małżeńskiego bohatera. Na pierwszy plan wysuwa się kwestia niedopasowania psychicznego kobiety i mężczyzny. Wreszcie opisy bolesnych przeżyć związanych z niestałością uczuć i zdradą małżeńską. W narracji wyczuwalny jest nastrój rozczarowania i zniechęcenia dotychczasowym życiem, ale i ochota na zerwanie z przeszłością i rozpoczęcie nowej – być może lepszej – egzystencji. Niekoniecznie u boku kobiety. Zatem sensacyjne wydarzenia zdają się zaledwie tłem dla psychologizowania, chociaż fragmentami przytłaczane bywają przez nadmiar kryminalizacji, przez co umyka główny cel narracji.

W podobny sposób skonstruowane jest opowiadanie *Park za żelazną bramą*. Z tym że sensacyjna zagadka ukryta jest w fabule gęstej od rodzinnych zawiłości. Główny bohater Klammer poznaje – dzięki przypadkowemu poznaniu Alicji, którą miał uczyć języka niemieckiego – zagmatwane tajemnice rodzinne z czasów okupacji. Wojenna przeszłość rzuca cień nawet na współczesne losy, gmatwając je niepomierne. Odkrywanie niezbyt chlubnych powiązań rodziców z partyzantką i okupantami następuje równocześnie z poznawaniem ich intymnych sekretów. Ważna jest również ocena moralna

kolaboracji z Niemcami czy ludobójstwa. Pisarz wprost nie ocenia czynów Klary Shrank i wuja Mariana, potępienie wyrażone jest raczej poprzez niedomówienie w opisie, jakby pisarz pragnął zmusić do osądu czytelników jego prozy.

Opowiadanie *Targ na Jagielly* zaczyna się od wykorzystania schematu znanego z teatru. Podobnie jak strzelba widoczna na scenie w pierwszym akcie wypala sztucer oglądany na zdjęciu przez głównego bohatera Wajdera. Ale nowela ma niewiele wspólnego ze schematem rodem z kryminału. Chociaż główny bohater ginie w teatralny sposób: syn sąsiadki zabija go po powrocie z Australii za uwiedzenie żony. Jednak utwór ma raczej charakter narracji o poszukiwaniu w życiu szczęścia w miłości. Roztrząsa autor problematykę uczuciowego spełnienia, niedającego się pogodzić z życiowym rozsądkiem i finansowym dostatkiem. Poza tym odnieść można wrażenie, że zastrzelenie Wajdera to kara za ingerencję w osobiste życie i poznanie rodzinnych układów pomiędzy matką, żoną i synem-emigrantem.

Taka niejednoznaczność w interpretowaniu motywacji postępowania postaci dostrzegalna jest także w pozostałych utworach Girtlera. Nawet w tematycznie nietypowym opowiadaniu *Bank nieuczciwości*, bo poświęconym machlojkom w firmie badawczej. Zresztą mamy tu do czynienia z czarno-białym schematem, wręcz kalką z moralizatorskich przypowieści. Kryształowo czyści są Tarkowa, Kotowski i główna postać Bielecki. Natomiast szwarczarakterem jest Necket, tajemniczy szef firmy, za którym stoją nieznane ciemne siły. Na trop afery badawczej i walki między dobrym a złym wpada Bielecki w specyficznym momencie przenosin Banku Zasobów do nowego budynku. Odkrywa, że fałszowanie danych miało przynieść nielegalny zysk Necketowi. I to odkrycie prowadzi go do śmierci. Trzeba przyznać, że w tym opowiadaniu pisarz udanie bawi się literackimi konwencjami, nie wdając się w prawdopodobieństwo psychologiczne bohaterów oraz sytuacji. Ważna jest wartka akcja i zagadkowe zakończenie.

Najmniej wspólnego z igraniem prozatorskimi matrycami ma ostatnie opowiadanie *Manhattan*, dotyczy bowiem czasów najnowszych rozliczeń z okresem powstania „Solidarności”. Bohater Rufin wprowadza się do wieżowca, gdzie wcześniej mieściła się siedziba Służby Bezpieczeństwa. Wyobcowany w betonowym bloku poznaje przypadkiem młodą lokatorkę Roksanę. Nawiązuje się pomiędzy nimi romans, w którym nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie ekslibris byłego męża Roksany, wywołujący falę wspomnień. Dzięki narracyjnym retrospekcjom główny bohater przypomina sobie tajną drukarnię z czasów stanu wojennego, w której poznał byłego męża Roksany – jak się później okazało – tajnego współpracownika bezpieczeństwa. Na donosicielstwo zgodził się z obawy o bezpieczeństwo jego córki Marzeny. I jak na ironię losu Rufin spotykał się z nią swego czasu, zanim podczas przesłuchania przez esbeka nie popełniła samobójstwa, wyskakując z okna w wieżowcu. I tak po nitce do kłębka już razem Rufin i Roksana docierają do oprawcy Marzeny. Wspólnie topią byłego oficera Służby Bezpieczeństwa w parkowym stawie. Miłość i chęć zemsty zlała się w jedno w tym mordzie, będącym wyrazem dziejowej sprawiedliwości.

Konstrukcja każdej z głównych postaci w zbiorze jest manieryczna. Jest to mężczyzna po przejściach, próbujący poukładać własne życie poprzez analizę przeszłości, ale ciągle napotykający w niej – obce niekiedy – wątki, które komplikują mu aktualny żywot. Z zawodu lub przekonania jest artystą nagle zmuszonym do wcielenia się w rolę detektywa i to nadzwyczaj skutecznego. W takiej budowie bohatera jest sporo sztuczności. Nie można jej natomiast zarzucić pisarzowi, gdy eksponuje miejsce akcji i jego wpływ na wydarzenia i atmosferę napięcia w fabule. Bardzo udany jest zwłaszcza pomysł z wykorzystaniem wieżowca w opowiadaniu *Manhattan*. Pomimo takich wyraźnych odautorskich zabiegów trudno jest zaklasyfikować prozę Leszka Girtlera do literatury stricto popularnej.

Leszek Girtler: *Miejsca rozstań i powrotów*. Zabrze 2015, ss. 322.



Doświadczając bliskości

KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

Jakże cudne cuda / i wykoncypowane koncepcje / wymyślam w wierszach” – napisała Ewa Parma w jednym z liryków ze swojego najnowszego tomu wierszy *Córka Viktora H.* I wszystkim to prawda, ale do tych słów poetki należałoby jeszcze (aby było uczciwie) dopowiedzieć – raz to udane, raz to nieudane; raz pociągające, innym razem mniej.

Ewa Parma, znana z fascynacji tworzenia słowa do dzieła sztuki, tym razem rejestruje własne obrazy rzeczywistości, przez nikogo wcześniej nieuchwycone. Tematem utworów staje się to, co codzienne, pospolite, na ogół mało znaczące, ale co naprzykrza się autorce *Kobiet i ważek*, nieustannie do niej powracając. „Po latach się okaże / że każde doświadczenie / ma wpływ na obserwatora (...) / że obraz utkwił w siatkówce / jak okruch lustra z baśni” – skostatowała poetka. W pamięci podmiotu tych wierszy, jak na fotografii, zostają utrwalone miejsca oznaczone obecnością „ja” lirycznego. Pobudzają one wyobraźnię poetki, wzniesają w niej pragnienie dopowiadania różnorodnych historii, co sprawia, że zapamiętany obraz zostaje wprawiony w ruch. Dzięki temu wyjątkowa przestrzeń staje się jeszcze bardziej urzekająca. I tak *Tiergarten* to nie tylko „(...) ogród / otoczony resztkami muru”, ale także osobliwe miejsce spotkania; jak napisała Parma: „wejdziemy tam na chwilę / która nas złapie w swą sieć / i każe tu wracać przez wieczność”.

Obrazów o podobnej poetyce jest więcej. Pobrzmiwa w nich ton melancholii. Sama poetka powtarza w jednym z wierszy za Borgesem: „Nie ma rajów innych niż raj utracony”. Parma, obserwując otoczenie, widzi go stale – na gałęzi, gdzie „wszystkie chwile zlewają się w jedną” czy na „ławeczce”, przy której rosną magnolie, a na niej – ubolewa podmiot – „nie siedzimy / oparci o siebie plecami”.

Ale w utworach pojawiają się też przestrzenie skonkretyzowane, będące charakterystycznymi punktami na mapie najbliższej, śląskiej okolicy. Poetka zaprowadza czytelnika najpierw do Café Kattowitz – wyodrębnia detale tego miejsca i na swój sposób je koloryzuje: „menu na kontuarze”, „krucha porcelana”, „złoty ekspres do kawy”, kawa „co pachnie dalekim krajem”. Następnie idziemy do Fiśli, „małej knajpki na strychu / z widokiem na sennie miasteczko”. Parma wydobywa urok wszystkich przywołanych przestrzeni, ale nade wszystko każdą z nich łączy z podmiotowym doświadczeniem obecności dru-

giej osoby. „Tylko z tobą mogę tam iść” – czytamy w *Café Kattowitz*. Miejsca te wpisują się w prywatność „ja” lirycznego, ewokują konkretne sytuacje i wspomnienia.

Utworów oscylujących wokół tematu miłości czy bliskości jest w tomie Ewy Parmy o wiele więcej. Wybór, na który zdecydowała się poetka, zdaje się wyjaśniać *Eine kleine Nachtmoment*, w którym napisała: „Życie nie jest ukryte w słowach / (...) ani w ciszy / którą wybrukowano piekło / Życie ukryte jest w chwili / między tobą a mną / gdy trzymasz mnie tak mocno / jakbyś chciał ukoić niepokój / którego będziesz powodem”. Parma dochodzi tu do sedna. W przytoczonych frazach ujawnia swoje pragnienie. Podniesione do najwyższej rangi, staje się jej najistotniejszym aspektem egzystencji. W innym wierszu powie wprost: „Daj mi pić”. Pragnienie idzie tu w parze z tęsknotą, by w końcu przerodzić się w pożądanie: „dzisiaj tęskni za tobą ten kawałek / pomiędzy biodrem a brzuchem / gdzie czasem przewiązuję chustę”. Ale i pożądanie, i utęsknienie stają się dla autorki coraz bardziej uczulliwe, doprowadzają do kresu wytrzymałości, do wypowiedzenia także cierpienia, jak w utworze *Exchange*: „To będzie uczciwa wymiana: / oddasz mi ból za tęsknotę”.

Co ważniejsze: wyrażona przez poetkę chęć obcowania z kimś drugim, ową pragnienie usprawiedliwia treść i formę innych liryków umieszczonych w tomiku. Mowa tu o wystylizowanych na piosenkę wersach, które spaja sugestywny tytuł *Ajlawju*: „Będę to śpiewać / zawodzić i skomleć / i na stacjach metra / Pisać na murach / Mariotta Wawelu / ryc gwoździem / na ścianach nowego / dworca w mieście K. (...)”, bądź o słowach, które w zamierzeniu poetki miały być wieloznaczne, może metaforyczne, ostatecznie jednak budzą oczywiste odczytania: „Więc nie dyskutuj / ze mną, tylko spojrz / w oczy. / I bierz”.

Pożądanie wypływa w tych utworach z miłości. Bywa, że podmiot wypowiada ją wprost – w podniosłych wyznaniach lub najprościej jak tylko można, albo też instruuje. Poetka nieustannie mówi w przeciwieństwie do drugiej strony, która nie wypowiada ani słowa.

Pragnienie bliskości, pożądania czy wreszcie miłości zawiera się w tytule, jaki Ewa Parma nadała swojemu tomikowi. *Córka Viktora H.* odsyła do nieszczęśliwej miłości opisanej w pamiętnikach Adèle Hugo. Poetka w utworze otwierającym książkę napisała o Adèle: „(...) uciekła w fikcję, by nakarmić swój głód / na rozgrzanych ulicach Halifaxu / i zamieniła się w kruką tylko, / by odnaleźć swego porucznika / który nie chciał jej znać (...)”. Ale to nie jedyna autentyczna historia przedstawiona przez autorkę *Kobiet i ważek*. Znajdziemy tu także wiersze o Camille Claudel czy Vincencie van Goghu. Parma przywołuje autentyczne fakty i dopowiada swoje przemyślenia na temat ich życia.

Mimo że wiersze w najnowszym tomie Ewy Parmy zostały połączone wyrazistym tytułem, tworzą całość, z której można wydobyć różne wątki i tematy. Na końcu został umieszczony osobny i intrygujący cykl pod tytułem *I sette peccati capitali*, niejako podsumowujący cały tomik. W *Siedmiu grzechach głównych* zostały zawarte ostrzeżenia: „Uważaj, pożądanie i gniew / to niebezpieczna mieszanka, / która w końcu wybuchnie”; pragnienia: „Chcę cię mieć na wyłączność / bo jesteś mi pisana”; żądze: „Jestem twoją Nyotaimori / zjedz ze mnie po kolei / wczorajszą złość / i poranny żal”. Poetka gra w tej części tomu z konwencjami, dokonuje parafrazy wersów charakterystycznych dla języka religijnego, dopuszcza się jego desakralizacji: „bądź wokół jako w niebie / tako i na ziemi”.

„Mam czas na wiersze i miłość” – napisała Ewa Parma, zamykając swój tomik. Po takim wyznaniu nie może dziwić nadmiar wątków, myśli i tematów obecnych w tej poezji. Ow nadmiar nie prowadzi jednak do przesytu, nie staje się ósmym grzechem głównym poetki.



Lakierowanie koszulki

KSIAŻKI

RYSZARD JASNORZEWSKI

Małgorzata Domagalik, zawodowo uprawiająca dziennikarstwo prasowe i telewizyjne, dogłębnie przepytowała Jakubą Błaszczykowskiego, sportowca profesjonalnie zajmującego się grą w piłkę nożną. Do rozmowy i do książki zaprosiła również rodzinę, przyjaciół i kolegów popularnego Kuby, gracza z numerem szesnaście na koszulce.

Koszulka – podobnie jak spodenki, getry i buty z korkami – jest częścią kostiumu zawodnika specjalizującego się w bieganiu po boisku. Niekiedy ta koszulka jest tyle piłkarska, ile publiczna. Bardziej ciekawe od sztuki strzelania goli, maestrii ostatnich podań, wirtuozerii wygranych starć z rywalami, będzie wówczas zdejmowanie kostiumu przed innymi, dla innych, odsłanianie siebie. Czasem odsłanianie blizn.

Błaszczykowski to piłkarz niewątpliwie wybitny. Jego obszernej kartotekę zawodniczą można streszczać długo i ciekawie, opisując przewagi osiągnięte w lidze polskiej i niemieckiej albo analizując rolę wypełnianą w reprezentacji. Przy dostępie do życia prywatnego i dzięki wizytom w szatni piłkarskiej da się kartotekę przepisać w formie narracji nie tylko statystycznej, ale również jako gawędę o kimś, kto ma przyjaciół, kolegów i znajomych, żonę i dzieci, ulubionego fryzjera, własny stolik w restauracji i czerwony, wypasiony samochód. Poznamy dobre i złe nawyki, sądy i przesady, nasycenia, przesyty i głody, wspomnienia i marzenia.

W takich przypadkach stereotyp karmi się samym sobą. Jak nie bez słuszności zauważa Błaszczykowski, osoby publiczne robią właściwie te same rzeczy, żyją w tym samym życiu, w jakim żyją osoby niepubliczne. „Czym się od siebie różnią? – pyta – Tym, że jeden jest w telewizji, a drugi siedzi przed telewizorem?”. Piłkarz, który pyta, jest nie do końca typowy i w odpowiednim stopniu autoironiczny. Pytania przychodzą i odchodzą od każdego z nas, ale znani i bogaci piłkarze tym różnią się od nas, że grają w pytania nie tylko przed sobą – niezależnie, czy tego chcą czy nie.

Małgorzata Domagalik nie uniknęła efektownej ekspozycji: „(...) powtórzę za jednym z przyjaciół, wybitnym znawcą futbolu, że piłka nożna, zwłaszcza ta na najwyższym poziomie, czasami ma w sobie coś z dramatów Szekspira. Nawet jeśli te rozgrywają się nie tylko na boisku”.

Dziennikarka kilka razy powtórzyła za Kubą Błaszczykowskim, wydobyła z niego i ludzi mu bliskich, że już w dzieciństwie

chciał zostać zawodowym piłkarzem. Każde dziecko może chcieć być profesjonalnym graczem, staczać pojedynki z innymi dziećmi, które chcą tego samego, a z których większość zostaje dorosłymi mężczyznami bez marzeń na koncie, znużonymi pojedynkami z codziennością.

Każde dziecko może pragnąć zostać zawodowym pisarzem. Jak dowodzą dzieje pisania, najbardziej efektywne i efektowne na swój jedyny, ciemny sposób, są dorastania z traumą lub w traumie, jeżeli nie przeciwko innym, to na pewno z dala od kogokolwiek, w samotności, która jest grą do własnej bramki. Piłkarzowi łatwiej, bo nawet najbardziej przemyślane edukowanie siebie w kopaniu piłki nic nie da bez opieki trenera, a od pierwszych kroków na boisku płaci się tyle za siebie, ile za prawo do bycia w drużynie.

Kubę i jego brata Dawida wychowywała babcia. Miał jedenaście lat, kiedy utracił matkę. Zginęła od ciosu nożem. Zabójcą był ojciec Kuby. „Wydaje mi się – wyzna już dojrzały mężczyzna – że mama zmarła mi na rękach”. Po wbiściu gola zawsze patrzy w niebo, kilka sekund, może dłużej – tyle, ile trzeba, aby coś powiedzieć, coś bardzo ważnego, najważniejszego.

Po zwyczajnej tragedii trzeba kłaść się co wieczór i każdego ranka budzić, trzeba jeść śniadanie, chodzić do szkoły, spotykać się z kolegami i grać w piłkę. Grać w piłkę – ale tak, jakby grało się w życie – lub przeciw śmierci, której nigdy nie można zrozumieć naprawdę. Może grać przede wszystkim dlatego, że podczas meczu „Słyszysz tylko swój oddech, czujesz zmęczenie”.

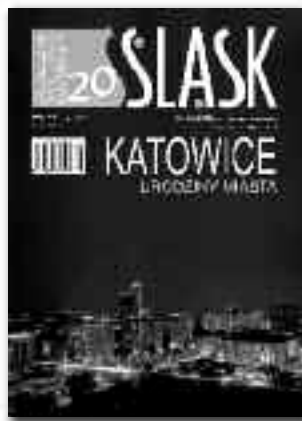
Kilkunastoletni Kuba nie przykładał się do nauki, chciał, nie, był pewien, że zostanie piłkarzem. Nie tylko dlatego, że zawodowy piłkarz to majątny, podziwiany idol, wodzirej zbiorowych emocji i uosobienie sukcesu, który odnosi się dla kogoś i w czymś imieniu. Kuba wiele zawdzięczał Jerzemu Brzęczkowi, reprezentacyjnemu piłkarzowi, bratu matki, który czuwał i doradzał, odpowiadał, pozwalał uniknąć głupich błędów. Najwięcej jednak zawdzięczał przekonaniu, że porażki uczą, że należy się ciągle podnosić, że nie ma meczów przegranych ze sobą.

Można przeczytać rozmowę rzekę (rozmowę słoną rzekę) z piłkarzem, jak czyta się kronikę życia plotkarza, który pokonuje nierównym krokiem, bez rytmu, z wysiłkiem, z determinacją, skutecznie, kolejne przeszkody. Można przeczytać nowelę o kopaniu piłki jako kopaniu się z życiem. Można dialogi z celebrytą, autorem twarzy każdemu znanej i wiadomej, wchłaniać jak dialogi tragikomedii, w której dobro i szczęście musi się bardzo natrudzić, lecz zawsze wychodzi na swoje. Już odkładamy książkę na półkę i jesteśmy gotowi uwierzyć, że na boisku podaje się partnerom piłkę o smaku landrynki, a przepocona koszulka piłkarza pachnie zawsze na słodko. Już zamykamy dydaktyczną lekturę i wliczamy do bilansu myśli banały, że nie wolno się nigdy poddawać i że życie jest takie, jakie jest, a więc całkiem do życia, do zagrania o siebie. Tyle że to za łatwo i bardzo niewiele.

Domagalik niezbyt oryginalnie usprawiedliwiła wydanie książki dialogów z Kubą i o Kubie: „choć łatwo być piłkarzem gwiazdorem, to normalnym gościem na boisku i w życiu – już znacznie trudniej”. I to by było na tyle, gdyby nie nagły szacunek do czegoś innego niż strzelone bramki albo asysty, dryblingi i pojedynki wygrane na trawie. „Mam taki charakter – wyznał Błaszczykowski – że każdego rodzaju porażkę najpierw muszę sam przetrwać”. Tak naprawdę bohaterem książki jest samotność.

Nad każdą grą zapadnia ta sama cisza. Wybitność sportowca zmniejsza, pamięć kibiców wygasza. Tylko życie nadal będzie meczem, z którego trzeba się zwierzyć. Ktoś inny wysłucha albo nie słyszy wcale. Pod jasnym lub szarym niebem.

Jakub Błaszczykowski, Małgorzata Domagalik: *Kuba*. Warszawa 2015, ss. 364.



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2016 rok! Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
 nazwa odbiorcy cd.: UL. DWORCOWA 13, 40-012 KATOWICE
 I.k.: 08203000451110000004079490
 nr rachunku odbiorcy: 08203000451110000004079490
 waluta: PLN
 W P
 nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata):
 nazwa zleceniodawcy:
 nazwa zleceniodawcy cd.:
 tytułem: PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
 tytułem cd.: „ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
 nazwa odbiorcy cd.: UL. DWORCOWA 13, 40-012 KATOWICE
 I.k.: 08203000451110000004079490
 nr rachunku odbiorcy: 08203000451110000004079490
 waluta: PLN
 W P
 nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata):
 nazwa zleceniodawcy:
 nazwa zleceniodawcy cd.:
 tytułem: PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
 tytułem cd.: „ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska,

Janusz Wójcik

Maria Sztuka

Jacek Sikora

Pod patronatem „Śląska”

Malarstwo Olgierda Bierwiazconka

TYCHY. W 90. rocznicę urodzin Olgierda Bierwiazconka Muzeum Miejskie w Tychach zorganizowało w swej siedzibie w Starym Magistracie, wystawę jego malarstwa.

Olgierd Bierwiazconek (1925–2002) studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Katowicach, a także w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie na Wydziale Malarstwa, w pracowni znanego polskiego kolorysty profesora Eugeniusza Eibischa, gdzie w 1956 r. uzyskał dyplom. Po studiach związał się na stałe ze Śląskiem. Mieszkał i tworzył najpierw w Mikołowie, a od 1974 r. w Katowicach. Pracował również jako nauczyciel przedmiotów artystycznych w szkolnictwie pedagogicznym. Ważne miejsce w jego życiu zajmowała działalność organizacyjna na rzecz śląskiego środowiska artystycznego. Pełnił liczne funkcje w ramach Związku Polskich Artystów Plastyków, włącznie z piastowaniem stanowiska prezesa Zarządu Okręgu katowickiego w latach 1967–1972. Prezentował swą twórczość na ponad trzydziestu wystawach indywidualnych i kilkudziesięciu wystawach zbiorowych w Polsce i za granicą. Na wystawie w Muzeum Miejskim w Tychach prezentowanych jest blisko czterdzieści prac malarskich, wszystkie utrzymane w konwencji realistycznej, której artysta pozostawał wierny przez całe swoje życie. Szczególnie interesował go portret, w nieco mniejszym stopniu martwa natura i pejzaż. Malarstwo Olgierda Bierwiazconka w Muzeum Miejskim w Tychach można będzie oglądać do 27 lutego 2016 r.

Podwójny jubileusz

ZABRZE. 21 listopada w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze odbył się uroczysty koncert z okazji jubileuszu 65-lecia Filharmonii Zabrzeńskiej. Z kolei Sławomir Chrzanowski dyrektor artystyczny zabrzańskich filharmoników świętował 25-lecie kierowania tą instytucją. – Od inauguracyjnego działalności koncertu w październiku 1950 r., do czasów dzisiejszych, zespół przeszedł długą drogę. Drogę znaczoną nazwiskami muzyków, artystycznych szefów, wybitnych solistów i dyrygentów, przyjaciół, mecenasów kultury oraz zwykłych społeczników. Była to także droga kilkunastu tysięcy koncertów w kraju i na świecie – wspomina Sławomir Chrzanowski. W programie koncertu jubileuszowego można było usłyszeć „Błękitną rapsodię” George’a Gershwina w wykonaniu światowej sławy pianisty jazzowego Adama Makowicza, który na ten koncert przybył specjalnie z Nowego Jorku, gdzie od lat mieszka i koncertuje. Zabrzmiały również między innymi, utwory: Moniuszki, Verdiego i Brahmsa, a całość zwieńczyło brawurowe wykonanie „Bolera” Ravela.

Piękne i bliskie Katowice

KATOWICE. Z okazji 150-lecia Katowic w galerii ArtNova2 ZPAP można było zobaczyć wystawę, podczas której swoje prace pokazało 24 artystów: malarze, graficy a także fotografowie. Uroczyny miasta były okazją do zaprezentowania osobistych impresji na temat przemian, jakie zaszły na przestrzeni kilkudziesięciu lat w Katowicach. Były więc wspomnienia i codzienność przetworzone w artystyczne impresje, dostrzeżono także to, co ginie bezpowrotnie. Były miejsca spełniające jeszcze do niedawna rolę swoistych znaków rozpoznawczych Katowic – jak nowy dworzec kolejowy



Olgierd Bierwiazzonek, Portret Kasi, olej, 1979-1980

z neonowym napisem, ale także postać artysty – nieżyjącego już Jerzego Handermamera sportretowanego przez Arkadiusz Ławrywianca na tle widoku miasta z okien jego pracowni. Zobaczyć można było Katowice inne, niż widziane na co dzień z perspektywy ulicy czy galerii handlowej.

Autorami prezentowanych prac byli artyści związani z Katowicami: Anita Baenisch-Juda, Ireneusz Botor, Teresa Bryning-Kalinowska, Henryk Bzdok, Tomasz Chudzik, Adam Dutkiewicz, Katarzyna Gawrych-Olender, Monika Hartman, Waldemar Jama, Anna Kowalczyk-Klus, Katarzyna Kroczek, Krzysztof Kula, Małgorzata Lazarek, Katarzyna Łata-Wrona, Arkadiusz Ławrywianiec, Mariusz Pałka, Olga Pałka-Słaska, Damian Pietrek, Adam Pocięcha, Zbigniew Sawicz, Tadeusz Michał Siara, Weronika Siupka, Ferdynand Szypuła, Jakub Zdejszy.

„Artysta-rezydent” w Muzeum Historii Katowic

KATOWICE-WARSZAWA. „Artysta-rezydent” to pierwszy pilotażowy program Instytutu Muzyki i Tańca skierowany do młodych wykonawców oraz do polskich instytucji muzycznych i innych, prowadzących działalność koncertową. W wyniku konkursu w sezonie artystycznym 2015/2016 wśród pięciu wyłonionych rezydentów z całego kraju, dwie trafiły do Katowic: do Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” oraz do Muzeum Historii Katowic. Katowice kandydujące do tytułu Muzycznego Miasta Muzyki UNESCO są miejscem licznych, ważnych wydarzeń muzycznych, a także siedzibą instytucji, szkół i Akademii Muzycznej. Instytucja „Silesia” w sposób naturalny wpisala się w program, bowiem jej podstawowym zadaniem jest działalność koncertowa. Natomiast Muzeum Historii Katowic sięgnęło do tradycji muzycznych miasta, podkreślając fakt, że 150 lat temu koncertował tu Johann Strauss, tu znajduje się gabinet kompozytora Lubomira Różyckiego, a w oddziale teatralnym MHK często odbywają się wieczory muzyczne. Ponadto w 2017 r. Katowice będą świętować 85. urodziny zmarłego w 2013 r. Wojciecha Kilara. W ramach programu „Artysta – rezydent” Muzeum zaproponowało koncerty orkiestry barokowej „Extempore”, wykonywanej na rekonstruowanych instrumentach (klawesyn, skrzypce barokowe, wiola da gamba). Zespół prowadzi Artur Malke. Koncerty te są odpowiedzią na duże zainteresowanie zarówno historycznym wykonawstwem, jak i muzyką okresu baroku, będą się one odbywać w Muzeum Historii Katowic. Program zaproponowany przez MHK wpisuje się w nowy cykl koncertowy Narodowej Orkiestry Symfonicznej poświęcony muzyce dawnej, wykonawcą koncertu inauguracyjnego była katowicka Orkiestra Historyczna [Oh!] prowadzona przez Martynę Pastuszkę.

Dzieło odzyskane

KATOWICE. W październiku Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przekazał Muzeum Śląskiemu odnaleziony obraz, pochodzący z przedwojennej kolekcji placówki. *Dziewczynka z kanarkiem* Leopolda Löfflera jest szóstym płótnem odzyskanym po zawierusze wojennej. Dzieło zostało zakupione do kolekcji Muzeum Śląskiego w Katowicach w 1928 r. w jednym z najbardziej znanych wówczas krakowskich antykwariatów – Antykwariacie Artystycznym Tradycja, prowadzonym przez Franciszka Studzińskiego. Wcześniej było w posiadaniu Czesława Kieszkowskiego, który zakupił je w 1878 r. w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie. Prawdopodobnie to jego inicjały znajdują się na odwrocie płótna. To niewiel-



65-lecie działalności świętowała Filharmonia Zabrzeńska

kich rozmiarów dzieło zaginęło podczas II wojny światowej. W ostatnim czasie zostało odkryte na terenie województwa śląskiego dzięki zainteresowaniu jego aktualnego posiadacza. Po przeprowadzeniu niezbędnych badań i analiz porównawczych proveniencja została potwierdzona. Dzieło znalazło się z powrotem w Muzeum Śląskim dzięki życzliwości dotychczasowego posiadacza, który odkrył sygnaturę i zgłosił się w celu ostatecznej weryfikacji.

„Krawiec niteczka” nagrodzony

KATOWICE-OLSZTYN. „Krawiec Niteczka” Śląskiego Teatru Lalki i Aktora Ateneum otrzymał nagrodę za najlepsze przedstawienie XIX Olsztyńskiego Tygodnia Teatrów Lalkowych ANIMA (16–22 listopada 2015). To jedyne trofeum, które można zdobyć na tym festiwalu i laur szczególnie miły, bo przyznawany przez jury młodzieżowe.

Zwycięskie przedstawienie zrealizowali: Zbigniew Głowacki (autor i reżyser), Eva Farkašová (scenografia) i Pavel Helebrand (muzyka). Obok Ateneum oraz gospodarzy na tegorocznej ANIMIE wystąpiły teatry lalek z Białegostoku, Gdańska, Kielc i Warszawy.

„Krawiec Niteczka” okazał się jednym z ciekawszych spektakli katowickich lalek. Pokazano go m.in. w nurcie towarzyszącym ubiegłorocznemu Festiwalowi Sztuki Reżyserskiej Interpretacje (Strefa Dziecka), a transmisja w ramach Internetowego Teatru TVP dla Szkół, która odbyła się niemal zaraz po premierze sztuki, odbiła się szerokim echem w całej Polsce.

Laury dla „Art Dance”

BIELSKO-BIAŁA. Zespół „Art Dance” z Domu Kultury im. W. Kubisz w Bielsku-Białej nadal zdobywa najwyższe laury podczas ogólnopolskich konkursów tanecznych. W październiku i listopadzie wygrywał wszystkie konkursy, w których startował z choreograficzną kompozycją „Daj mi, losie” Elżbiety Barwickiej – kierowniczką zespołu. Młodzież z „Art Dance” zajęła pierwsze miejsce w kategorii tańca współczesnego podczas III Ogólnopolskich Spotkań Tanecznych „Płasy Dramy” w Pyskowicach. „Art Dance” zdobył pierwszą lokatę w czasie III Festiwalu „Kontrakcja” w Krakowie, a E. Barwicka nagrodę dla najlepszego choreografa imprezy. Zespół zwyciężył też w XI Międzynarodowych Jesiennych Spotkaniach Artystycznych „Talizman Sukcesu” w Bielsku-Białej oraz VIII Ogólnopolskich Spotkaniach Tanecznych „Power Dance” w Bełchatowie. Jego sukcesy to efekt nowatorskiej choreografii, która została zaaranżowana stosownie do wieku dziewczyn i ich mentalności. Dzięki temu tancerki mogą swobodnie zaistnieć na scenie.

Sensacyjna triumfatorka

BIELSKO-BIAŁA. Grand Prix XLII Bielskiej Jesieni – Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (30 tys. zł) zdobyła studentka ASP w Katowicach Martyna Czech. II Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego (20 tys. zł) otrzymał Michał Gątarek z Wrocławia, a III – Prezydenta Bielska-Białej (10 tys. zł) – Tomasz Kręcicki z Kielc. Wyróżnienia otrzymali: Marta Antoniak (Gliwice), Bartosz Kokosiński (Warszawa), Grzegorz Kozera (Warszawa), Małgorzata Mirga-Tas (Czarna Góra k. Bukowiny Tatr.) i Irmina Staś (Warszawa). Wyróżnienia przyznali też patroni medialni. Irmie Staś wyróżniły *Art & Business*, Wiktora Dyndo *Artinfo. pl*, Jakuba Adamka *Artluc* i *Magazyn Sztuki*, Roberta Bubla *Format*, Lu-



Podczas wernisażu w katowickiej galerii ZPAP

kasza Patelczyka *Notes na 6 Tygodni*, Izabelę Chamczyk *Obieg. pl*, a Bartka Górnego *Gazeta Wybórcza*. 776 artystów nadesłało 3282 obrazy. Do wystawy zakwalifikowano 89 prac 46 twórców. Biennale organizuje Galeria Bielska BWA. Kuratorem jest Grażyna Cybulska. Wystawa potrwa do 17 stycznia 2016 r. Wstęp wolny.

Zafrasowany „Malik”

BIELSKO-BIAŁA. Kolejnym murałem zrealizowanym w Bielsku-Białej w projekcie pn. „oBraz miasta 2” jest dzieło pt. „Frasunek” Marcina „Malika” Malickiego na ścianie kamienicy przy ul. Cieszyńskiej 59, na pow. 150 m kw. bielski artysta stworzył wizerunek zafrasowanego staruszka. – Projekt opiera się przede wszystkim na postaci Chrystusa Frasobliwego – powszechnego tematu w sztuce ludowej. Jednocześnie odwołuje się on do franciszkańskiej postawy afirmującej naturę i czerpiącej z niej radość oraz spokój ducha i ciała. To taki frasobliwy współczesny Franciszek. Zatroškany niepewnym losem swoich mniejszych braci, np. znikających z naszych miast wróbel. Wróbel dodatkowo symbolizuje tu samotność – bowiem frasunek to najczęściej samotne, pustelnicze wręcz przeżycie. A w dzisiejszych czasach samotność doskwiera nam głównie w tłumie galopującego miasta – twierdzi Marcin Malicki. Jest to już szósty mural zrealizowany wedle projektu, którego kuratorem jest Justyna Łabądz.

Słowiańskie słowa

BIELSKO-BIAŁA – CIESZYN. Festiwal Poezji Słowiańskiej rozrasta się w szybkim tempie. Po edycjach w Warnie, Warszawie, Londynie, Czechowicach-Dziedzicach i Bielsku-Białej w tym roku impreza odbyła się również w Cieszynie. Oprócz Pałacu Kotlińskich, Zamku Sułkowskich, Galerii Bielskiej BWA i Książnicy Beskidzkiej gościu udzieliło w listopadzie br. także Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Swoje teksty prezentowali m.in. dr Marina Ilie z Rumunii, czechowiczanki Aleksy Wróbel z Anglii, Walery Kupka ze Słowacji, Jan Branny z Zaolzia, Romuald Mieczkowski z Litwy, a także poeci zamieszkali w Polsce: Szymon Broda, Barbara Gruszka-Zych, Aleksander Nawrocki, Danuta Niemczyk, Juliusz Wątroba, Magdalena Węgrzynowicz-Plichta czy Piotr Zemanek. O poezji mówili także badacze literatury: dr Sławomir Krzyśka, dr Ewa Lewandowska-Tarasiuk i prof. Anna Wegrzyniak. Cykl festiwalowych imprez zorganizowali: MDK w Czechowicach-Dziedzicach, CS „Kontrast” w Bielsku-Białej i poeta Ryszard Grajek.

Wydanie jubileuszowe

BIELSKO-BIAŁA. Ukazało się pięćdziesiąte wydanie Kalendariusza Beskidzkiego (AD 2016). Na 320 stronach formatu zeszytowego zawarto 48 tekstów reporterskich, publicystycznych, krytycznych i wspomnień o szczególnie zasłużonych rodach i mieszkańcach beskidzkiej ziemi od Soły przez Wisłę i Olzę po Ostrawicę. Pierwszy nr rocznika ukazał się w 1960 r., a zredagował go Władysław Czaja. Od 2011 r. KB wydaje Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia, a redaguje go Jan Picheta. Szatę graficzną opracowuje Piotr Wiśła. W bieżącym numerze znajdziemy m.in. teksty poświęcone muzycznym rodom Krzanowskich i Gołców, drogom i rozdrożom Romana Bergera, poliamoryzmowi Marii Dąbrowskiej



Leopold Löffler, Dziewczynka z kanarkiem

(podczas pisania w Jaworzu „Nocy i dni”) czy poezji Jerzego Kronholda w związku z nadchodzącą 70. rocznicą jego urodzin.

Blżej do doktoratu

BIELSKO-BIAŁA. Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów przyznała Wydziałowi Humanistyczno-Społecznemu ATH od 23 listopada br. „uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora nauk humanistycznych z literaturoznawstwa”. Jak twierdzi dziekan prof. Marek Bernacki, pozytywne rozpatrzenie wniosku jest wielkim osiągnięciem młodego, ale dynamicznie rozwijającego się wydziału, który w tym roku obchodzi 14 „urodziny”. Decyzja otwiera drogę rozwoju naukowego samodzielnych pracowników naukowo-dydaktycznych WHS. Dla studentów i absolwentów wydziału oznacza możliwość otwierania przewodów doktorskich na macierzystej uczelni. Drzwi do zdobywania doktoratów humanistycznych w ATH stoją otworem.

Pamięć o poetce

CZĘSTOCHOWA. Z okazji 10. rocznicy śmierci Ludmiły Marjańskiej miejskie instytucje przypominały poetkę urodzoną w Częstochowie 26 grudnia 1923 roku, absolwentkę I LO im. Juliusza Słowackiego. Już 17 października w sali konferencyjnej OPK *Gaude Mater* zaprezentowano zdjęcia Piotra Dłubaka, którego poetka nazywała żartobliwie „przyszłym wnuczkim”. Materiał powstał w 1995 r. w warszawskim mieszkaniu autorki, ale wybrano z niego tylko jedno zdjęcie do albumu o laureatach Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy. Kolejną okazją do wspomnień była promocja książki *O Ludmile Marjańskiej* sfinansowanej ze środków Gminy Miasta Częstochowy. Spotkanie odbyło się 28 października w Sali Reprezentacyjnej Ratusza. Na tom złożyły się szkice, wspomnienia, opisy kolekcji Książnicy Pomorskiej w Szczecinie oraz Biblioteki Publicznej im. dr. Władysława Biegańskiego w Częstochowie. Rozmowę z redaktorkami, Elżbietą Humik i Iwoną Skrzypczyk-Gałkowską, prowadził Tadeusz Piersiak, jeden z częstochowskich przyjaciół poetki. Na promocję przybyli autorzy szkiców, przyjaciele i czytelnicy, a także córka poetki, Maria Marjańska-Czernik.

Happy End w Częstochowie

CZĘSTOCHOWA. Festiwal Filmów Optymistycznych Multimedia Happy End po raz pierwszy odbył się w naszym mieście (21–24 października). Konkursowi towarzyszyło Wielkie Malowanie Ryb na placu Biegańskiego, a także warsztaty filmowe, które poprowadzili Paweł Sarbinowski, Piotr Żukowski i Izabela Maciuszek. Można było poznać się z pisaniem scenariusza, ze sztuką montażu oraz produkcji. W konkursie wzięło udział ok. 40 filmów dokumentalnych i fabularnych. Grand Prix otrzymał *Dzień babci* Miłosza Głowackiego (z Anną Dymną i Łukaszem Simlatem), nagrodzony również w kategorii studentki film fabularny. Poza tym wyróżniono: *Bogów* Łukasza Palkowskiego, *Prześwity* Karoliny Ford, *Bagaż strachu* Jerzego Bojanowskiego, *Sonę o mężczyznach* Mateusza Głowackiego, *Fabio's videos* Kamila Krukowskiego, a także *Niepowstrzymanych* Bartosza M. Kowalskiego oraz *Ławeczkę* Bartosza Rogowskiego. Honorowe Złote Ryby dla osób wspierających kino niezależne otrzymali Krzysztof Globisz oraz Wydawnictwo Wojciech Marzec. Specjalną Złotą Rybę przyznano producentom filmu *Niepowstrzymani* za zatarcie granicy między fabułą a dokumentem.



Uczestnicy Festiwalu Poezji Słowiańskiej na dziedzińcu Pałacu Larischów w Cieszynie. Od lewej: Marina Ilie z Bukaresztu, Jan Picheta i Natalia Gajowniczek z Bielska-Białej, Ryszard Grajek z Czechowic-Dziedzic, Romuald Mieczkowski z Wilna, Walery Kupka z Preszowa i Magdalena Węgrzynowicz-Plichta z Krakowa



Martyna Czech „Ex I” 2014, olej na płótnie, 160x100 cm. Grand Prix Bielskiej Jesieni 2015

Filmy o mieście

CZĘSTOCHOWA. Konkurs dla amatorów *Częstochowa w kadrze* zorganizowano już po raz szesnasty. Prace różniące się formą i długością trwania (do 10 minut) można było przesłać do OKF „Iluzja” do 30 października. Zgłoszono szesnaście filmów. Pokazy odbywały się 13 i 14 listopada. Poza konkursem zaprezentowano widzom obrazy – *Jasne, że Częstochowa jest happy* Pawła Sarbinowskiego i Piotra Zukowskiego oraz *Domokrądcę* Łukasza Wyłężałka. Jury w składzie: Przemysław Młynczyk (przewodniczący), Tadeusz Piersiak, Janusz Mielczarek, Aleksander Wierny i Aneta Rudaś, nie przyznało pierwszej nagrody. Drugą zdobyli: Justyna Stępnik za *Niespokojne ręce* oraz Bartosz Rogowski za *Ławeczkę o narodzinach przyjaźni*, trzecią – Tomasz Dróżdź za *Capellę Claromontana* oraz Michał Grzyb za *Kamień*.

Jazzowa kulminacja

CZĘSTOCHOWA. Na przełomie października i listopada miasto zostało zdominowane przez jazz. Był to bowiem punkt kulminacyjny „kroczącego” Festiwalu JAZZtochowa, choć kolejne koncerty będą odbywały się aż do marca 2016 r. 31 października na scenie Filharmonii Częstochowskiej pojawiła się Neneh Cherry, pasierbica trębacza Dona Cherry’ego wraz z zespołem RocketNumberNine. Występ zagranicznej gwiazdy poprzedził „Ziut” Gralak z zespołem GRAAL, w składzie: Broniek Duży, Alek Korecki, Locko Richter, Arek Skolik, Jacek „Budyń” Szymkiewicz oraz Klaudiusz Kłosek, Marek Pospieszalski, Ola Rzepka, Darek Sprawka. Gralak z przyjaciółmi przez godzinę grali utwory z najnowszej płyty *Czarne 13*. Koncert prowadził Piotr Metz. Natomiast 12 listopada Częstochowa zadebiutowała jako partner Festiwalu Muzyki Improwizowanej *jaZZ i Okolice*. Wystąpił David Krakauer w projekcie „The Big Picture”.

Kolejne odsłony aktów

CZĘSTOCHOWA. Częstochowskie wystawy zdominował akt Jerzy Piątek w OPK „Gaude Mater” zaprezentował swoje zdjęcia *Akt – fotografia* nieartystyczna, a w MGS był kuratorem i autorem scenariusza wystawy *Akt w polskiej fotografii*. W Sali Gobelinowej pokazano 100 różnorodnych prac 85 autorów. Były zdjęcia reporterskie (plaża nudystów w latach 80. XX wieku), akty upozowane oraz wykreowane. To gry z malarstwem, materiałami reklamowymi, a nawet z pornografią, gdy ciało to produkt na sprzedaż lub tworzywo artystyczne... Wykreowany teatr ciała był chwilami wulgarny (kobiece ciało na czerwonym tle), kiczowaty lub humorystyczny (fotograficzna wersja *Śniadania na trawie* – naga kobieta za stołem obok Krzysztofa Majchrzaka i Janusza Głowackiego). Były też ciała wyolbrzymione, czasami trudne do rozpoznania. Również ROK przygotował *Akt w barwnych skojarzeniach* Roberta Andre.

Jasnogórskie prawykonania

CZĘSTOCHOWA. 20 listopada w czasie koncertu cecylińskiego odbyło się prawykonanie *Oblężenia Jasnej Góry* Michała Gro-

teckiego, studenta Instytutu Muzyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, w ramach projektu Multimedia Symfonia Gwiazd; dyrygował Pasquale Veleno. W koncercie wzięli udział: Ingrida Gąpowa (sopran), Katarzyna Suska (mezzosopran), Artur Janda (baryton), Orkiestra Symfoniczna, Collegium Cantorum, chóry Archikatedry Częstochowskiej, Instytutu Muzyki AJD oraz Zespołu Szkół Muzycznych w Częstochowie. Recytował Antoni Rot. Dzień później z okazji Święta Muzyki wykonano kantatę *Verbum Dei* paulina o Ireneusza Wybraniaka. Wystąpili: o. Nikodem Kilnar, Jakub Szafranski, Maria Sydor, Radek Lubiak, Monika Kacprzyk, zespół instrumentalny, a na organach zagrał Sławomir Kuczek.

Nowy tomik poetycki Edmunda Borzemskiego

OPOLE. Z okazji ukazania się tomiku „Coraz więcej ciszy” (Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2015) w rodzinnym Korfantowie odbyło się spotkanie autorskie Edmunda Borzemskiego, na które do Miejsce Kultury przybyli licznie: mieszkańcy gminy, twórcy i przedstawiciele środowisk kultury, dziennikarze – niemal ze wszystkich stron Opolszczyzny. Autor czytał wiersze związane z biografią rodzinną i geografią liryczną Śląska Opolskiego (*Gracze, Łambinowice, Korfantów*), wyznaczoną przez miejscowości, w których dorastał, uczęszczał do szkół i gdzie kształtowała się jego osobowość oraz wrażliwość liryczna. W krótkich, zwiezłych wierszach E. Borzemski przywoływał obrazy dzieciństwa, spędzonego w kręgu najbliższych: babci Kresowianki i dziadka, znanego z zamilowania do hodowli koni, które od lat obecne są w twórczości poety, ulegając metamorfozom pomiędzy ciężko pracującymi *Perszeronami* a uskrzydłonymi *Pegazami*. Tomik „Coraz więcej ciszy” stanowi dziesiątą pozycję w dorobku wydawniczym Borzemskiego. Szczególne miejsce wśród opublikowanych utworów zajmują wspomnienia poświęcone nieobecnym już osobom, które odegrały szczególną rolę w życiu autora. Dedykacje dla Babcy, Dziadka, doktora Tadeusza Kukiza (kustosa Madonna Kresowych) i Jana Pawła II, nacechowane ascetyczną głębią, wzbudziła podziw słuchaczy. Wieczór autorski wzbogaciły liryczne pieśni i piosenki w wykonaniu gości wieczoru: Marii Ruszeckiej z Nysy oraz Żanety i Janusza Wójcików z Korfantowa (córka i ojciec – burmistrz Korfantowa). Wszyscy goście podkreślali znakomite wrażenia estetyczne i niepowtarzalną aurę wieczoru poetyckiego w Domu Kultury w Korfantowie zorganizowanego przy udziale pracowników Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej. Po zakończeniu spotkania poeta długo podpisywał tomiki dla przyjaciół i czytelników.

Laury dla animatorów i twórców kultury

OPOLE. W dowód uznania za osiągnięcia twórcze oraz pracę na rzecz upowszechniania i rozwoju kultury marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła nagroził twórców i animatorów kultury. Laureatami tegorocznej edycji zostali: Gabriela Dworakowska – skrzypaczka i wokalistka w Zespole Pieśni Ludowej „Silesia”, współtwórczyni aranżacji starych śląskich pieśni ludowych, nauczycielka przedmiotów artystycznych w Publicznym Gimnazjum w Biadaczu; dr Adolf Kühnemann – przewodniczący Konwersatorium im. Josepha von Eichendorffa w Opolu, popularyzator wkładu narodów polskiego i niemieckiego do wspólnego europejskiego



Promocja książki *O Ludmile Marjańskiej*. Z redaktorkami, Elżbietą Hurnik (w środku) i Iwoną Skrzypczyk-Galkowską, rozmawiał Tadeusz Piersiak



Spotkanie autorskie z poetą Edmundem Bożemskim. Na zdjęciu od lewej: Janusz Wójcik i Edmund Bożemski

dziedzictwa kulturowego; Przemysław Ślusarczyk – kompozytor, dyrygent, współzałożyciel: Chóru Opus z Opola, orkiestry dętej Politechniki Opolskiej i Ligockich Wrzosów; Tadeusz Tadla – długoletni dyrektor Gminnego Domu Kultury w Lewinie Brzeskim, organizator m.in. Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Kołędniczych „Herody”; Adam Wołkowski – muzyk, absolwent Wydziału Muzyki Rozrywkowej i Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach, współzałożyciel Młodzieżowej Orkiestry Dętej Zespołu Szkół Żegluga Śródlądowej oraz kierownik artystyczny chóru „Echo Kresów” w Kędzierzynie-Koźlu. Natomiast honorowe wyróżnienia otrzymał: Tadeusz Bratus, muzyk z Kędzierzyna-Koźla; Wojciech Dominiak, dyrektor Muzeum Ziemi Prudnickiej; Maria Farasiewicz, nauczycielka języka polskiego w Zespole Szkół Mechanicznych w Głubczycach, Katarzyna Paszula, dyrektorka Ośrodka Kultury w Niemodlinie; Anna Maria Rogowska, pedagog, plastyk z Opola; Jolanta Stefaniak, kierownik chóru „Cantabile” z MOK w Kędzierzynie-Koźlu; Dorota Witoszyńska, nauczyciel, bibliotekarz, animator kultury z Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Brzegu. Uroczystość wręczenia nagród z udziałem władz samorządowych województwa odbyła się w sali kameralnej Filharmonii Opolskiej, w części artystycznej słynne walce i tanga w aranżacji na kameralny zespół smyczkowy zagrał Kwartet Piastowski.

„Gloria Artis” dla Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych

OPOLE. Podczas uroczystych obchodów 50. lecia, Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu-Łambinowicach zostało odznaczone medalem „Gloria Artis” Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, kolejnymi wyróżnieniami dla Muzeum były: odznaczenia przyznane przez Stowarzyszenie Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę, medal „Za zasługi dla Związku Żołnierzy Wojska Polskiego” oraz pamiątkowa statuetka regionalnego oddziału Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych. Dyrektorka Violetta Rezler-Wasielewska witając w sali koncertowej Filharmonii Opolskiej gości oraz pracowników Muzeum, przypomniała zebranym, że instytucja utworzona w 1965 r. na terenach poobozowych (Stalag 344 Łamsdorf) jest unikatową w skali Europy. Obecnie CMJW zajmuje się badaniem funkcjonowania totalitarnych systemów jenieckich – niemieckiego i sowieckiego oraz opieką nad Miejscem Pamięci Narodowej w Łambinowicach. Pomimo trudnej, martyrologicznej tematyki Muzeum udało się rozwinąć szeroką współpracę ze szkołami, dla których przygotowano bogatą ofertę edukacyjną m.in. lekcje muzealne, konkursy historyczno-recytatorskie, warsztaty, ścieżki edukacyjne wraz z rowerami do zwiedzania terenów poobozowych i letnie obozy z udziałem młodzieży z Polski, Niemiec i Ukrainy. Podczas jubileuszowych obchodów zasłużeni pracownicy CMJW zostali uhonorowani złotymi i srebrnymi Medalami Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Na zakończenie oficjalnej części jubileuszu zorganizowano na scenie Filharmonii Opolskiej debatę panelową „Co dalej. Muzea martyrologiczne 70 lat po wojnie” z udziałem dr. Piotra Cywińskiego (Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau), Sławomira Frączka (Muzeum Katyńskie), dr. Tomasza Kranza (Państwowe Muzeum na Majdanku), Michała Niezabitowskiego (Muzeum Historyczne Miasta Krakowa), Piotra Tarnowskiego (Muzeum Stutthof), dr. Anny Ziółkowskiej (Muzeum Martyrologiczne w Żabikowie) oraz dr. Violetty Rezler-Wasielewskiej (Centralne Muzeum Jeńców Wojennych

w Łambinowicach-Opolu). Poprowadził ją Jan Łazicki z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Do tematyki poruszanej w debacie nawiązał również w swoim wystąpieniu sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dr hab. Andrzej K. Kunert. Jubileusz CMJW uświetnił wieczorny koncert inauguracyjny jednocześnie Festiwal Muzyki Sakralnej Krajów Wyszehradzkich *Sanctus Adalbertus*, podczas którego wykonano utwory Oliviera Messiaena, m.in. „Kwartet na koniec czasu” – skomponowany w niemieckim obozie jenieckim (Stalag VIII A Görlitz).

Krakowskie szopki w Będzinie

BĘDZIN. Do 10 stycznia w Pałacu Mieroszewskich w Muzeum Zagłębia w Będzinie można oglądać wystawę szopek krakowskich. Ekspozycja ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Krakowa składa się z dwudziestu szopek, które powstały w latach 1977–2013. Jak mówi kurator wystawy etnograf Anna Góra szopki krakowskie są zjawiskiem na skalę światową. Nigdzie indziej na świecie nie zobaczymy bowiem tak niezwykłych konstrukcji upamiętniających narodzenie Chrystusa. Wyróżnia je przede wszystkim architektura, na którą składają się stylizowane elementy zabrytkowych budowli Krakowa, jak np. strzeliste wieże Kościoła Mariackiego, mury Barbakanu czy złota kopuła Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Czerpiąc inspirację z zabytkowych budowli Krakowa, stanowią one jego miniaturę, która w doskonały sposób oddaje klimat oraz urok tego miasta. Powstałe z delikatnych, nietrwałych materiałów (jak np. staniol – aluminiowa folia) zachwycają misternością wykonania oraz pięknem krakowskiej architektury, podkreślanej przez niezliczone ornamenty, kolorowe witraże czy plejadę barwnych postaci. Na imponującą galerię figur umieszczonych na wszystkich kondygnacjach szopek składają się zarówno postaci jasełkowe, jak i świeckie, związane z folklorem i legendami krakowskimi. Znaleźć tu więc można lajkonika, postaci w strojach regionalnych, czy smoka wawelskiego. Prezentacji szopek towarzyszą fotografie dokumentujące historię krakowskiego konkursu szopkarskiego oraz film ilustrujący proces tworzenia szopki.

Inauguracja jubileuszowej edycji

SOSNOWIEC. 20 listopada w sali widowiskowo-koncertowej MUZA w Sosnowcu zainaugurowano jubileuszową X edycję śląskiego Międzynarodowego Festiwalu im. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego. Okrągłe rocznice urodzin mistrzów baroku: Bacha, Haendla, Scarlattiego oraz Patrona Festiwalu znalazły odzwierciedlenie w tegorocznym repertuarze. W dwudziestu koncertach, które odbyły się w dziesięciu miastach, wzięli udział wybitni goście, m.in.: Richard Galliano, Concerto Köln, German Brass, London Baroque, Paul Godwin, Patrick Gallois, Rainer Honeck, Iwona Sobotka, Aukso, NOSPR, Capella Cracoviensis, Sinfonietta Cracovia i wielu innych. Podczas X, jubileuszowej edycji Festiwalu kontynuowano zapoczątkowaną w ubiegłym roku rejestrację wszystkich dzieł Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego *Gorczycki in extenso*. Głównym celem tego przedsięwzięcia jest promocja spuścizny kompozytora w wymiarze europejskim, zarówno wśród amatorów, jak i profesjonalistów oraz włączenie jego dzieł do globalnego repertuaru. Zgodnie z założeniem utwory mistrza oddano w ręce renomowanych światowych specjalistów w zakresie wykonawstwa historycznego. W tym roku do grona popularyzatorów Gorczyckiego w ramach *Gorczycki in extenso*



Wysokie polskie odznaczenia państwowe odebrali w praskiej Ambasadzie RP (od prawej): Karol Suszka, Andrzej Bizon, Stanisław Folwarczny i Józef Szymeczek

dołączyli: Concerto Köln, London Baroque, Capella Cracoviensis, Camerata Silesia i Octava Ensemble.

Mistrzowie i ekscentrycy

SOSNOWIEC. Tematem tegorocznych VII Konfrontacji Filmowo-Plastycznych organizowanych przez Sosnowieckie Centrum Sztuki-Zamek Sielecki byli „Mistrzowie i Ekscentrycy. Leonardo da Vinci/Siergiej Eisenstein, Henri de Toulouse Lautrec/Charlie Chaplin, Salvador Dali/Federico Fellini”. W trzydniowym (25–27 listopada) programie znalazły się wykłady autorstwa m.in. prof. dr hab. Army Koziny historyk sztuki w Zakładzie Historii Sztuki UŚ, dr hab. Kariny Banaszkiewicz (Zakład Filmoznawstwa i Wiedzy o Mediach UŚ), Małgorzaty Malinowskiej-Klimek (historyk sztuki, kurator w SCS-Zamek Sielecki), dr Ilony Copik (Zakład Filmoznawstwa i Wiedzy o Mediach UŚ), dr Anety Borowik (historyk sztuki w Zakładzie Historii Sztuki UŚ), dr Natali Gruenpeter (Zakład Filmoznawstwa i Wiedzy o Mediach UŚ). Można było także obejrzeć fragmenty filmów Siergieja Eisensteina: Trylogia Rewolucyjna („Strajk”, „Pancernik Potiomkin”, „Październik”), „Stare i nowe”, „Łąki Bierzyńskie”, „Niech żyje Meksyk”, „Aleksander Newski”, „Iwan Groźny”, „Spisek Bojarów” i „Romans Sentymentalny” a także „Przygody Mr Westa w kraju Bolszewików” w reż. L. Kuleszowa, „Schody” w reż. Z. Rybczyńskiego, „Nietykalni” w reż. Briana de Palmi, „Deja vu” w reż. J. Machulskiego i „Miłość i śmierć” w reż. W. Allena. Autorką projektu była Katarzyna Siwiec-Matyśiak.

Wystawa ikon

DĄBROWA GÓRNICZA. W Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej do 10 stycznia można oglądać wystawę ikon napisanych przez studentów studiów podyplomowych „Ikonopisarstwo. Studium chrześcijańskiego Wschodu” Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka ekspozycji nawiązuje do świąt Bożego Narodzenia, Trzech Króli a także do Jubileuszu 1050. rocznicy chrztu Polski. Tę piękną prezentację ikon udostępnił ks. dr Dariusz Klejnowski-Różycki, współzałożyciel Śląskiej Szkoły Ikonograficznej w Zabrze i inicjator studiów Podyplomowych „Ikonopisarstwo. Studium chrześcijańskiego Wschodu”, który opowiadał o tajnikach tej trudnej sztuki podczas wernisza 23 listopada.

Odnaczenia dla Zaolziaków

ZAOLZIE. Wysokimi polskimi odznaczeniami zostali uhonorowani 13 listopada w Ambasadzie RP w Pradze czterej polscy działacze z Zaolzia. W ten sposób władze Rzeczypospolitej Polskiej doceniły ich wybitne zasługi w działalności na rzecz mniejszości polskiej w Republice Czeskiej oraz w krzewieniu kultury i tradycji narodowej. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej odznaczony został Karol Suszka, dyrektor Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, z kolei Złotymi Krzyżami Zasługi uhonorowano Józefa Szymeczka, prezesa Kongresu Polaków w RC, Andrzeja Bizonia, dyrektora Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie oraz Stanisława Folwarczniego, wiceburmistrza Czeskiego Cieszyna, byłego prezesa, a obecnie członka Zarządu Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC. Odnaczenia nadał prezydent RP na wniosek polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a wręczy-



Jeszcze przed świętami ukazał się czwarty tom „Leksykonu Polaków w Republice Czeskiej i Republice Słowackiej”

ła je ambasador Grażyna Bernatowicz podczas oficjalnych obchodów Święta Niepodległości, jakie zorganizowano w polskiej ambasadzie w piątek, 13 listopada. Wzięli w niej udział Polacy mieszkający w Pradze oraz liczna delegacja Polaków z Zaolzia. Krótki program artystyczny wykonał m.in. pochodzący z Karwiny aktor, Jan Szymik.

Czwarty tom „Leksykonu”

ZAOLZIE. Ukazał się czwarty tom „Leksykonu Polaków w Republice Czeskiej i Republice Słowackiej”. Jak podkreślają autorzy, najnowsza publikacja jest niejako „ponadprogramową”. Pierwotna wersja projektu realizowanego w Instytucie Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego przewidywała bowiem przygotowanie trzech tomów „Leksykonu”. Zgromadzony materiał przekroczył jednak zaplanowane ramy. „Pozostał materiał, który warto przybliżyć czytelnikowi, a przede wszystkim chcemy dać satysfakcję tym mieszkańcom Zaolzia, których czasami całe rodziny zaangażowane były w polską działalność narodową w czasach, gdy obszar, na którym działali, był pod obcym panowaniem” – piszą we wstępie prof. Zenon Jasiński i dr Bogdan Cimała. Rodzaje haseł i prezentacja haseł biograficznych w czwartym tomie „Leksykonu” nie zmieniły się. Autorzy starają się jednak przedstawiać w nim także najciekawsze ich zdaniem pozycje wydawnicze poświęcone środowiskom polskim. Sporo miejsca poświęcili ponadto procesowi kształcenia.

W Ligotce... skakano z łózka

ZAOLZIE. W sobotę 14 listopada trudno było wejść do sali Domu Kultury w Ligotce Kameralnej. Tak bywa co roku w listopadzie na każdym przedstawieniu teatryku działającego przy Miejscowym Kole PZKO. Zespół zagrał tym razem komedię „Skok z łózka” (z podtytułem „Bajka dla dorosłych”), którą wyreżyserował Aleksander Przeczek. Sztuka, którą PZKO-wscy aktorzy wzięli tym razem na warsztat, nie była typową gwarową komedią, do jakiej ligotczańska publiczność jest przyzwyczajona. Ta komedia o zdradzie i wierności małżeńskiej była wprawdzie grana „po naszymu”, ale jej akcja rozgrywała się w typowym mieszczańskim salonie. Nikomu to nie przeszkadzało, teksty i aktorzy byli świetni i wszyscy doskonale się bawili.

– Tę sztukę angielskich dramatopisarzy Johna Chapmana i Raya Cooney’a grała w swoim czasie Scena Polska i dzięki temu mogliśmy do niej bez problemów dotrzeć – powiedział nam reżyser przedstawienia, Aleksander Przeczek. – Przenieśliśmy ją jednak do lokalnych realiów, a dziewczyny „przetłumaczyły” ją na gwargę śląską. Ten tekst właściwie powstawał na próbach: od pierwszej po generalną – wyjaśnił reżyser. Zapowiedział, że chętnie zaprezentują swoje nowe przedstawienie również w innych zaolziańskich miejscowościach.

Polska kultura w Brnie

ZAOLZIE. „Brama języków otwarta” to nazwa mini-festiwalu polskiej kultury, który rozpoczął się 3 listopada w Brnie. Cykl spotkań organizują wspólnie brneńska Biblioteka Jiřego Mahena i Biblioteka Raczyńskich z Poznania, nawiązując do długoletniej współpracy między stolicami Południowych Moraw i Wielkopolski. Z polską kulturą mieszkający Brna mogli się zaznajamiać aż do 12 listopada. Festiwal polskiej kultury rozpoczął się w małej sali Biblioteki Jiřego Mahena koncertem bluesowo-jazzowym Łukasza Wiśniewskiego i jego kapeli Hard

Times Trio. 5 listopada w dużej sali księżnicy odbyło się spotkanie z wybitną polską poetką Ewą Lipską. Poprowadziła je zaolziańska poetka Renata Putzlacher, a poezji towarzyszyła poezja śpiewana w wykonaniu polskich artystów: Izabeli Królak i Michała Łanuszki (ten drugi był już kilka razy gościem na Zaolziu). W ostatnim dniu mini-festiwalu, w czwartek 12 listopada, mahienka Brna mogli się dwa razy spotkać w Bibliotece Jiřego Mahena ze znaną ilustratorką i autorką książek dla dzieci i dorosłych, Iwoną Chmielewską. W siedzibie Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Masaryka natomiast można było wysłuchać wykładu Urszuli Kowalskiej z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu o polskich publicystach, którzy zakochali się w Republice Czeskiej, Czechach i czeskiej kulturze.

W skrócie

■ Wydarzeniem listopada był gościnny występ Slezkiego Divadla z Opawy, który w Operze Śląskiej w Bytomiu zaprezentował operę Leoša Janáčka „Jenufa” („Jej pasierbica”).

■ „Przemoc i rytuał w neolicie. Grób zbiorowy kultury amfor kulistych w Koścycach” to tytuł wystawy, którą można było zobaczyć w Muzeum Śląskim w Katowicach.

■ Na koncerty „Piękne arie-piękne duety” oraz „Czas na muzykę – polska liryka wokalna” a także na zorganizowany w 250-lecie Mennicy Warszawskiej wernisaż wystawy „Silesia in nummis. Medale śląskie w zbiorach Muzeum w Chorzowie (do 1918 r.)”, poprzedzonej wykładem Tomasza Bylickiego zapraszało Muzeum w Chorzowie.

■ Również w Muzeum w Chorzowie odbył się wieczór poetycko-muzyczny z udziałem poetów Macieja Meleckiego, Mirosławy Pajewskiej, a także III Otwarty Turniej Jednego Wiersza im. Barbary Dziekańskiej. Gospodarzami wieczoru byli Barbara Janas-Dudek i Jacek Dudek.

■ Oddział Teatralno-Filmowy Muzeum Historii Katowic zapraszał na wystawę Hanny Sitarz „Echolalia”, która była kolejnym eksperymentem twórczym tej artystki, wykorzystującym słowo i obraz.

■ Wystawę plakatu powstańczego, która towarzyszyła obchodom 95. rocznicy II Powstania Śląskiego zorganizował Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach wraz ze Stowarzyszeniem Powstania Śląskie 90 i Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach.

■ Pamięć Wojska Polskiego z Kresów Wschodnich II RP można było zobaczyć podczas wystawy „Ocalone od zapomnienia” w Muzeum Śląskim w Katowicach.

■ Również w Muzeum Śląskim prezentowana była wystawa „Nieznany nikomu” Władysława Grybnego.

■ Przez cały październik w Zabrze trwał III Międzynarodowy Festiwal im. Krzysztofa Pendereckiego, podczas którego wystąpiła m.in. Sinfonietta Cracovia pod dyrekcją Jurka Dybała, odbyło się premierowe wykonanie koncertu na trąbkę Krzysztofa Pendereckiego w wykonaniu Fazila Say’a pokazano także wystawę manuskryptów partytur Pendereckiego.

■ „Ściany świata” czyli wystawę rysunków grafiki Ewy Zawadzkiej można było oglądać w Galerii Miasta Ogrodów w Katowicach.

■ W cyklu *Wieczór z muzami* odbyła się w Muzeum Historii Katowic prezentacja książki Jolanty Król pt. „Ballada o Jacentym, czyli wspomnienie z książką w tle”.

■ Koncert kameralny poświęcony muzyce Heinricha Schulza-Bethena zatytułowany „Ku pamięci” w wykonaniu Małgorzaty Majnusz-Jarek (wiolonczela) i Tomasza Plochy (fisharmonia) odbył się w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

■ W Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich odbywała się wystawa malarstwa Małgorzaty Danuty Wiatrowskiej połączona z mityngiem poetyckim z udziałem „Reprezentacji Śląska w poezji” pod kierunkiem Wiesława Ciecieręgi.

■ Międzynarodowy Festiwal Chórów Akademii Muzycznych „KoChAM” muzykę współczesną odbył się w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach.

■ W Ornontowicach odbył się pokaz mody współczesnych jakli i wernisaż wystawy fotografii modowych wykonanych w siedzibie NOSPR, który był podsumowaniem projektu Silesia Folk Design.

■ Na koncerty „Czas na muzykę. Polska liryka wokalna” oraz poświęcony pamięci Klary Langer-Daneckiej zapraszała Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach gościła wystawa Carole Benzaken pt. „W każdym momencie, na przyjście i odejście”, która odbywała się w ramach tegorocznej edycji Festiwalu Ars Cameralis.

■ II Kongres Muzyki Liturgicznej Archidiecezji Katowickiej *Regnum Christi veniat! Niech przyjdzie Królestwo Chrystusa!* odbywał się 13–15 listopada; został zorganizowany w Roku Jubileuszu 90. lecia Archidiecezji Katowickiej.

■ 19 listopada zmarła Zuzanna Gwarek z d. Legierska (ur. 30.04. 1937 r. w Koniakowie). Była znaną koronczarką,

członkinią Zespołu Regionalnego „Koniaków”, wieloletnią opiekunką Izby Pamięci Marii Gwarek, którą przeżyła po śmierci teściowej w 1962 r. Była uhonorowana Nagrodą im. Oskara Kolberga (1989).

■ 30 października – po dwóch latach gruntownej modernizacji Biblioteka Miejska w Wiśle otworzyła drzwi dla czytelników.

■ Od 8 do 15 listopada w Bielsku-Białej odbyła się XIII Jazzowa Jesień. Wystąpiły m.in. takie zespoły jak Maria Schneider Orchestra, Andy Sheppard Quartet czy Tomasz Stańko Project.

■ „Andrzej Baturó – 50 lat z fotografią” to tytuł spotkania autorskiego 22 października w Galerii Bielskiej BWA, podczas którego zaprezentowano najnowszy albumu artysty, wydany z okazji 50-lecia pracy twórczej znanego fotografa, przedstawiciela tzw. czarnego reportażu, działacza ZPAF, współtwórcy Foto Art Festivalu.

■ 29 października na ścianach Galerii Bielskiej BWA odbyła się „Wieczorna projekcja” upamiętniająca bielskich Żydów. Przygotowała ją młodzież z bielskich liceów im. Armii Krajowej i im. A. Asnyka w Bielsku-Białej. Impreza odbyła się w ramach cyklu spotkań prowadzonych przez Dariusza Fodczuka, który realizuje autorski projekt pt. „Miejsca/Tożsamości”.

■ 31 października na okazji 498. rocznicy reformacji w kościele ewangelickim w Starym Bielsku prezydent Andrzej Duda wziął udział w nabożeństwie. Prezydent ofiarował kościołowi drewniany krzyż z napisem: „Z nadzieją płynącą z krzyża. Prezydent RP Andrzej Duda”. Od wiernych otrzymał rzeźbę głowy orła.

■ Anna Cieplak – koordynatorka projektu „Awangarda 27–39” zorganizowała 28 października w poczekalni dworca kolejowego w Cieszynie imprezę muzyczno-poetycką poświęconą Julianowi Przybosiowi. Wystąpił m.in. elektroniczny zespół „Unitraprodiż” z Krakowa oraz młodzi poeci znad Olzy.

■ Z okazji XLII Biennale Malarstwa „Bielska Jesień 2015” w Bielsku-Białej Galeria Bielska BWA wydała katalog wystawy (w wersji polskiej i angielskiej) z kolorowymi reprodukcjami finałowych prac, notkami o artystach oraz tekstami krytycznymi jurorów biennale. Redakcją zajęły się Grażyna Cybulska i Barbara Swadźba, a projektem graficznym Krzysztof Morcinek.

■ W Częstochowie zagrali: TłP – Natalia Przybysz, Cochise z Pawłem Małazyńskim, The Analogs, Closterkeller; Hala Sportowa na Zawodziu – Perfekt; Filharmonia – Szymon Nehring, Steve Nash & Turntable Orchestra, Artur Rojek, Krzysztof Krawczyk z zespołem; Carpe Diem – Korteż; Muzyczna Meta – Krzysztof i Robert Brylewski, Zwłoki; MDK – Chór Męski Pochodnia z okazji 85-lecia.

■ W Częstochowie wystawiali: Wejściówka – Tomasz Chudzik; MGS – Zdzisław Wiatr, Magdalena Snarska, Robert Panas; Konduktorownia – *Three way* (Wang Yanwen, Beata Bebel-Karankiewicz, Włodzimierz Karankiewicz); Centrum Promocji Młodych – *Podagra* Małgorzaty Wielek.

■ 8 listopada w Filharmonii Częstochowskiej Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus pod dyrekcją założycielki Agnieszki Duczmal zainaugurowała Ars Cameralis.

■ 23 października w Centrum Promocji Młodych w Częstochowie odbyło się spotkanie z Petrem Šabachem.

■ 5 listopada w OPK Gaude Mater w Częstochowie gościł spektakl Karoliny Cichej *Śladami Różewicza*.

■ Polska Szkoła Podstawowa im. Wisławy Szymborskiej w Wędrzynie – tak brzmi nowa oficjalna nazwa wędryńskiej polskiej podstawówki. Szkole nadano imię patronki w ostatnią sobotę listopada, podczas uroczystej akademii z okazji 110-lecia placówki. Dodajmy, że noblistka gościła w wędryńskiej podstawówce podczas swojej wizyty na Zaolziu w 2001 r.

■ Jury siódmego Międzynarodowego Biennale Plakatu w Chinach 2015 (7. CIPB China International Poster Biennial, 2015) przyznało Piotrowi Pietrzakowi srebrny medal w kategorii plakatów towarzyszących kampaniom społecznym. Nagrodzono pracę Graficy kontratakują. Sosnowiczanie Piotr Pietrzak jest absolwentem ASP w Krakowie, realizuje akcje plakatowe w przestrzeni miejskiej.

■ Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne ponownie wyruszyło w poszukiwaniu wyjątkowych ujęć. W sobotę 21 listopada w Cieszynie fotograficy wzięli udział nie tylko w plenerze, ale również w walnym zebraniu. Najważniejszymi punktami zebrania były zmiana w statucie związana z nowymi przepisami w tej kwestii oraz przygotowanie grudniowej wystawy ZTF, którą w grudniu będzie można zwiedzać w czeskokoczyńskiej kawiarni AVION.

■ Symboliczną inauguracją Adwentu w Czeskim Cieszynie jest od lat Koncert Adwentowy Muzyki i Słowa w kościele ewangelickim Na Niwach. W tym roku odbył się on (29 listopada) po raz 26., a jego gościem specjalnym była pierwsza dama polskiej piosenki, Irena Santor.

■ Polonista i etnograf prof. Daniel Kadłubiec z Czeskiego Cieszyńska-Mistrzowice jest nominowany do tegorocznej nagrody „Cegła Janosha” przyznawanej przez czytelników „Gazety Wyborczej”. Nagrodę otrzymują osoby, które przyczyniają się do zachowywania kulturowej tożsamości Górnego Śląska i rozslawiania regionu.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

ŚLĄSKIE Targi Książki trwały od 6 do 8 listopada w Katowicach, impreza zorganizowana przez spółki Targi Książki oraz Murator EXPO. W MCK-u pojawiło się 140 wystawców książek oraz 60 autorów. Prawdziwe święto książki.

RADNI PiS chcą dymisji marszałka Wojciecha Saługi. Zarząd województwa – w którym dziś PiS nie ma, a stroną dominującą w koalicji jest PO – może mieć problem z dogadywaniem się z nowym rządem, który PiS stworzył samodzielnie, dzięki bezapelacyjnemu zwycięstwu w wyborach parlamentarnych. **PROM** w Grzegorzowicach koło Raciborza przez kilka miesięcy nie pływał z powodu suszy. Ostatni remont promu przeprowadzono w 2009 roku, jednak mieszkańcy oczekują, że w końcu zostanie odbudowany most przez Odrę, który stał tu przed wojną. Teraz nadrabiają aż 30 km drogi, by przez Racibórz przeprawić się na drugą stronę.

PREZYDENT Andrzej Duda trzy miesiące po zaprzysiężeniu znalazł czas, by przyjechać do Wisły. Odwiedził tu m. in. miejscowych luteran. Wisła uchodziła za bastion PO, kontrkandydat Dudy, Bronisław Komorowski, dostał w II turze aż 84 głosów poparcia wiślan. Czas leczy jednak rany. Prezydent zasadził w Ogrodzie Reformacji swoją jabłonkę i spotkał się z ewangelickimi duchownymi w prezydenckim Zameczku w Wiśle. Tradycja musi trwać.

CZOŁG wypadł z lawety pewnemu czeskiemu (?) kolekcjonerowi. Efekt – zablokowane skrzyżowanie z DK-1 w Pszczynie. Zdarzenie miało miejsce o trzeciej nad ranem. Kierowca lawety zbyt ostro zahamował przed skrzyżowaniem koło Kauflandu i czołg się zsunął na jezdnię, zgodnie z prawami fizyki zresztą. Usuwanie przeskody trwało kilka godzin.

ODSŁONIĘTO w Miechowicach pomnik Ofiar Tragedii Górnośląskiej. Pomnik – wagon. Upamiętnia on wywózki bytomskich Górnoślązaków do Związku Sowieckiego, do których doszło 28 marca 1945 roku.

WALCZĄCA o przetrawienie Kompania Węgłowa chce wyprowadzić się ze swojej siedziby przy ul. Powstańców w Katowicach. Jej roczne utrzymanie kosztuje spółkę ok. 1,5 miliona złotych. Ochoć na przejęcie ponad stuletniego budynku ma katowicka policja. Zgodę na taki krok musi jedynie wyrazić minister skarbu.

LOTNISKO w Pyrzowicach do końca października obsłużyło 2 mln 722 tys. osób. Do upragnionego celu, jakie założyło sobie w 2015 roku Górnośląskie Towarzystwo Lotnicze prowadzące port, brakuje ledwo 300 tysięcy pasażerów. Przeognił nas Kraków, w którego porcie lotniczym w Balicach liczba obsłużonych pasażerów

na koniec października przekroczyła 3,6 mln, zaś na koniec tego roku ma sięgnąć 4 mln.

TRAGEDIA w Nielewdu w gminie Miłówka na Żywiecczyźnie. 12-latek przypadkiem zabił kolegę z broni myśliwskiej ojca. Kula trafiła w głowę. Chłopcy byli rówieśnikami, kolegami z tej samej klasy i sąsiadami. Społeczność Nielewdu jest wstrząśnięta. Postępowanie w sprawie tragedii, która nie powinna się była wydarzyć, prowadzi policja i prokuratura.

TEATR Rozrywki pikuje – twierdzi wiceprezydent Chorzowa Joachim Otte. I wylicza, że brakuje mu gwiazd, repertuaru, zespołu baletowego. Zarzuca, że zaniżył poziom i że lata świetności ma już za sobą. Nie zgadza się z tym ani dyrektor TR Dariusz Miłkowski ani Aleksandra Gajewska, głowy specjalista ds. pozyskiwania funduszy w Rozrywce. Wiadomo – sztuka potrzebuje mecenasów – najlepiej bogatych.

SPÓŁKA Tauron Wydobycie przyjęła 930 wniosków od poszkodowanych w Jaworznie, Tychach i Sosnowcu w kopalni Janina w Libiążu. Tapnięcia odczuli także mieszkańcy Bierunia, czy Oświęcimia. Przypomnijmy – największe zamieszanie wywołały ostatnie tapnięcia o sile 3,8 (30 września), 3,1 (12 października) oraz 3,7 (20 października) stopni w skali Richtera w ZG Janina. Wyższy Urząd Górniczy w Katowicach zdecydował o wstrzymaniu wydobycia na ścianie, w pobliżu której doszło do wstrząsu 29 października. Jego epicentrum miało miejsce w pokładzie 207 na poziomie 500 metrów.

NIKT nie chce uchodźców. Na 167 gmin naszego województwa zapytanych, czy są gotowe przyjąć osoby, którym nadano status uchodźcy, tylko osiem odpowiedziało twierdząco. Są to Chorzów, Czerwonka-Leszczyny, Dąbrowa Górnicza, Gierałtówce, Jastrzębie Zdrój, Lyski, Mikołów i Racibórz.

GÓRNICZTWO walczy o przeżycie. Łączne straty spółek wydobywających węgiel kamienny po trzech kwartałach zbliżyły się do 1,7 mld zł i wątpliwe, by koniec roku 2015 przyniósł poprawę tego wyniku. Mimo niepewności jutra, nerwowej atmosfery i obowiązującej gotowości strajkowej, bezpieczeństwo w śląskich kopalniach znacznie się poprawiło. Liczba wypadków śmiertelnych (dziewięć ofiar, dwukrotnie mniej niż w 2014 roku) i ciężkich (tu z 20 w zeszłym, do 9 wypadków w obecnym roku) zmalała o połowę. Zdaniem WUG to najlepszy wynik w ciągu ostatnich 60 lat.

HANYSAM! po raz 20. z kolei zostali uhonorowani: Maria Meyer – aktorka Teatru Rozrywki, Mariusz Sobecko – zwycięzca pogramu „You can dance”, prof. dr hab. n. med. Jan Baron, Maciej Pieprzyca – reżyser i scenarzysta ze Śląska, Arkadiusz Holda – twórca Telewizji Silesia, Jerzy Podsiadło – prezes Węgłokoku, Stowarzyszenie Pomocy Rodzinom Hutniczym, Zespół Pieśni i Tańca „Rudzianie”, Radio Fest. Superhanysem został Henryk Ślawik, prezes Huty Pokój.

CHODŹĄ ploty, coraz bardziej realne, o rozbiórce województwa śląskiego. Otóż Częstochowa marzy o secesji, a Bielsko-Biała o połączeniu się z Małopolską. Co wyjdzie z tych planów? I jakie wyjdzie nam województwo śląskie – zobaczymy. Na razie to prasowe spekulacje, choć PiS twarzą idzie po pełną władzę. Wtedy poza administracyjnym zamieszaniem czekają nas nowe wybory samorządowe. Planom rozbioru województwa sprzeciwia się marszałek śląski Wojciech Saługa.

TYLKO w województwie śląskim w ciągu ostatniego półrocza aż 955 kierowców straciło prawa jazdy za nadmierną prędkość. To głównie efekt obowiązujących od maja nowych przepisów.

ZDANIEM prof. Zbigniewa Kadłubka ten film dopełnia pejzaż antropologiczny Górnośląska. Mowa o dokumencie „Autonomiści” autorstwa Doroty Pryndy, scenarzystki i reżyserki filmu, który odważnie porusza zagadnienia śląskiego regionalizmu i tożsamości. Jego premiera miała miejsce 16 listopada.

DOM Jerzego Kukuczki w Istebnej czeka na remont. Mieści się tam od 1997 roku Izba Pamię-

ci największego polskiego himalaisty. Pieniądze na remont postanowiono zebrać poprzez tzw. crowdfunding, czyli formę społecznościowego finansowania projektów. Inaczej mówiąc przez internet. Potrzeba 11 tysięcy złotych.

TERRORYSTYCZNE ataki, do jakich doszło w piątkową noc 13 listopada w Paryżu, w wyniku których zginęło 132 niewinnych osób, wstrząsnęły opinią publiczną na całym świecie. Na znak solidarności z ofiarami tragedii, ich rodzinami, Francją w Katowicach Spodek oświetlony został barwami francuskiej flagi. Europa uświadomiła sobie, że przestała być bezpiecznym miejscem do życia.

FUNDACJA Rozwoju Kardiologii im. prof. Zbigniewa Religii nagrodziła m. in. Łukasza Palkowskiego, reżysera filmu „Bogowie” i aktora Tomasza Kota. Otrzymali oni Medale im. prof. Z. Religii podczas 24 gali „Serce za serce” w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze. Film przyczynił się do popularyzacji idei kardiologii w polskim społeczeństwie.

ARTETERAPIA, czyli terapia przez sztukę, to nazwa nowego kierunku trzech katowickich uczelni: Akademii Muzycznej, Akademii Sztuk Pięknych i Uniwersytetu Śląskiego. To miejsce dla tych, którzy chcą uzyskać interdyscyplinarne wykształcenie artystyczne oraz humanistyczno-społeczne. Absolwent arteterapii będzie mógł na przykład pracować z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych, zarówno z tymi nieprzebieżnie uzdolnionymi, jak i z różnymi niepełnosprawnościami. Kierunek ruszy za rok, ale już teraz trwają przygotowania do jego otwarcia.

SEŃDZIWIE już raczej, 60-latnie chorzowskie Planetarium wreszcie doczeka się remontu. Ten zacy jubileusz przypadnie w grudniu. 60 lat liczy sobie też niezawodny jak do tej pory ogromny, dwutonowy projektor firmy Zeiss, najstarszy tego typu na świecie. A ekran w kształcie kopuły ma średnicę 23 metrów. Gruntowny remont Planetarium ma przejść jeszcze przed 2020 rokiem i kolejną okrągłą rocznicą. Wtedy też projektor Zeiss trafi do części muzealnej, a jego miejsce zajmie nowszy, pracujący już w technice 3-D.

WŁAŚCICIEL pewnego garażu w centrum Bytomia o mało nie dostał zawału, kiedy odkrył w nim cały arsenał broni. Zgromadziła go tam osoba, której wynajął garaż. Właściciel natychmiast zawiadomił policję, a ta skrupulatnie wyliczyła, iż znajdowało się tam ponad 200 pistoletów, karabinów i tysiąc sztuk amunicji. Aż strach pomyśleć, kto i jaki mógł z tego zrobić użytek. **KONKURS** „Po naszymu, czyli po śląsku”, 25. z kolei, wygrał Józef Jendrusz. Tym razem była to prawdziwa liga mistrzów, bo rywalizowali ze sobą laureaci wszystkich poprzednich konkursów. Pan Józef, który w 2006 roku wywalczył drugą nagrodę, rozbawił publiczność opowieścią o kolegach rowerzystach. I zdobył laur „Strzybnego Ślązaka 2015”.

RYBNICZANIN Jan Duerschlag, lokalny przedsiębiorca, jest właścicielem odkrytej kopalni srebra w Srebrnej Górze w woj. dolnośląskim. To on wraz z grupą pasjonatów przez pięć lat szukał odkopanej niedawno sztolni, z chodnikami i elementami wyposażenia. O tym odkryciu zrobiło się głośno w całej Polsce. Marzeniem pana Jana jest uczynienie z kopalni atrakcji turystycznej.

MIESIĘCZNIK „Śląsk” obchodził 25 listopada 20. rocznicę istnienia. Obchody, huczne jak zwykle, miały miejsce w Bibliotece Śląskiej. Trochę nam lat przybyło, ale ciągle czujemy się młodzi! **NIEOCZEKIWANIE** 28 listopada zmarł w wieku 54 lat Tomasz Tomczykiewicz, czołowy śląski polityk, poseł na Sejm, lider śląskiej PO, były burmistrz rodzinnej Pszczyny. Jego pogrzeb odbył się 3 grudnia w kościele Wszystkich Świętych w Pszczynie. Żegnali go czołowi politycy PO m. in. przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, była premier Ewa Kopacz. Ceremonii pogrzebowej przewodniczył metropolita senior archidiecezji katowickiej abp Damian Zimoń.

Pani **Jolancie**
Matiakowskiej-Karmańskiej
serdecznie wyrazi współczucia
po śmierci
Matki
składa
Zespół Redakcji „Śląska”

Straszliwe skutki grzybobrania

JAROSŁAW STARZYK

Odwiedziłem pewną instytucję, ponieważ miałem tam do załatwienia swoją sprawę prywatną. W jednym z działów tego urzędu pracuje mój znajomy, którego przy okazji odwiedziłem. Usiedliśmy w kąciku socjalnym, gdzie mój gospodarz podjął mnie kawą rozpuszczalną i pierniczkami w czekoladzie. Zauważyłem wtedy, że znajomy, człowiek z natury pogodny i optymistyczny, tym razem wygląda jakoś nieszczęśliwie, najkrócej mówiąc – jak kupka nieszczęścia.

– Czy coś się stało? – zapytałem.

– Mamy nowego szefa działu – odpowiedział.

– I...?

– Wie pan, co to jest mobing?

– Owszem. Choć za moich czasów czegoś takiego nie było. Szef mógł tylko szykanować, prześladować, niszczyć podwładnego z byle powodu albo i bez.

– No to pan wie, panie Jarku. Pracujemy w naszym dziale całe lata, zespół jest zgrany, robimy swoje i wiemy co robić. A teraz przyszedł ten (*pik, pik, pik – słowo niecenzuralne*) i żeby pokazać, jaki jest wspaniały i kreatywny, wymyśla rozmaite nowości bez sensu. Głupie, bo się nie zna na pracy w dziale. Wie pan, czasem myślę, że już popadam w paranoję. Wyobrażam sobie mianowicie, że on przez cały weekend kombinuje, jak nas w poniedziałek (*pik, pik, pik – słowo niecenzuralne*). Przychodzi i mówi, że w czasie wolnym od pracy przyszedł mu do głowy ciekawy projekt. Jemu. Projekt. Ciekawy. Chodzi tylko oto, żebyśmy go wdrożyli. Od razu widzimy, że wymyślił coś durnego, perswadujemy, tłumaczymy... A on: „ja jednak zarządzam, żeby ten pomysł wypróbować”. Więc próbujemy, oczywiście kończy się kląpą, ale tworzą się zaległości w naszej robocie. Wtedy przychodzi: „macie zaległości, proszę sobie nie folgować!” Kretyn, imbecyl, debil – mój znajomy sypał słowami, których już od dawna wyrzekła się ze względów fundamentalnych współczesna psychologia i psychiatria.

– Czytał pan „Szwejkę”? – zapytałem, bo coś mi przyszło do głowy.

– Jasne – odpowiedział z lekkim zdumieniem.

– Jest tam moja ulubiona opowieść o poczmistrzyni. Pamięta pan?

– Nie bardzo.

– Otóż pewnego razu poczmistrzyni z małego miasteczka postanowiła wybrać się na grzyby. Po drodze spotkała miejscowego nauczyciela, który zapytał dokąd idzie. Kiedy powiedziała, że do lasu na grzyby, oznajmił, iż za chwilę też się tam wybierze. Babina ze swojej wyprawy zrezygnowała i napisała donos do Wiednia, że nauczyciel chciał ją zgwałcić. Poważna sprawa, więc ze stolicy przyjechała cesarsko-królewska komisja, aby rzecz całą wyjaśnić. Wtedy nauczyciel przedstawił inspektorom zaświadczenie lekarskie, z którego wynikało niezbicie, że przed laty nieszczęśliwie spadł okraciem na dyszel, przez co jest niezdolny do jakichś seksualnych ekscesów. Komisja sporządziła odpowiedni raport i wyjechała. Nauczyciel został z zarzutu oczyszczony. Ale wtedy poczmistrzyni napisała donos na inspektorów, których oskarżyła o wzięcie łapówki za niewinniający werdykt. Cesarsko-królewscy urzędnicy nie mogli sobie pozwolić na tolerowanie podobnych pomówień, oddali zatem sprawę do sądu. A sąd wydał wyrok, że poczmistrzyni jest wprawdzie idiotką, ale obowiązki służbowe pełnić może.

– Ha, ha, ha! – uśmieł się serdecznie mój znajomy. – Koniecznie muszę do „Szwejkę” wrócić!

„Z książki płynie odwaga, książka w życiu pomaga” – piosenka, której uczono mnie w podstawówce nie kłamała.

ŚLĄSK

kolekcja jubileuszowa

Przez cały jubileuszowy Rok „Śląska”, z okazji 20-lecia istnienia pisma, prezentowaliśmy co miesiąc dzieła artystów związanych ze Śląskiem. Okazało się, że ten malarsko-graficzny cykl bardzo przypadł do gustu naszym Czytelnikom. Dlatego redakcja postanowiła nie rezygnować z tego cyklu, z dwóch powodów: po pierwsze, skoro podoba się Czytelnikom, to będziemy go kontynuować, ale pod nazwą Kolekcja „Śląska”, po drugie – jest jeszcze tylu wspaniałych artystów do pokazania, że zapewne braknie kolejnych dwunastu miesięcy.



Antoni Kowalski

Urodzony w 1957 roku. Studia na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – Filia w Katowicach. Dyplom z medalem w Pracowni Malarstwa prof. Jerzego Dudy-Gracza i Pracowni Projektowania Graficznego prof. Tomasza Jury w 1982 roku. W latach 1994-2000 wykładowca Europejskiej Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 2009 roku otrzymał tytuł profesora nauk plastycznych. Obecnie profesor zwyczajny w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Członek Manhattan Graphics Center (Nowy Jork, USA), Stowarzyszenia Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków. Odbił liczne podróże artystyczne po Europie, USA, Chinach. Mieszka i pracuje w Katowicach.

Zorganizował około 50 wystaw indywidualnych w Polsce, Europie i USA oraz brał udział w około 400 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Za swoją twórczość otrzymał 21 nagród krajowych i zagranicznych.

Prace w zbiorach m.in. muzeów w: USA, Niemcy, Włochy, Francja, Chiny, Tajwan, Macedonia, Portugalia i muzeach w Polsce.



Antoni Kowalski, *Drzewo życia IV*, olej, 130x97 cm, 2013.



Muzeum
Śląskie

BEZCENNE ZABYTKI
SZTUKI SAKRALNEJ
OD GOTYKU
PO CZASY
NOWOŻYTNE

ŚLĄSKA
SZTUKA
SAKRALNA
OTWARCIE
GALERII

MUZEUM ŚLĄSKIE
W KATOWICACH
UL. T. DOBROWOLSKIEGO 1
20.12.2015
ZAPRASZAMY!



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach
jest instytucją kultury Samorządu
Województwa Śląskiego współprowa-
dzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego